II 803.870

ADA NEGRI

NIEDOLA BURZE

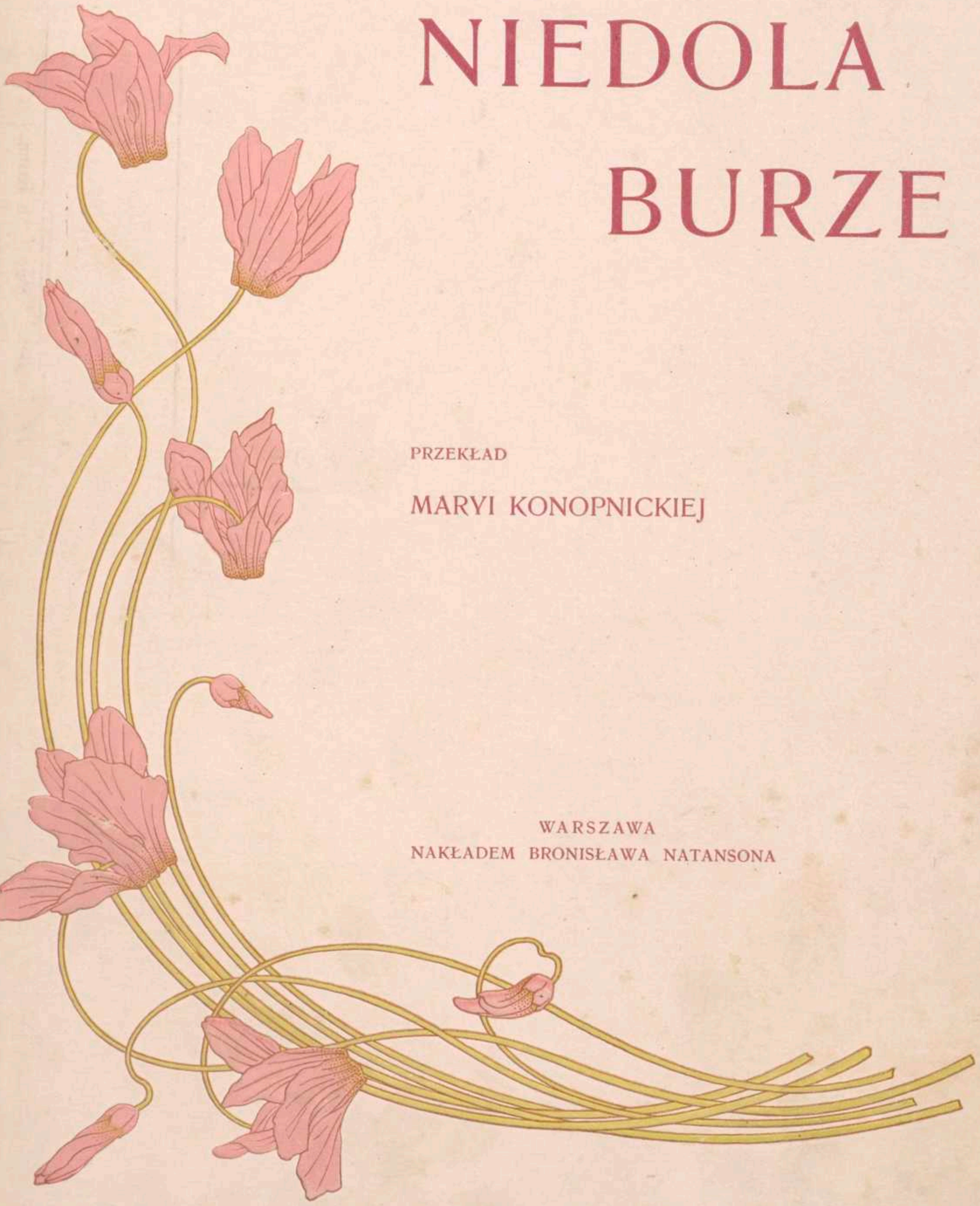

PRZEKŁAD

MARYI KONOPNICKIEJ

WARSZAWA
NAKŁADEM BRONISŁAWA NATANSONA

NIEDOLA * BURZE

ADA NEGRI

NIEDOLA * BURZE

PRZEKŁAD

MARYI KONOPNICKIEJ

WARSZAWA
NAKŁADEM BRONISŁAWA NATANSONA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI JANA FISZERA
Nowy Świat 9
1901

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
II 803.870

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Сентября 1900 г.

A

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

1971 K 1050/8

GNOLA

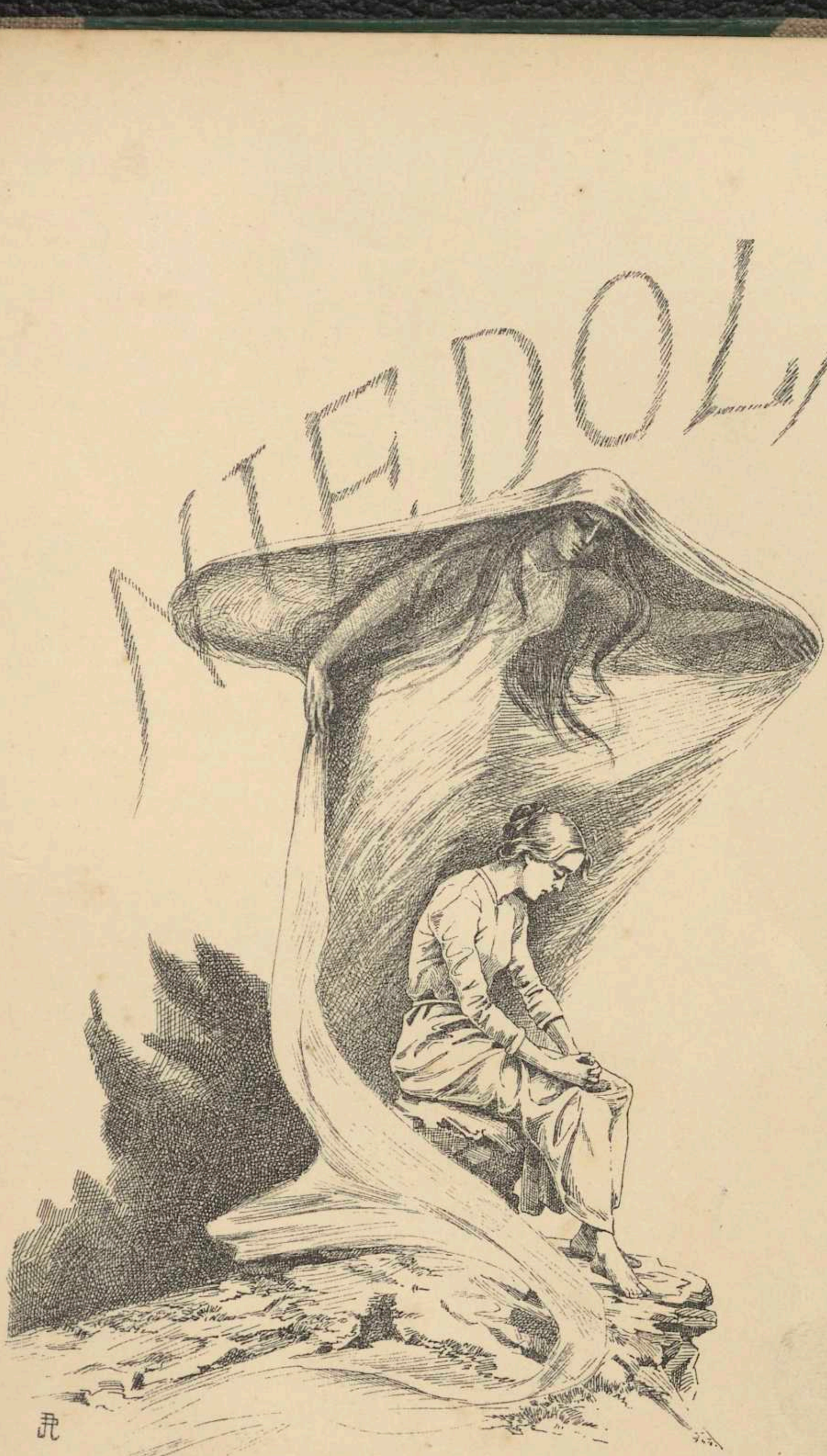

BIBLIOTEKA NARODOWA
BN

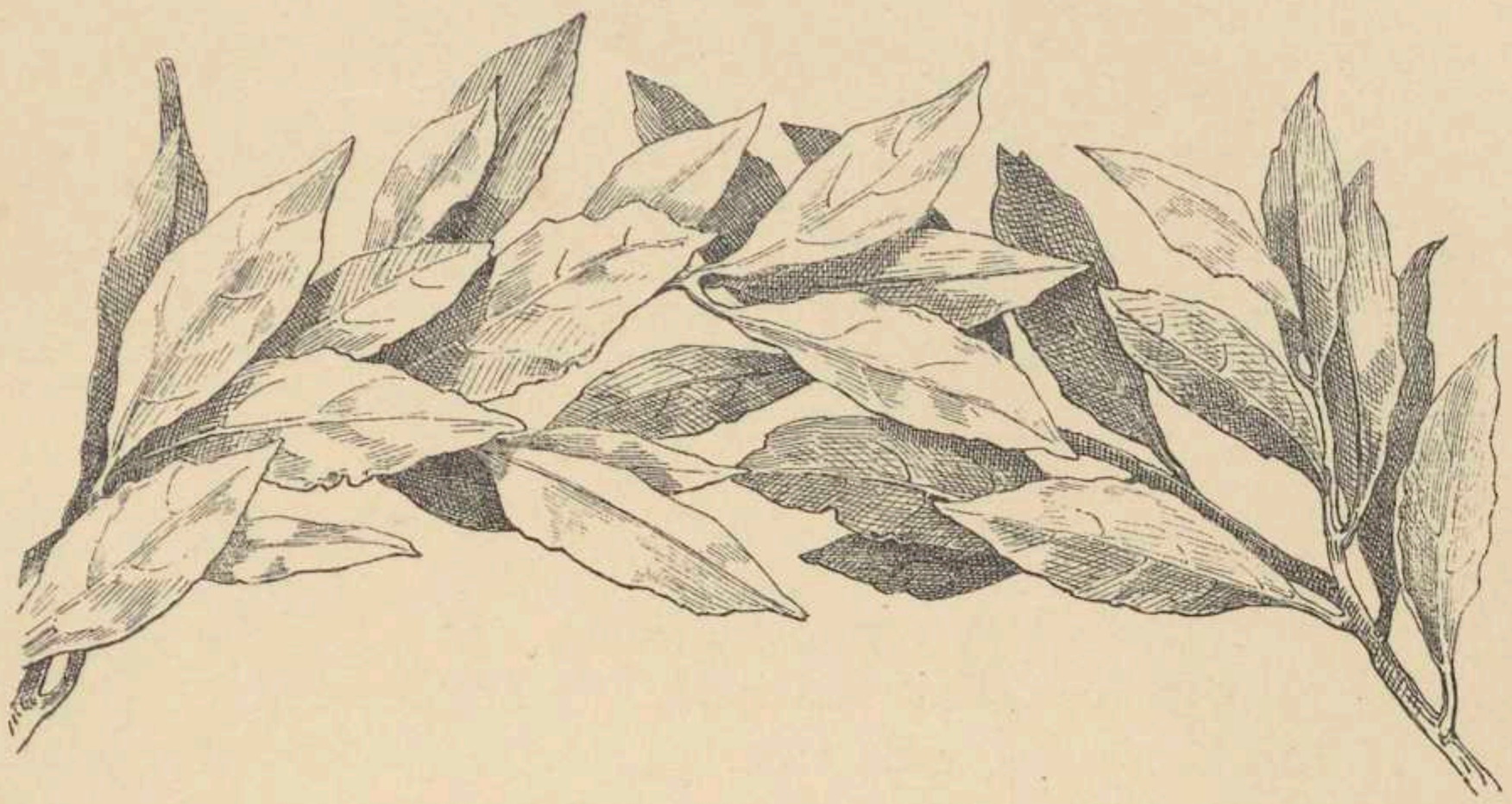

NIEDOLA.

Dziś, u wezgłowia była mi zjawiona
Wśród mroków pola
Szydercza postać z sztyletem u łona,
Z błyskiem w źrenicy. Struchlałam. A ona:
— »Jam jest Niedola!

»Już cię nie rzucę, o, trwożne ty dziecię,
Póki pierś dycha...
Aż w śmierć, aż w nicość, przez głogi i kwiecie
Pójdę za tobą, gdzie los cię pomiecie!» —
— Precz! — jękłam zcicha.

A ona szeptem, tuż u mojej głowy:
— »Tak stoi w górze!
Blady kwiat jesteś, i kwiat cyprysowy,
Kwiat śniegu, grobu, kwiat grzechu niezdrowy...
— Tak stoi w górze!« —

Porwę się, krzycząc: — Ja chcę mojej wiosny!
Chcę mego prawa!
Chcę upojenia dreszcz uczuć miłosny!
Geniusz i słońce — to świat mój radosny...
— Precz, maro krwawa!

A ona: — »Temu, kto cierpi i tworzy,
Sława jest tylko wzajemną.
W bólu najwyższy lot bierze ptak boży...
Kto noc przewalczy, zwycięża o zorzy«. —
Rzekłam: — Bądź ze mną!

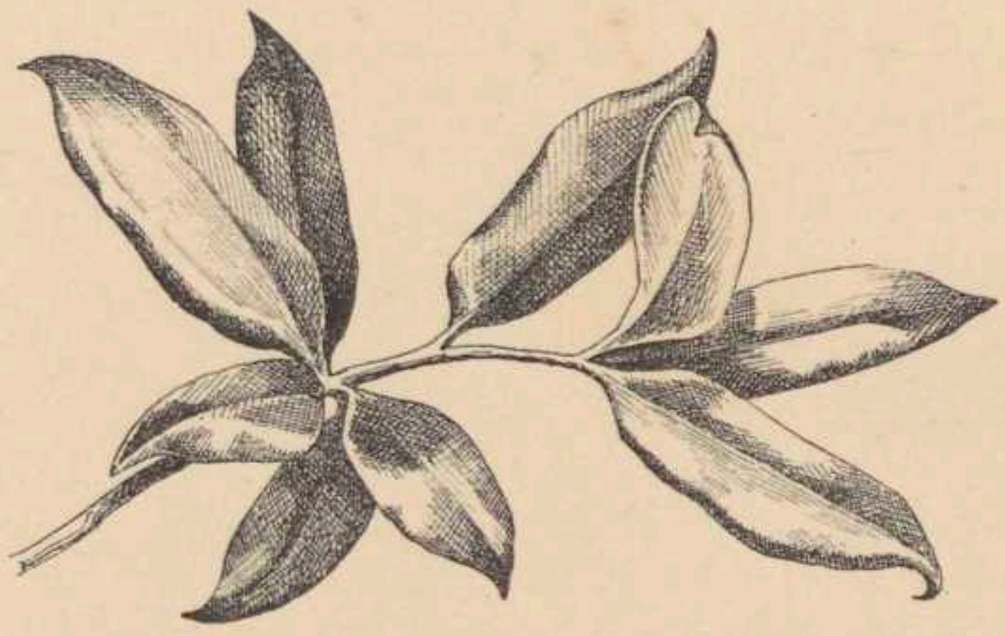

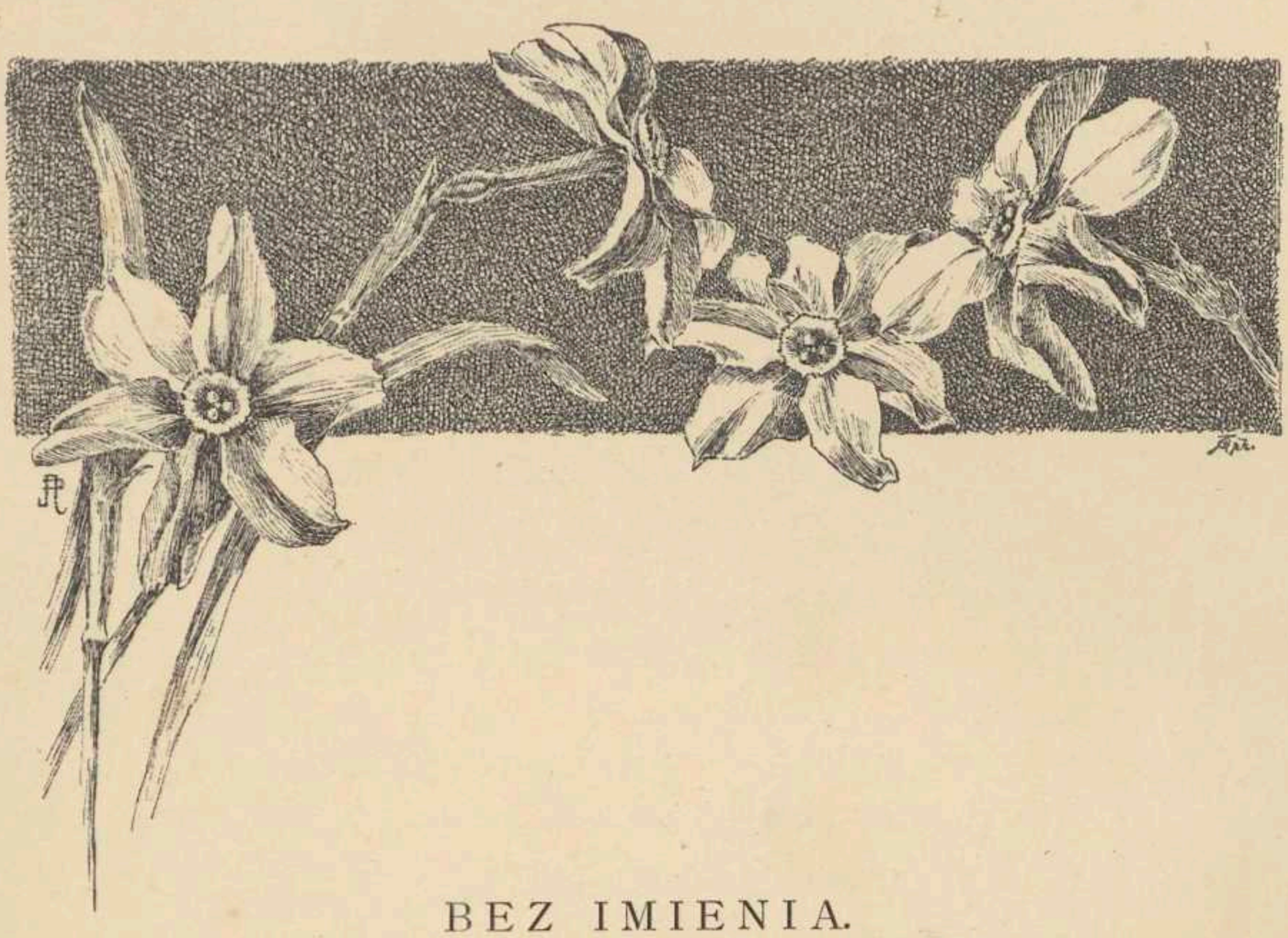

BEZ IMIENIA.

Nie mam imienia. Dziko surowa mnie glina
Wilgotnej izby zrodziła.
Lud nędzny, lud przeklęty — to moja rodzina.
Lecz z piersi mi wybucha żywym ogniem — siła!

Modląc się, chodzi za mną jeden Anioł biały,
I karzeł chodzi złośliwy.
A myśl pędzi przez góry, urwiska i skały,
Jak Mazepa, u konia zhukanego grzywy.

Zagadką nienawiści jestem i miłości,
Siły i słodkiej niemocy.
Przepaść nęci mnie zgrozą, i nęcą ciemności,
A do pieszczoty dziecka drżę wśród cichej nocy.

Kiedy w progi mojego poddasza zawita
Niedola, wtedy się śmieję!
I kiedy wyszydzona jestem i pobita,
Bez wsparcia, bez pociechy — i wtedy się śmieję!

Lecz płaczę, kiedy widzę starce w pracy drżące,
Nad nędzą łaknących płaczę,
Nad dziećmi, co tak więdną jako trawy schnące,
I nad bolów bez głosu całym światem — płaczę.

A gdy serce łez więcej pomieścić nie zdoła
W śpiew dziki, i w śpiew zuchwały,
Co piersi mi rozrywa i ust krzykiem woła, —
Duszę mą całą rzucam w kawały, w kawały!

Nie dbam czy mnie kto słucha. I gdy zazdrość natrze,
Gdy mściwe chwyci oręże,
Wyzywająca losy — idę i nie patrzę,
A grot zatrutej strzały nigdy mnie nie sięże!

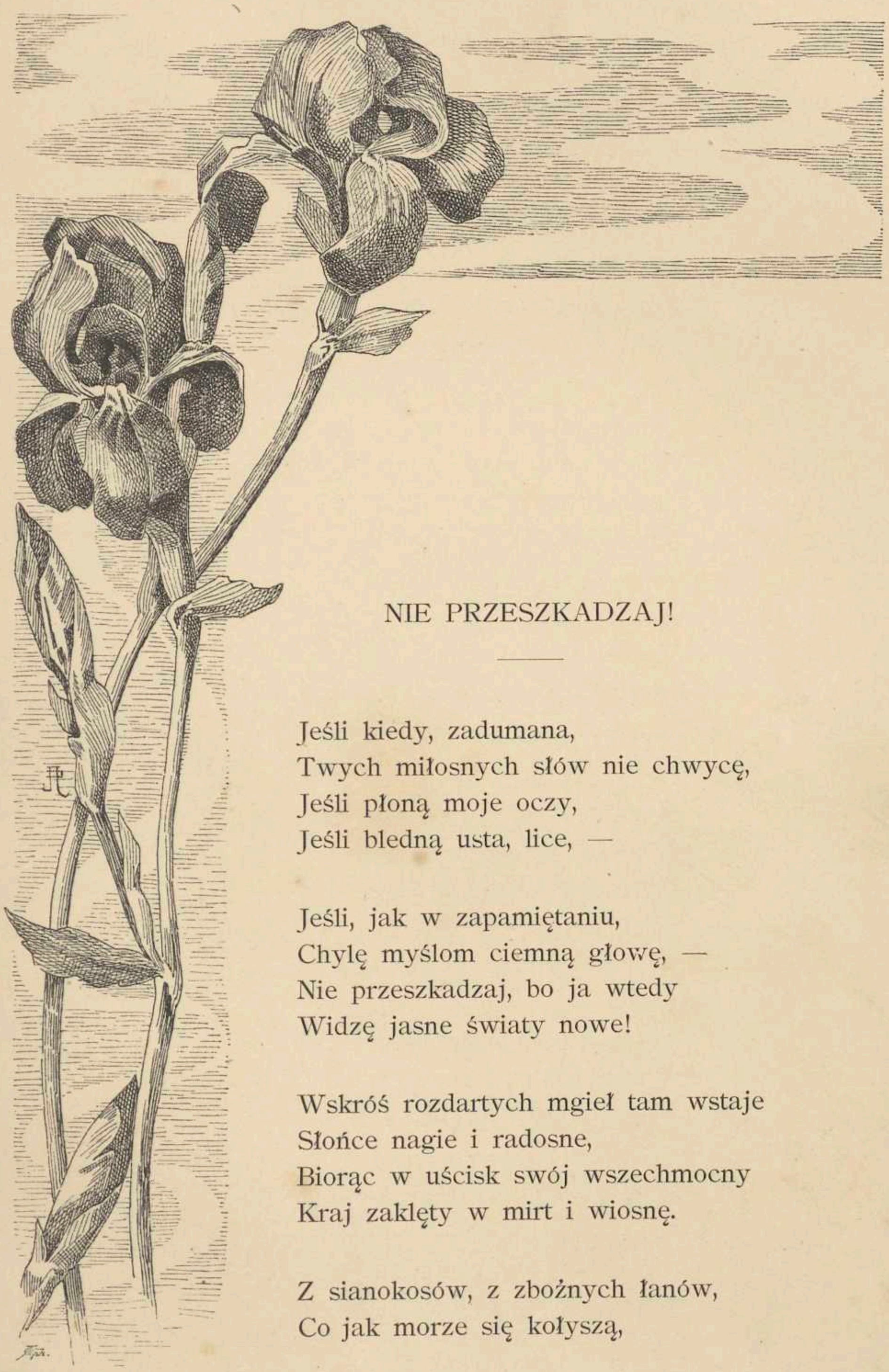

NIE PRZESZKADZAJ!

Jeśli kiedy, zadumana,
Twych miłosnych słów nie chwycę,
Jeśli płoną moje oczy,
Jeśli bledną usta, lice, —

Jeśli, jak w zapamiętaniu,
Chylę myślom ciemną głowę, —
Nie przeszkadzaj, bo ja wtedy
Widzę jasne światy nowe!

Wskróś rozdartych mgieł tam wstaje
Słońce nagie i radosne,
Biorąc w uścisk swój wszechmocny
Kraj zaklęty w mirt i wiosnę.

Z sianokosów, z zbożnych łanów,
Co jak morze się kołyszą,

Z szumu dębów i cyprysów,
Z oaz tchnących świeżą ciszą;

Z czarnych borów, co na wichrze
Wyją pieśń swą oszalałą;
Z dreszczu żądzy i rozkoszy,
Co odnawia ziemię całą, —

Słyszę, słyszę, jak wzlatują,
Wśród potężnych skrzydeł bicia,
Tryumfalne tchy przyszłości,
Nowej siły tchy — i życia!

Kwitną róże i nadzieje
Na ołtarzach ideału...
Kwitną plony prac, uniesień,
Wiedzy, czucia i zapału.

Krew nie płynie, nie zatapia
Bolejącej ziemi łona:
Wojna, wiedźma bezlitosna,
Opuściła już ramiona.

Ugasł zniszczeń szał. Ostatnia
Pękła z hukiem gdzieś armata...
W dzikich polach, w walki dymie,
Pieśń bojowa już nie lata.

Cały świat — jedna ojczyzna...
Wszystkie ludy — czeladź boża;
Uroczysty hymn pokoju
Brzmi od morza aż do morza.

Bucha para, z ziem niepłodnych
Jasny lemiesz ostrzem błyska,
Rozgrzmiewają machin huki,
Czerwienieją hut ogniska.

IDZIE TOŃ...

W wysokich brzegach, niekiełznana, ślepa,
Idzie toń, łkając, a niebo jej słucha.
Nie ma uśmiechu gwiazd — ten strop z ołowiu,
Nie ma tchu w piersi — noc parna i głucha.

Idzie toń, łkając, i niesie na łonie,
I wlecze z sobą, stroskana, omdlała,
Młodzieńcze ciało, martwe, lekkie ciało
Nieszczęsnej, co tu śmierci swej szukała.

Idzie toń, łkając. A w łkaniu tem słyszę
Ponure echo tajemnej powieści,
I zrozpaczonej miłości krzyk dziki,
Krzyk zdeptanego serca, — krzyk niewieści.

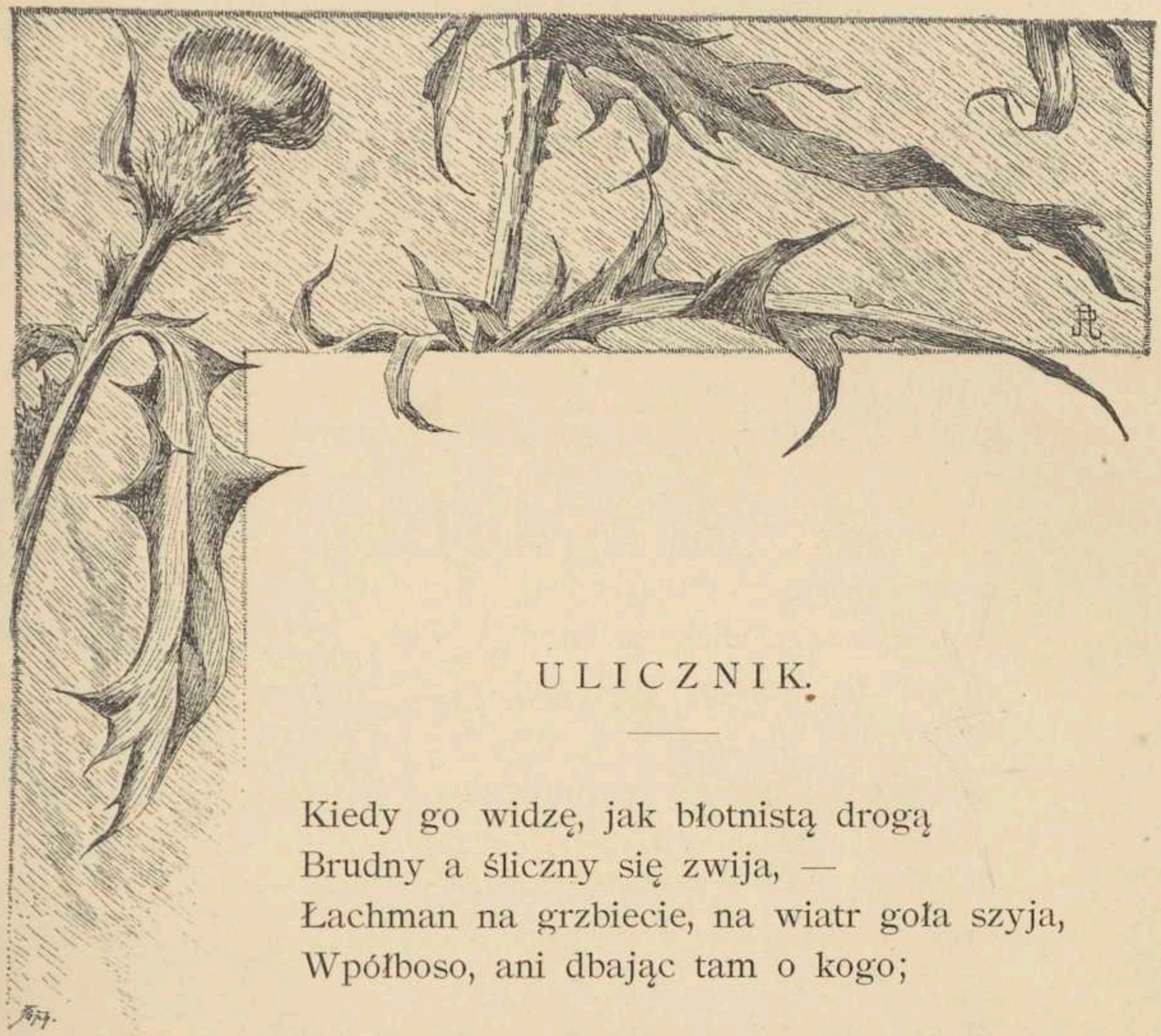

ULICZNIK.

Kiedy go widzę, jak błotnistą drogą
Brudny a śliczny się zwija, —
Łachman na grzbiecie, na wiatr goła szyja,
Wpółboso, ani dbając tam o kogo;

Jak między wozy nagością swą widny,
W zdartych porciętach się kręci;
Jak w psy kamienie ciska bez pamięci,
Już złodziej, srogi już, i już bezwstydny; —

Gdy widzę, jak się śmieje i weseli,
Biedny kwiatuszek cierniska,
I gdy pomyślę, że dom bez ogniska,
Matka w fabryce, ojciec — więzień w celi:

Jakiś mi przestrach tłumi serca bicie,
I pytam: Co będzie z ciebie?
Ty, co bez światła na ziemi i niebie,
Głodny, obdarty idziesz tak wprost w życie?

Za lat dwadzieścia — czem będzie słowiczek
Co dziś tak śpiewa, nieboże?

Siewcą zepsucia, oraczem, czy może
Łotrem dojrzałym na stryczek?

Uczciwą bluzę będziesz miał na grzbiecie,
Czy galerniczą obrożę?
Warsztat, więzienie, czy szpitalne łoże
Zbliży nas znowu, o, dziecię?

I zaraz biedz chcę na uliczne błoto,
I objąć chłopię w ramiona,
Do serca tuląc, co w smutku mi kona,
Z śmiertelną trwogą, z bolesną pieszczotą.

Pocałunkami chcę okryć mojemi
Pierś jego, usta — już zmięte,
I szeptać słowa stłumione i święte,
Siostrzanym głosem, z oczyma łzawemi:

— I jam tak dziko rosła, w nędzy, w brudzie,
I jam cierniska jest kwiatem,
I moją matkę sługą zwali ludzie,
I ja znam boleść! Dziecię, tyś mi bratem!

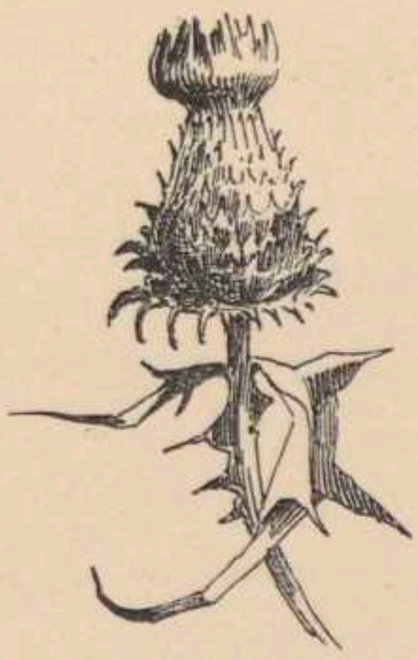

KRÓTKA OPOWIEŚĆ.

Snem się zdawała poetyckiej głowy,
W białej swej sukni, z uciszonem licem,
Jak sfinx, gdy duma pod srebrnym księżycem.

Po biodra krył ją jedwabny włos płowy,
Na ustach piosnka, albo śmieszek mały,
A piękne ciało — posąg doskonały.

Kochała, ale nie była kochaną.
Więc, utaiwszy płomień, co się żarzy,
Uśmiech pogody dała mu ku straży.

A płomień gorzał. Aż w jesienne rano,
Czy w zmierzch — umarła, wytlona do końca.
Tak mrze werbena biała — na brak słońca.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

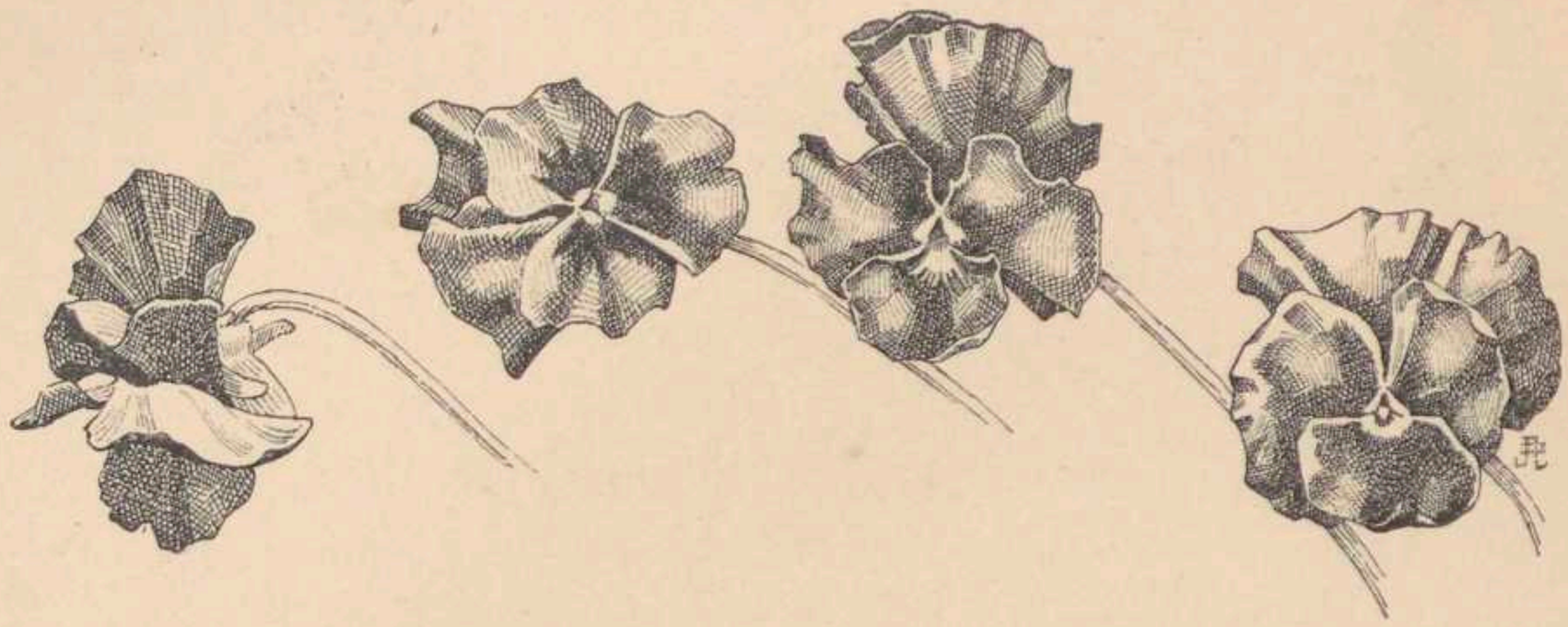

AUTOPSYA.

Biedny doktorze, z oczyma co płoną,
Gorączką nienasyconą,
Ty, co stal zimną, błyszczącą, zuchwałą
Zapuszczasz w nagie me ciało,

Słuchaj! — Czem byłam, tej ci tajemnicy
Nie zdradzą ostre twe noże:
Więc w tej okropnej — ja sama — kostnicy,
Przeszłość ci moją otworzę.

Na bruku wzrosłam. Nie miałam ni domu,
Ani rodziców. Sierota,
Bosa, wpółnaga, bez miana, bez sromu...
Wichry mnie biły i słota.

Wcześnie poznałam głuchą głodu trwogę,
I twardy nocleg pod niebem,
I żebraniny i rozpaczy drogę,
I dnie mdlejące za chlebem.

Wszystkie zabiegi niecne, wszystkie trudy
Poznałam w ludzkich nędz gmachu,
Między ich bezcześć wtrącona i brudy,
Drżąca od płaczu i strachu.

Aż dnia jednego, gdzie barłog rzucony
Wpośród szpitalnej spiekoty,
Czarny ptak śmierci zakrzywił swe szpony
I na mnie zatrzymał loty.

I tak umarłam w brzask duszny a szary,
Jak pies bezpański, tułaczy,
Nie słysząc słowa nadziei ni wiary, —
Słowa zbawienia w rozpaczy.

Czy widzisz włosy moje?... Po kolana
Lśniąca kaskada ich płynie...
— Bez pocałunku będzie pogrzebana,
W surowej, cmentarnej glinie.

Widzisz, jak gibkiem, wysmukłem i śnieżnem
Jest to dziewicze me ciało?
Ono raz pierwszy — pod ostrzem lubieżnem
Twojego noża zadrżało.

Dalej! Kraj, ćwiartuj, znieważaj je wzrokiem,
Nasyć się żądzy swej łupem!
Nasyć się mojej nagości widokiem,
Wszak jestem — sprzedanym trupem!

Śledź, badaj, z twarzą szyderczą, zuchwałą,
— Szczędzić mnie nie masz powodu, —
Szukaj w wnętrznościach moich, szukaj śmiało
Okropnych tajemnic głodu! —

Na wskróś mi piersi otwórz! Tak, po szyję!
Wbij skalpel — do rękojeści!
Szukaj w mem sercu, które już nie bije,
Wzniosłych tajemnic boleści!

Naga, zgwałcona twojemi oczyma,
Czy wiesz? — ja cierpię dziś jeszcze...
Więc mój wzrok szklany, gdzie życia już niéma,
W mózg ci się wgryza, jak kleszcze.

I na mych ustach, co dotąd je ściąga
Spazm ostateczny konania,
Głuche rzężenie jeszcze ci urąga,
Jeszcze przekleństwo się słania!

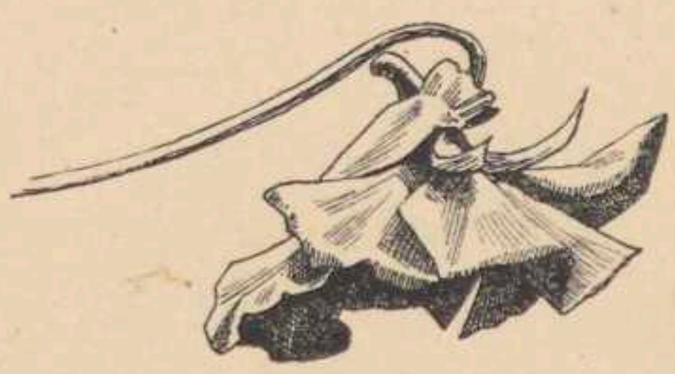

ŚNIEŻYCA.

Nad polem wskróś — mgła blada.
Lekuchny, srebrny, suchy,
Wirując lotne puchy,
Śnieg pada.

Zawieja tańczy biała,
Pod niebem gdzieś swawolna,
A zaś się kładzie zwolna,
Omdlała.

W mar dziwnych korowody
Zaludnia dachy, ziemię,
Otula pnie, ogrody,
I drzemie.

Szeroki mir dokoła...
Pogrążon w niepamięci

Głębokiej świat nie nęci,
Nie woła.

I tylko w onej głuszy,
Wspomnienie w piersi wzdycha,
I miłość senna, cicha
Tli w duszy.

MGŁY.

Cierpię. Zwolna, powoli,
Z zapadłej gdzieś niziny,
Mgły sennej się podnosi
Kłąb siny.

Z głośnem krakaniem kruki,
Czarnemi bijąc pióry,
Jak homon przelatują
Ponury.

Pnie ranne, bolejące
Wichrom, pędzącym zgrają,
Nagie konary z drżeniem
Podają.

Jak zimno! Jakżem sama!
Jęk konający świata
Wskróś zmierzchu szarych sklepień
Ulata...

I woła na mnie, woła:
— Pójdź, pójdź, w noc wieczną, ciemną!
Ty smutna, niekochana,
Pójdź ze mną!

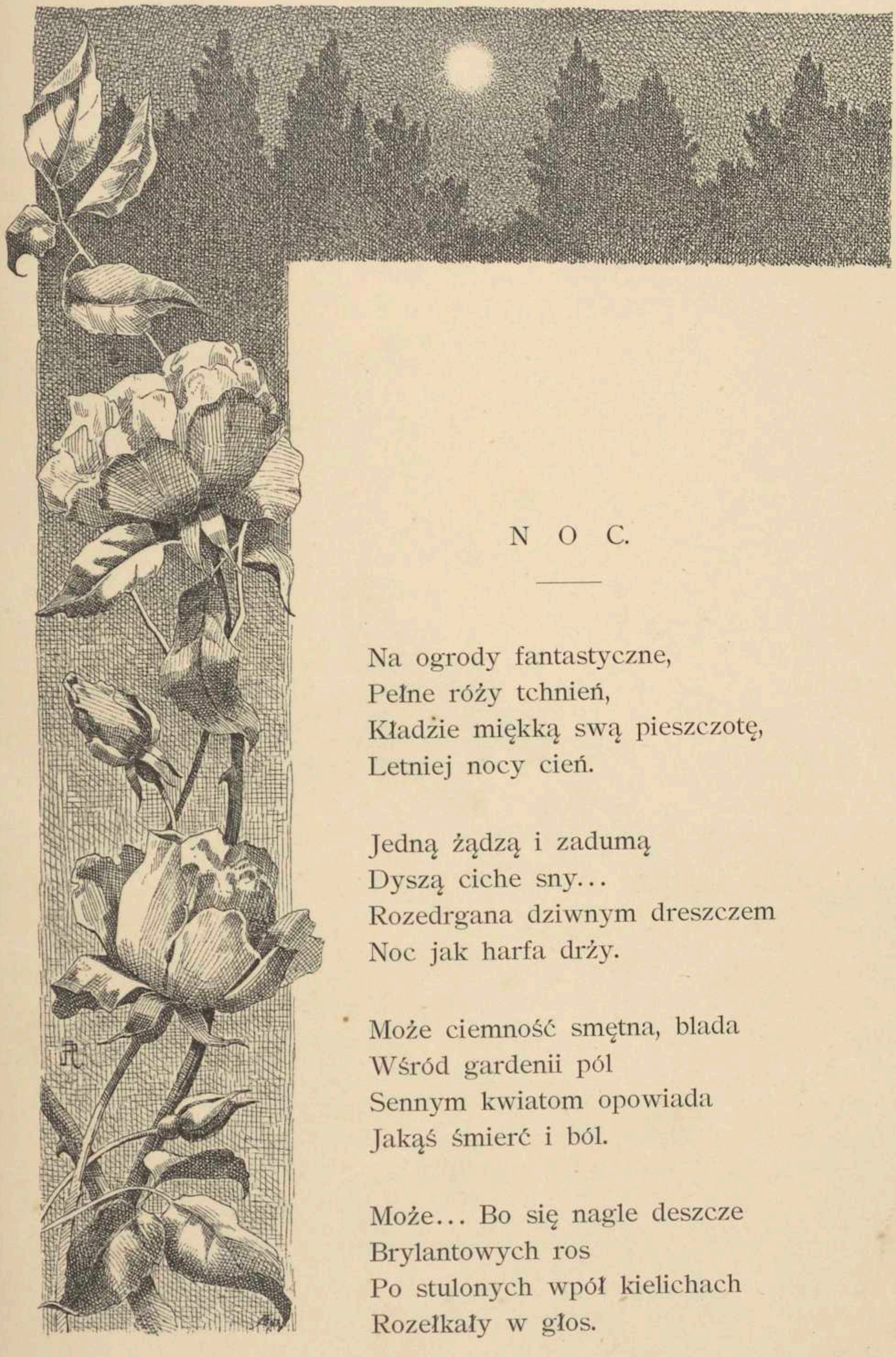

NOC.

Na ogrody fantastyczne,
Pełne róży tchnień,
Kładzie miękką swą pieszczotę,
Letniej nocy cień.

Jedną żądzą i zadumą
Dyszą ciche sny...
Rozedrgana dziwnym dreszczem
Noc jak harfa drży.

Może ciemność smętna, blada
Wśród gardenii pól
Sennym kwiatom opowiada
Jakąś śmierć i ból.

Może... Bo się nagle deszcze
Brylantowych ros
Po stulonych wpół kielichach
Rozełkały w głos.

Nędz skrywanych tajemnicy,
Upojenia strat,
Trwóg milczących, niemych pragnień —
Płacze każdy kwiat.

I tej nikłej szczęścia mary,
Jak ułudne sny,
Płacze noc ta, rozperlona
W wielkie, jasne łzy.

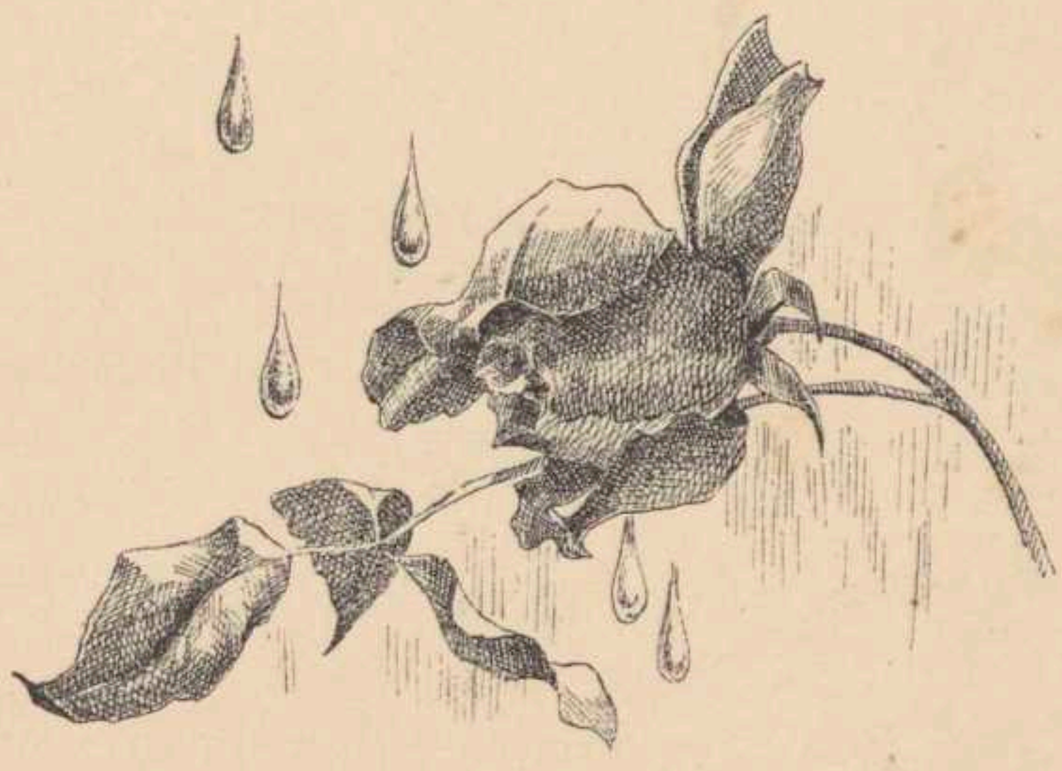

PO GRÓB — I JESZCZE...

Rzekła: — »Twe usta nigdy się nie śmieją,
Klnie tylko pieśń twa gryząca i dzika;
A śpiew, co dzwoni nadzieją,
Równie ci obcy jak ten, co zeń w słońcu
Brzmi pocałunków muzyka.

Nie znasz wiosennej pieśni, co w świątyni
Nagiego piękna ma swoje ołtarze,
Jak marmurowa bogini.
I tej, co, idąc, zakwieca po drodze
W majowe świat wirydarze«. —

I rzekła jeszcze: — »Gdzieś ty się rodziła,
Posępna wieszczko złowróżbnego losu?
I jakich przeznaczeń siła
Urzekła twą kolebkę?« — A ja: — »Dom i ród mój,
To izba nędzarzy była:

Z błota wykwitłam. Więc gdy duch mój wzlata
W pieśni — do słońca, do płonącej fali
Hymnów wszechświata,
Echo skarg i niedoli nizin bije za mną,
To blizkie, to znów z oddali.

. . . . . .

»Z nędznych poddaszy, gdzie zgłodniałe rzesze
Tłoczą się ciżbą burzliwą, zajadłą,
Gdzie w mrokach dyszy tłum szary,
Gdzie się na okruch chleba, zdobyty w czół pocie,
Człek rzuca, jak sęp na padło, —
. . . . . .

Zewsząd, ach, zewsząd leci, z każdej strony,
Jęk, co mnie ściga i nie chce mieć końca!
Jęk wieczny, nieukojony...
Nietoperz, co się w ciemnościach łopoce,
Chmura, co kryje blask słońca!

»Ten jęk mi radość i czar życia płoszy!
Pierzchają przed nim jutrzenkowe kraje
I upojenia rozkoszy,
I dreszcz miłości, i szał pocałunków, —
A tylko ból mi zostaje.

»Lecz jest ból, co się nie korzy, nie łamie,
Co z samym Bogiem walczyć jest dość śmiały.
I siła jest, której ramię
Przykute Prometeje w mękach żywo trzyma
Na dzikim wierzchole skały!

»I mroczna leci pieśń moja, i dźwięczy
Nad tłumem, a tłum pobladły jej słucha...
Tak gdzieś na lodów przełęczy,
Ponad umarłem morzem ranny orzeł leci
I głośnym skwirem wybucha!«

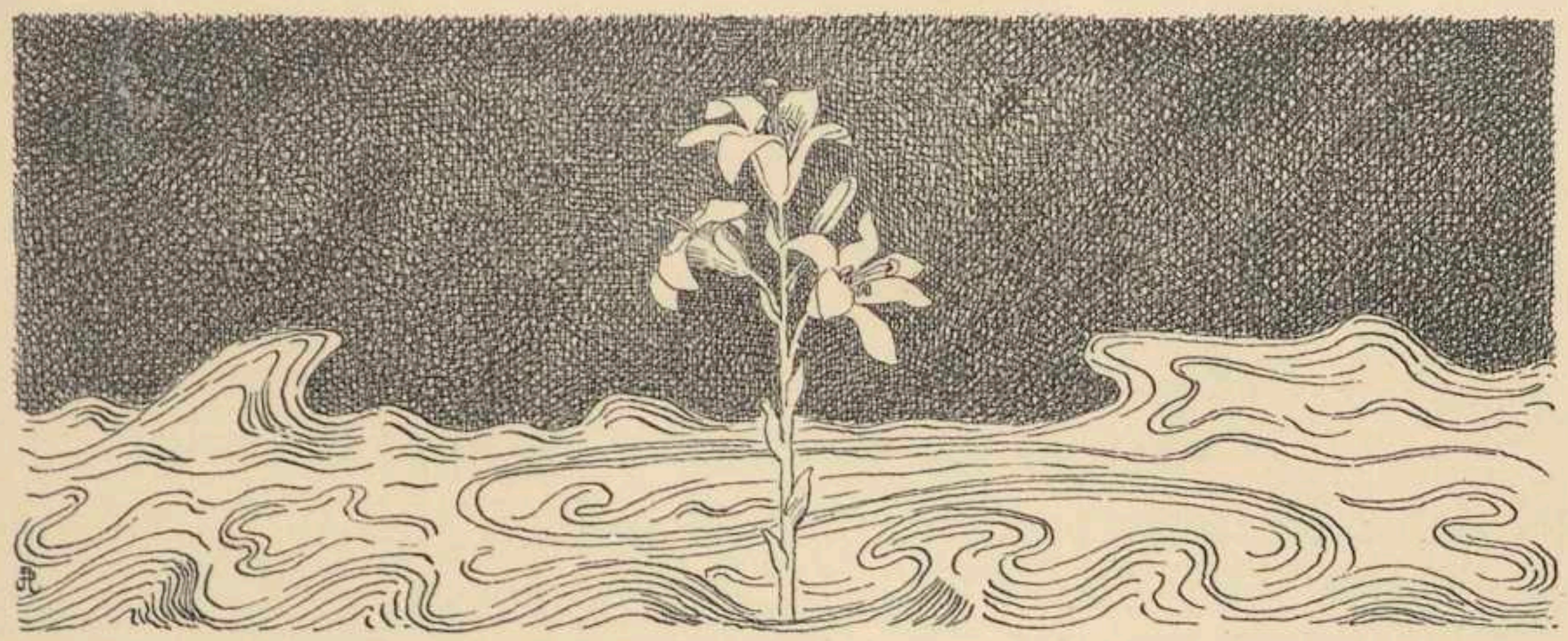

DZIEŃ DOBRY, NĘDZO!

...Kto we drzwi moje kołata? —
Dzień dobry, Nędzo! Nie strasznaś mi wcale.
Wejdź w próg mój, ty — lodowata!
Wyprostowana, jak żołnierz na wale,
Przyjmuję ciebie, bezzębny skielecie,
W twarz ci się śmiejąc... Patrz przecie! —

Nie dosyć? — Ha, postąp krokiem!
Dalej, upiorze ohydny, przeklęty!
Zabij nadzieję twym wzrokiem,
Rozszarp mi piersi szponami na szczęty,
Rozciągnij czarne skrzydła do ostatka
Nad łożem, gdzie kona — matka!

Wścieknij się! I cóż ci znaczy
Ta młodość moja i to życie moje?
Przecież nie! Ty mnie nie ujrzysz w rozpaczy
Upadającą! Ja — stoję!

Nad rumowiska, nad wichry zamieci
Mych lat dwudziestu kwiat świeci.

Nie wydrzesz mi boskiej siły,
Co w sercu mojem płomieni się żywa!
I nie zatrzymasz u szczęścia mogiły,
W promiennym locie, który mnie porywa!
O, czarna ksieni, twe jady nie mogą
Zabić mnie! Idę mą drogą.

Patrz, co na świecie jest słońca,
Ile róż młodych pąki swe rozwija!
Słuchaj, jak piosnka dzwoniąca
Z gniazd skowronkowych ku niebu się wzbija!
Co wzlotów ducha w nadziemskie przestrzenie,
Jakie namiętne piór drżenie!

Wiedźmo ty blada, bezkrwista,
Której trupie oblicze chusta czarna kryje,
— Jam dziecko ludu! Ognista
Krew, nowa, świeża krew, w mych żyłach bije!
Depcę twe groźby! Depcę mroków troski!
W przyszłości lecę świt boski!

Za berło chwytam królewskie
Pracy, przed której tronem ludy kiedyś klękną!
Za natchnień światło niebieskie,
Za nieśmiertelnej sztuki wieczne piękno!
Uśmiech lazurów chwytam, wonie kwiatów,
Gwiazd pocałunki i światów!

Ty — mijasz, czarna władczyni,
Jako złowróżbna chmura, co blask kryje słońca,

A ziemia jasną się czyni, —
Z cierni — fijołków tchnie woń czarująca;
— I ja zrywam twe pęta, i wśród skrzydeł bicia...
Lecę — i śpiewam hymn życia...

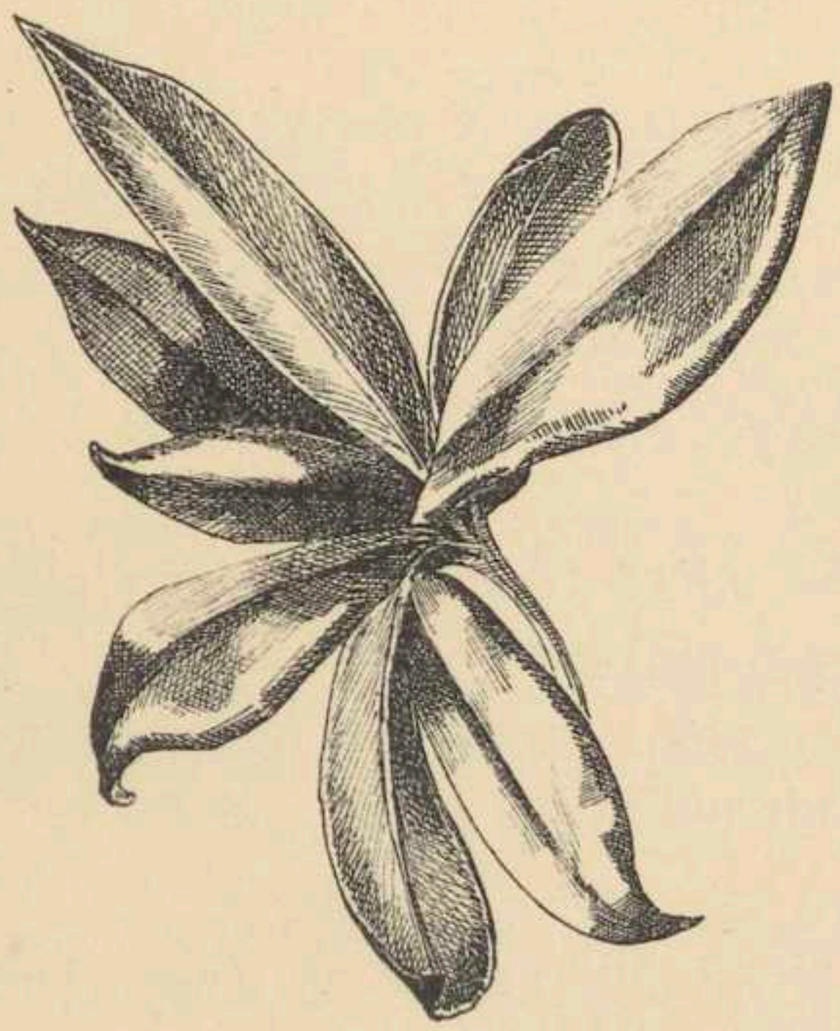

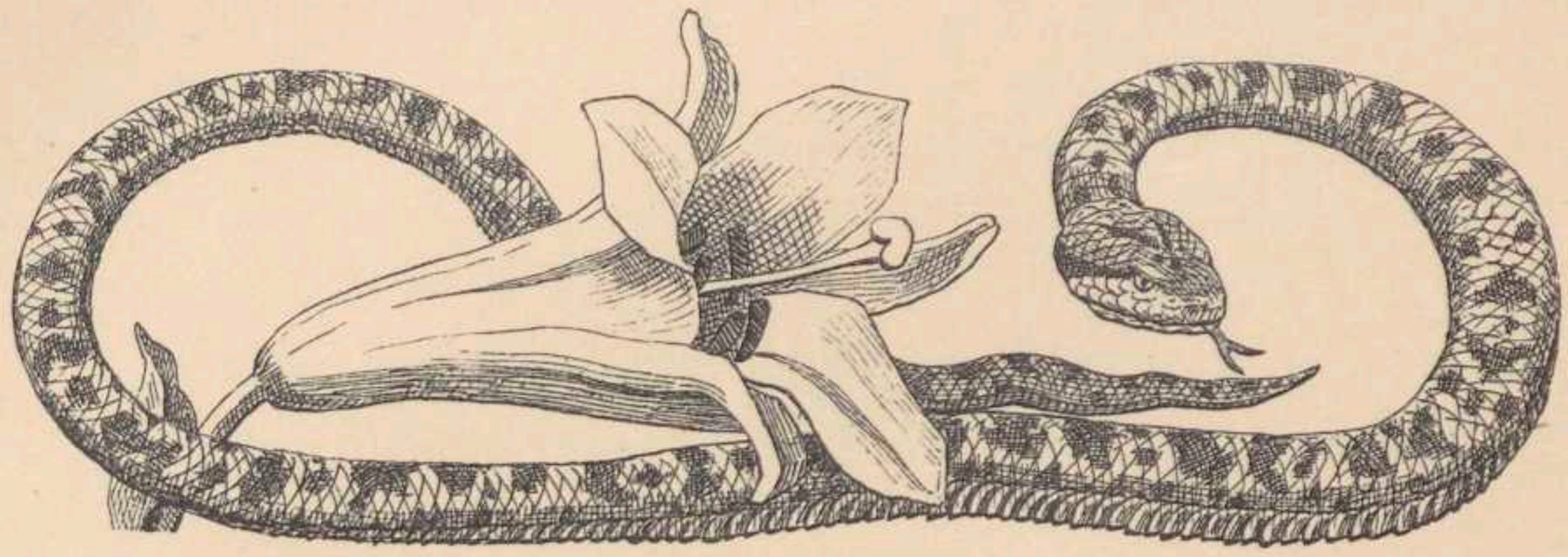

PIEŚŃ PŁUGA.

Jam jest miecz rdzawy, co ziemi pierś porze,
Jam siła jest i ciemnota.
Głód we mnie zgrzyta i palą się zorze:
Jam nędza — i bryła złota.

Znam bicz ognisty, którym siecze łany
Południe od żaru sine,
I znam świst smyczy, którą huragany
Grad pędzą w cichą dolinę.

Znam cierpkie wonie, co wiosna je z ziemi,
Tryumfująca i żywa,
Z pąkami kwiecia, z szmerami srebrnemi
Zdrojów i muszek — dobywa.

Każdy dzień pracy wyostrza me noże,
Złoci mnie trudów godzina.
Silny, wytrwały, mój lemiesz w ugorze
Niepłodne skiby rozcina.

Do chat zapadłych, do nędznych bud z gliny,
Gdzie deszcz przez pował się leje,
Gdzie przez otwarte wskróś chrustu szczeliny,
Zimowe świszczą zawieje, —

Gdzie przy gasnących polanach ogniska
Lenistwo czołga się gadem,
Gdzie trąd ohydny na twarzach wybłyska,
Pożerczym szerząc się jadem, —

Wchodzę i patrzę. A zaś zapomniany
W kącie, wśród głuchej tej zmory
Odwiecznych mroków, co dusi te ściany
Dymiącej, wilgotnej nory, —

Gdzie leżą, febrą strawione ryżowisk,
Kobiece ciała, jak snopy,
I gdzie w barłogu mizernych legowisk,
Rozgłośnie chrapiąc, śpią chłopy, —

Ja czuwam jeden, i jeden się płonię,
I śnię o nowej jutrzence,
Gdy, jak proporzec polny, na zagonie
Młodzieńcze zatkną mnie ręce;

Kiedy lud dzielny i pracą natchniony
Czarne rodzajnych ziem bryły
W słońcu przeorze na świeże zagony
Nowego życia i siły.

A wtedy białe powieją sztandary,
Z krwi bratniej oschną oręże,
I nienawiści zdeptany wąż stary
Pod ciosem światła polęże.

I wskróś miłością przepojonej ziemi,
Tchnącej wiosennych róż wonią,
Z walk oczyszczone między zawistnemi
Wolne się szranki odsłonią.

Wtedy głos ludu pod niebo uderzy,
W najdalsze lazurów końce,
Jak łkanie szczęścia, jak życia krzyk świeży:
— Chleb! Spokój! Praca! i — Słońce!

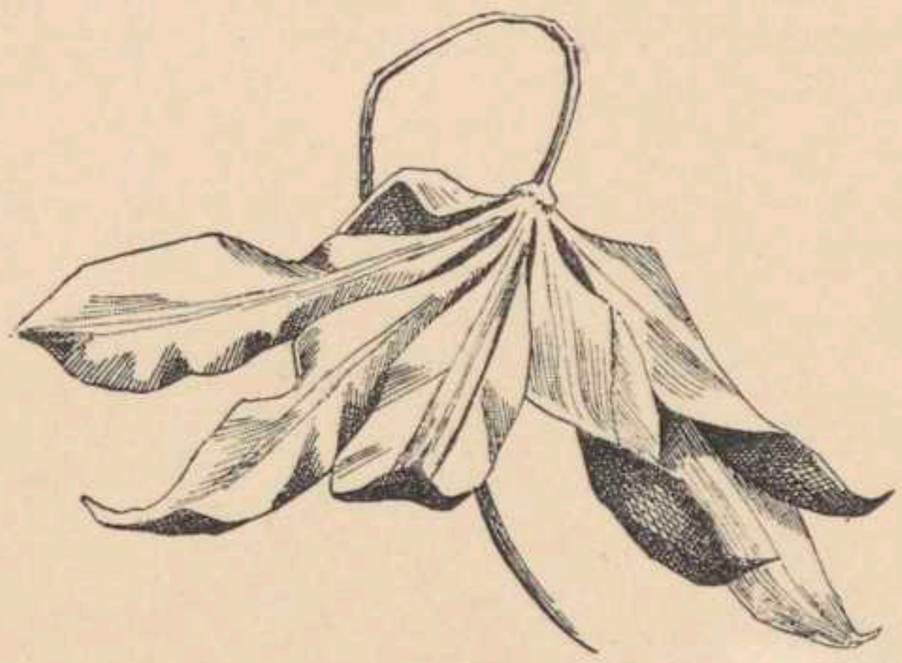

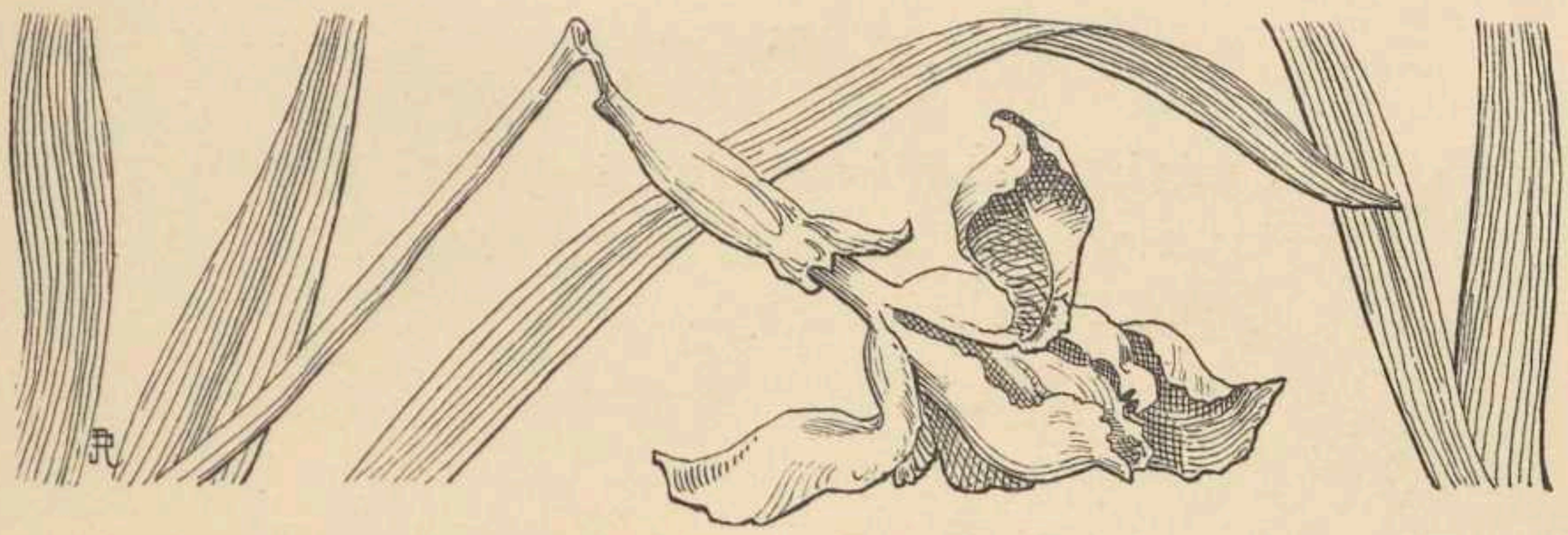

RĘKA W MŁOCARNI.

Toczą się pasy, zgrzytają kół zęby...
Nie spoczywając, choć pot rosi czoło,
Pieją najmici wesoło.

Wtem krzyk szalony, okropny krzyk dziki,
Ryk rozdartego w leśnej kniei zwierza
Nagle w powietrze uderza.

Porwana w tryby młocarni się kręci
Skrwawiona ręka, — o, dolo przeklęta! —
Kobieca ręka ucięta.

Toczą się pasy, zgrzytają kół zęby,
Lecz raźną pieśnią już głosy najmitów
Nie brzmią wśród trzasku i zgrzytów.

Z potem zmieszane po twarzach łzy płyną...
Grzmi motor, huczy młocarnia parowa,
Głusząc westchnienia i słowa.

A między tryby, kręci się i kręci
Skrwawiona ręka, — o, dolo przeklęta! —
Kobieca ręka ucięta.

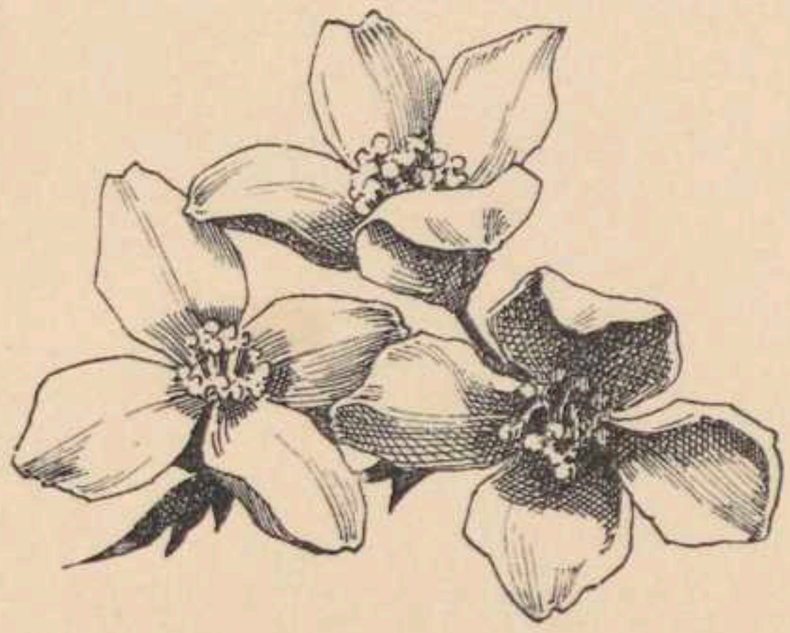

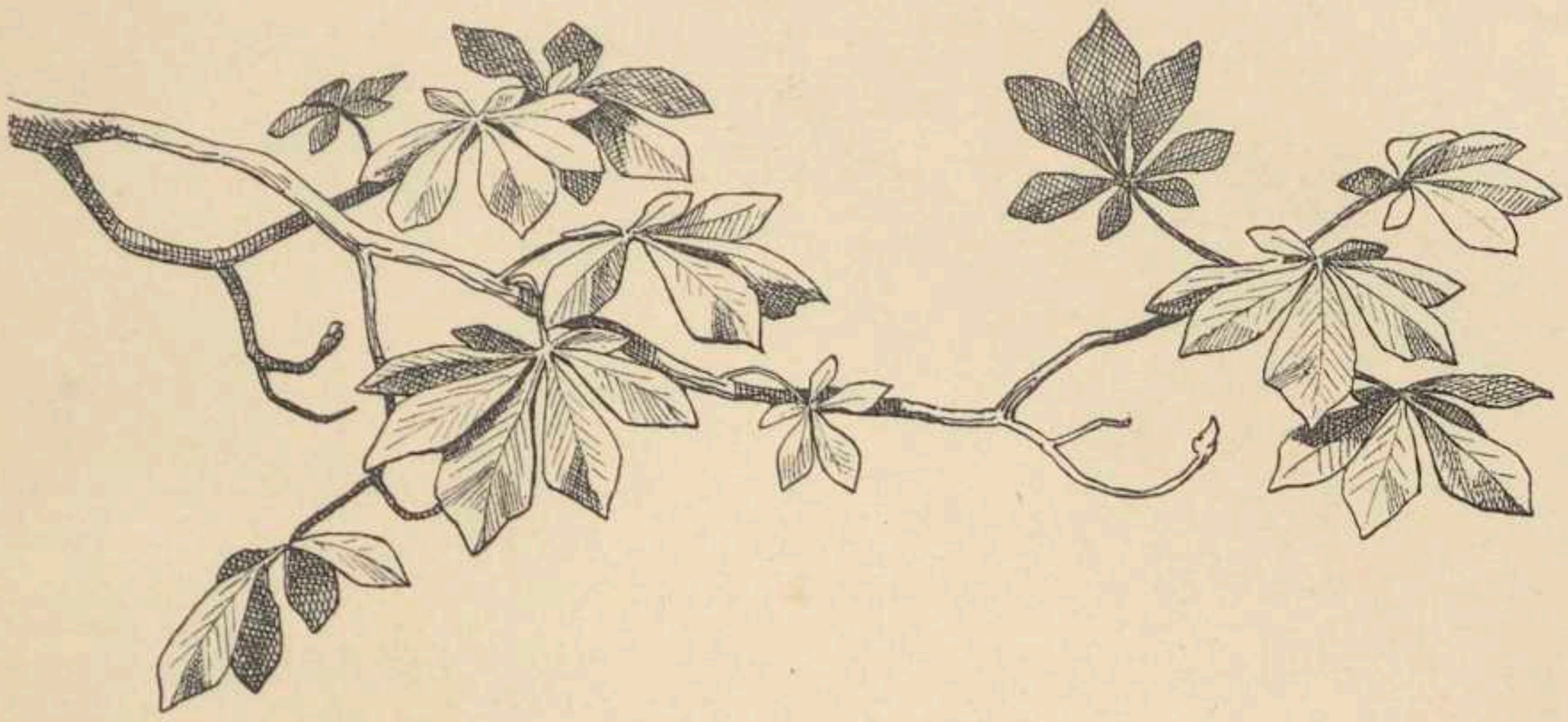

PRZĄDKA.

Wirują szpulki, nić wije się żwawo...
Ja śpiewam pieśni radosne,
Mam piękne oczy i chustkę jaskrawą,
A w sercu miłość i wiosnę.

Gdy rudą grzywę rozwiążę, rozplotę,
Gdzie słońce promień swój mruży,
Kto spojrzy na mnie, ma w oczach skry złote,
A w piersi błyskanie burzy.

Idę i nie dbam, choć cudne nadzieje
Szepce mi chwalca zuchwały,
Bo mam kochanka, co gdy się rozśmieje,
Oddam za niego świat cały.

Kocham go! On król ognistej kuźnicy,
Szyny żelaza on zgina,
On panem młota! Rosły, śniadolicy,
Ja przy nim — ot, jak dziecina.

Gdy kuje sztabę od żaru czerwoną,
Gdy łuny grają mu w twarzy,
Gdy skry się sypią, gdy oczy mu płoną,
Gdy ciemną szyję obnaży, —

Jam taka dumna z mojego siłacza,
Że nic o piekle, o niebie
Nie wiem, nie myślę, — Bóg miłość przebacza —
A tylko chcę go dla siebie!

Kiedy go czekam w izdebce poddasza,
A chwila schadzki przemija,
Coś mi dech dławi, coś boli, przestrasza
I w serce jakby nóż wbija.

Wtem krok znajomy po schodach się skrada,
Drzwi stukną, zaskrzypią progi,
A mnie drżą ręce i zrywam się blada,
Jakby dostały piór nogi.

Od dymu czarny, od kochania jasny,
Z uśmiechem wchodzi schylony,
Już mnie utulił, już w uścisk mnie ciasny
Drogiemi objął ramiony!

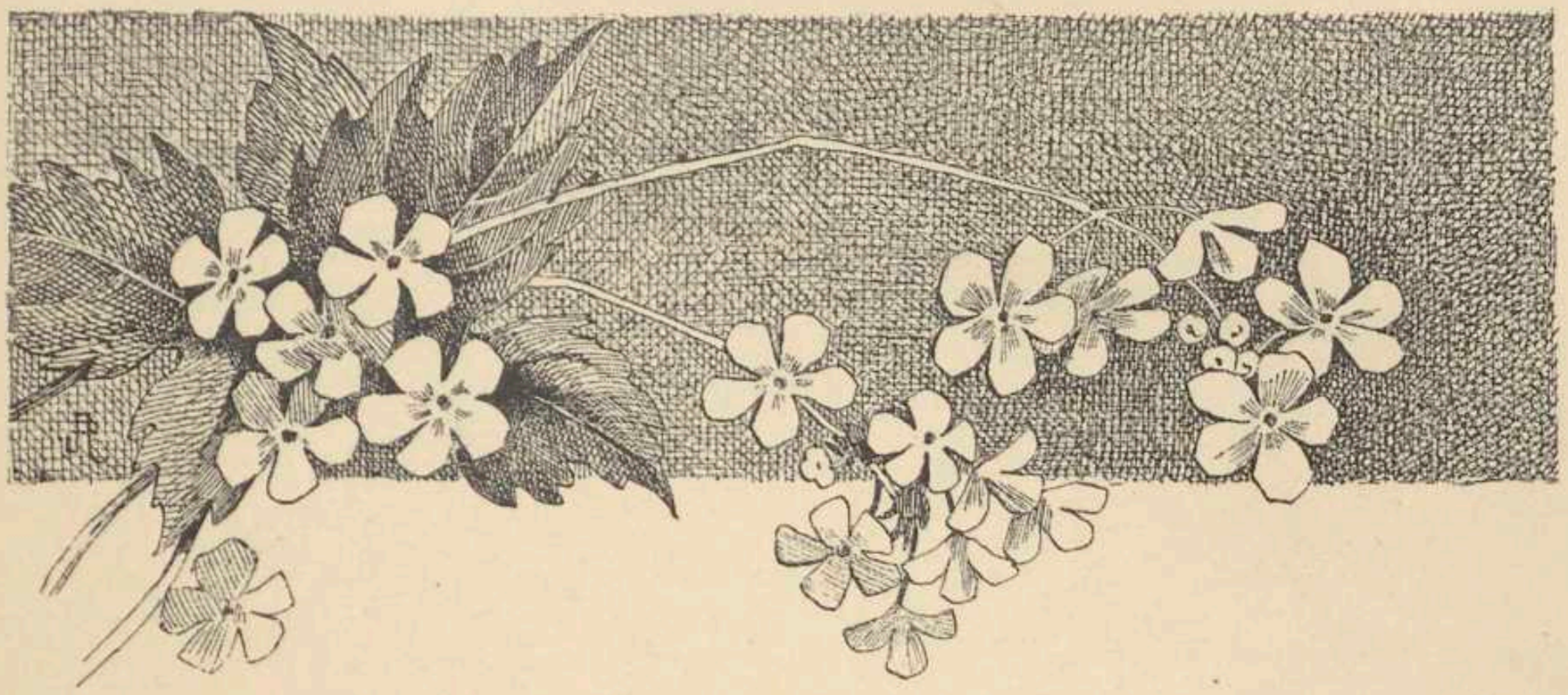

POCAŁUNEK POGAŃSKI.

Między zbóż złotem, pod jaskrawem słońcem,
Co rozpłomienia szeroko łan cały,
Na łonie skiby dymiącem,
Gorące usta dwojga się spotkały.

Śmieje się niebo, łan śmieje zbożowy,
Do pary drżącej w zachwycie.
Ten pocałunek, tak czysty, tak zdrowy,
Potężnem echem odbiło wszechżycie.

Otworzył powój pachnące kielichy;
Jak ust pierścienie w miłosnej pieszczocie,
W błękit słoneczny i cichy
Wzlata dech ziemi kwitnącej w zbóż złocie.

W przepychu światła, kochankowie młodzi
Stoją, uściskiem złączeni;
A szczebiot ptasząt, wskróś blasków powodzi,
Ginie w lazurów głębokich przestrzeni.

Dokoła, w gajów majowych rozdrożach,
W gniazdach ukrytych wśród cienia,
W kielichach kwiatów, w falujących zbożach
Drży pocałunek płodny upojenia.

SAM NA SAM.

Tu... sama z tobą, z tobą! Daj, o, daj mi
Wypłakać na swem sercu wszystkie łkania,
Od tylu, tylu lat wezbrane w piersi
Wszystkie tajone smutki, pożądania!

Potrzeba mi płaczu!

Na twojem łonie bijącem, o, daj mi,
Daj ukryć, wesprzeć me skronie znużone,
Jak kryje głowę ptak trwożny pod skrzydło,
Jak róża wspiera zbyt pełną koronę.

Potrzeba mi spokoju!

Do twego czoła młodego — o, daj mi
Przycisnąć usta płomienne i drżące!
Daj, niechaj szepną tobie jedno słowo,
Słowo szalone i upajające —

— Potrzeba mi — miłości!

PIOSNKA MATCZYNA.

Gdym, szczęsne dziecię, wśród cichej komory,
Głowę w poduszki tuliła ospała,
W długie, nad igłą schylona wieczory
Mateńka moja czuwała —

Śpiewając zwykle, czuwała. To była
Pieśń taka słodka i taka echowa!
Dotąd jej nuta ulotna i miła
Gdzieś w głębiach duszy się chowa.

Tak długie noce płynęły w bezdenną
Toń, jak trąconej harfy rozbrzęk złoty,
I tak przez ciemność szeroką i senną
Szły lekkim krokiem pieszczoty.

A mnie się śniło, śniło... Nad kołyską
Chóry aniołów latały dokoła,
I o miłości mówiły, tak blizko,
Tak piękne z nimbem u czoła!

. . . . . .

Dziś już nie śpiewasz. Tylko długą nocą
Surowej nędzy szydzi bezlitosny
Śmiech z twej starości zmęczonej niemocą,
I z mojej złamanej wiosny.

Dziś już nie śpiewasz, matko! Kwiat po kwiecie —
Uwiędła radość. Lecz na pastwę losu
Rzucona, zawsześ pogodna jest przecie
I do klątw nie wznosisz głosu.

Dzisiaj ja z serca, co pęka w kawały,
Rzucam, na każdy pocisk doli twardy,
Na poniżenie, nędzę, na świat cały —
Pyszną pieśń gniewu i wzgardy!

Lecz na me czoło pobladłe, surowe,
O, matko moja, gdy patrzysz milcząca,
Gdy zcicha wzdychasz, zwiesiwszy w dół głowę,
Wśród gorzkich myśli tysiąca, —

Jakiejś dalekie powiewy tęsknoty,
Jakiejś melodyi stłumiony dźwięk smętnej,
Do nóg mnie twoich pchają, do pieszczoty
Bolesnej, rzewnej, namiętnej.

I w tym półzmroku, z tych wspomnień podnietą,
Pod twoim wzrokiem, tą szarą godziną,
Chciałabym, matko, już nie być poetą,
Ale znów małą dzieciną!

Chciałabym znowu posłyszeć tę nutę,
Którąś ty niegdyś, przy pracy omdlała,
Przez senne cisze, szeroko rozsnute
Nad mą kolebką śpiewała.

I całująca lica twoje białe,
Które łez długich zbruździły już deszcze,
W twoich ramionach, jak dziecię znów małe,
Chciałabym usnąć raz jeszcze!

W HURAGANIE.

Kiedy rozwichrzonej burzy
Ryczy gniew, wściekłość szaleje,
Gdy błyskawic ognie żywe
Z świstem lecą przez zawieje,

Chciałabym w tym huraganie,
Wpośród złotych strzał rozbłysku
Stracić się, daleko stracić,
Utulona w twym uścisku!

Chciałabym w bezkresnym pędzie,
Gdy świat cały się rozkiełzna,
Mówić ci o buncie, co go
Nie znasz we mnie, i Bóg nie zna!

Dookoła wichrów wycie,
Mrok, trzask, burza piorunowa,
U stóp — zgroza i zniszczenie,
A na sercu twem — ma głowa!

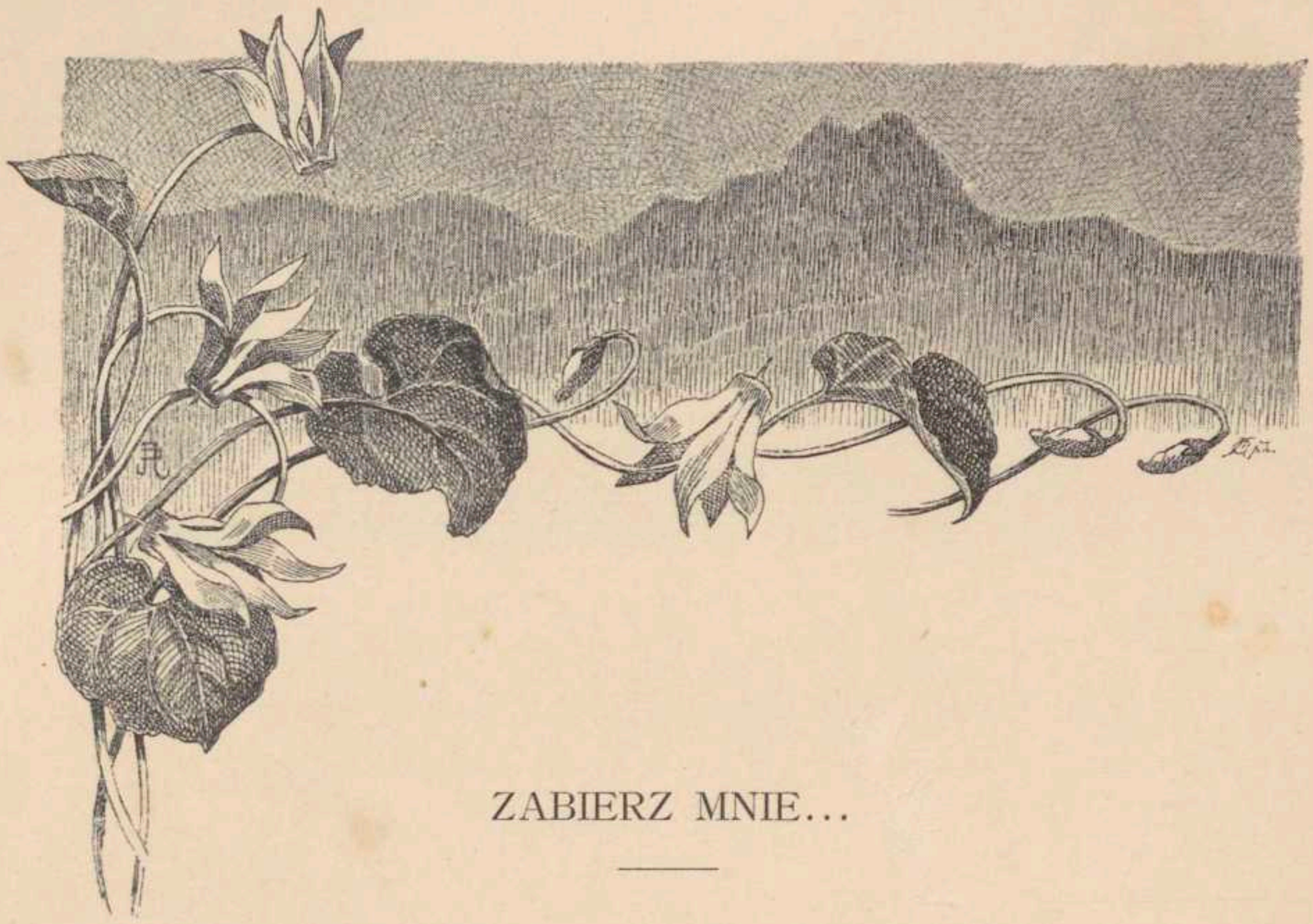

ZABIERZ MNIE...

O, weź mnie wysoko, wysoko! Tam, w góry,
Gdzie wieczny śnieg leży, gdzie srebrzą się szczyty,
Gdzie orzeł, szumnemi wzbijając się pióry,
Słoneczne rozkrawa błękity.

Gdzie niema już błota, gdzie świata syk węży
Nie dojdzie aż do mnie z ludzkiego poniża,
Gdzie nie tak jest straszne, i nie tak mi cięży,
To brzemię — co zgina mnie — krzyża!

O, weź mnie wysoko, bym mogła być twoją,
Gdzie górski wiatr bierze wskróś świerków swe loty:
Fijołków alpejskich niech tchy nas upoją
I jutrzni różanej pieszczoty!

Tu serce ustaje, tu pierś ledwo dyszy,
Tu pieśni me dławi dech bagnisk ponury...
— Tam, tam chcę cię kochać, na szczytach, wśród ciszy
Wieczystej! O, zabierz mnie w góry!

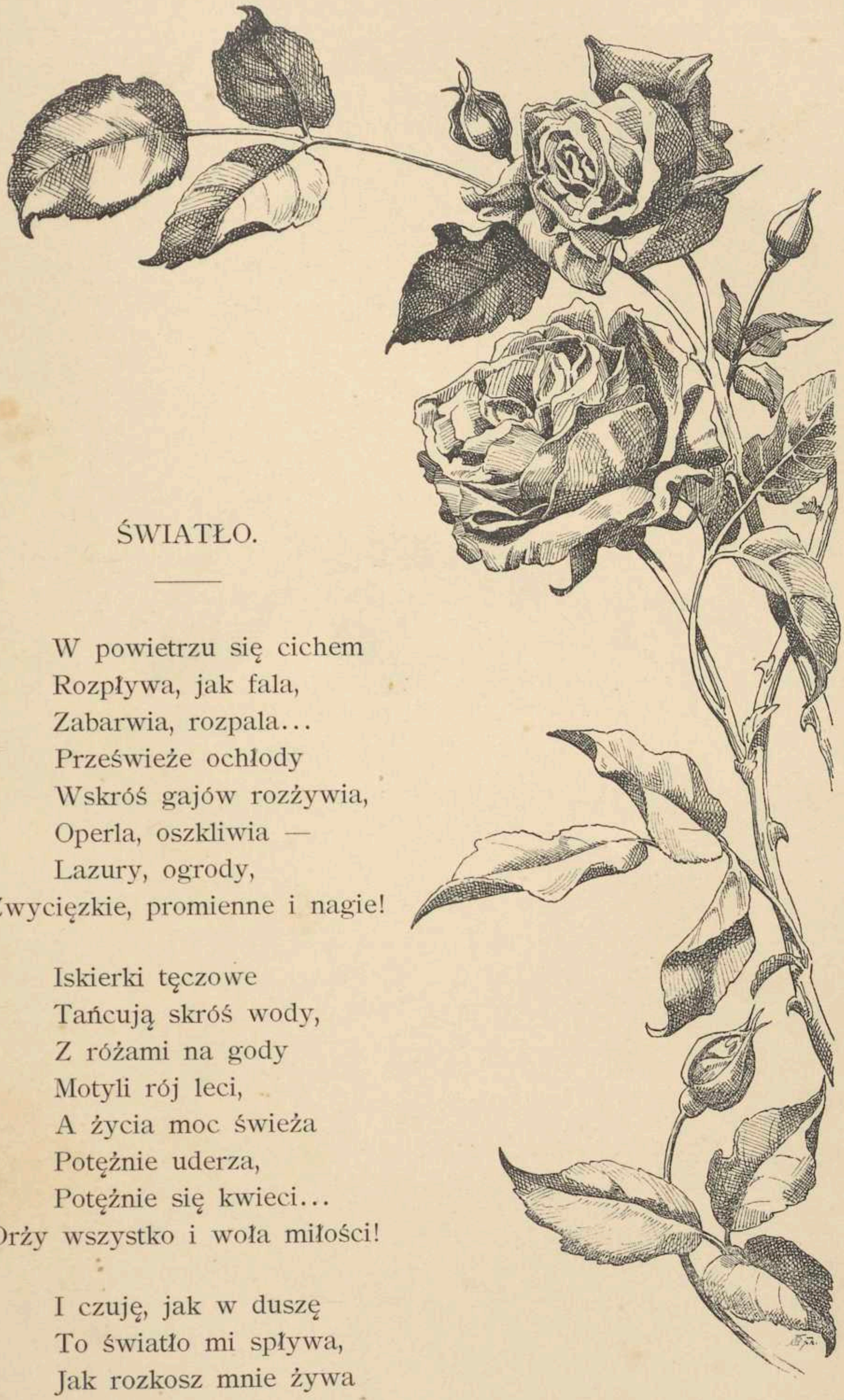

ŚWIATŁO.

W powietrzu się cichem
Rozpływa, jak fala,
Zabarwia, rozpala...
Prześwieże ochłody
Wskróś gajów rozżywia,
Operla, oszkliwia —
Lazury, ogrody,
Zwycięzkie, promienne i nagie!

Iskierki tęczowe
Tańcują skróś wody,
Z różami na gody
Motyli rój leci,
A życia moc świeża
Potężnie uderza,
Potężnie się kwieci...
Drży wszystko i woła miłości!

I czuję, jak w duszę
To światło mi spływa,
Jak rozkosz mnie żywa

Istnienia przenika,
Jak wzbija się lotem
Snów rzesza śmiejąca,
W powietrzu tem złotem,
W promienność bez końca...
Jam pani i natchnień i słońca!

WIDZĘ WAS ZNOWU...

Więc znów was widzę, w życiowej zawiei,
Wy biedne, drogie izdebki mej matki!
Ileż się w pierś mą tłoczyło nadziei,
Gdym z was leciała w świat, jako ptak z klatki!
— Więc znów was widzę, w życiowej zawiei...

O, echa piosnek, o, kwiaty wy miłe,
O, łóżko białe, śnie dziecka radosny!
Przez jakąż boską i czarowną siłę
Mówicie do mnie o maju mej wiosny?
— O, echa pieśni! O, kwiaty wy miłe!

W sercu mem ufność odnawia się, rośnie
Wśród tych ścian drogich! Z dalekiej gdzieś strony
Uśmiech, kwiat wiary, tak świeży, jak w wiośnie,
Na usta wraca, — oddawna zgubiony.
— W sercu mem ufność odkwita i rośnie...

Matko! Raz jeszcze, w tej ciszy, przy tobie,
Pod twą pieszczącą dłonią chyląc głowę,

Chcę u twych kolan, jak w dawnych dni dobie,
Szeptać ci słowa smutne i echowe...
— Matko, raz jeszcze w tej ciszy, przy tobie!

O, nie opuszczaj mnie nigdy, bądź ze mną,
Chmurnej mej wiosny podporo jedyna!
Przy tobie traci zwątpienie moc ciemną,
Dusza dławiących trwóg swych zapomina...
— O, nie opuszczaj mnie nigdy! Bądź ze mną!

— Cichym owiane oddechem spokoju,
Gwiazd na lazurach złociste drżą światy...
Milczy ból ziemi i milczy krzyk boju,
Jak uciszony wiatr, jak senne kwiaty,
Cichym owiane oddechem spokoju...

DZIKA.

Powolnym dreszczem liść wiotki szeleści.
Bór to zaszepce, to zmilknie znów cichy,
A wiatr mu prawi powieści

I tak zaczyna: — »Raz była«... — A głucha
Trwoga przeczucia bór wstrząsa westchnieniem,
Więc drżący w szumach swych słucha.
. . . . . .

— »Raz była — perła ot, w cygańskiej budzie.
Płomienne wargi, rudą miała grzywę,
A »Dziką« zwali ją ludzie.

Wtem pokochała. A był w tej miłości
Spazm upojenia, wybuchy słodyczy,
Łez, śmiechu, światła, ciemności.

Lecz dnia drugiego, w miłosnym swym szale,
Próżno czekała kochanka, drżąc cała:
Nie przyszedł, nie wrócił wcale.

Wtedy cyganka twarz śniadą podparła
I rzekła: — »Na co mi dalej wlec życie,
Gdy miłość moja umarła?« —

...Z listka na listek wiew leci a wzdycha...
— »I wnet o wiecznym spokoju jej prawi
Woda głęboka i cicha.

O zapomnieniu prawi«. — Jakaś skarga
Przewiewa w szumach: — Tak wszystko stargane,
Gdy miłość życie potarga...

— »Więc się cyganka podniosła, i drżącą
Pięść zacisnęła, i szczęścia ułudę
Przeklęła w obliczu słońca.

Potem skoczyła w wodę. Jej ognisty
Warkocz, jej młode ciało pokalane,
Nakrył nurt chłodny i czysty«. —
. . . . . .

Tak opowiada wiatr. A noc ponura
Schodzi w głąb boru, co w mrokach swych duma,
A czoło jej kryje chmura.

I zwolna, zwolna wiatr wyżej się wzbija,
Płacze, zawodzi, i z dzikim poświstem
Mroczne swe skrzydła rozwija.

Aż nagle łkanie śmiertelne wybucha,
I krzyk, i wycie przeciągłe rozpaczy...
A przerażony bór słucha.

I cisza. Słychać stłumionych słów dźwięki,
I gniewne klątwy szeptane w przelocie,
I tchy zdyszane i jęki.

Blada i naga, znużona i smutna,
Błąka się w borze — i bieży, i wraca
Dusza cyganki pokutna.

A w szumie liści rozchwianych głos szlocha:
— »Niema spokoju na dnie rzeki! Serce
Pamięta wszystko, gdy kocha!«

WYZWANIE.

O, świecie mieszczańskich świętoszków, karmiony
Słodyczą i cyfr i łakotek!
O, świecie opasły, co liczysz miliony,
O, świecie zalotnic, dewotek! —

O, świecie, narkozą strawionej kobiety,
Co na mszy z kochankiem się schodzi,
O, świecie cudzołóztw i sztucznej podniety,
Gdzie wiosny nie czują i młodzi, —

I tyż-to, o, nizki, kłamliwy, a srogi,
Chcesz zakryć mi słońca blask złoty?
I tyż-to, pigmeju, zrodzony do trwogi,
Chcesz skrzydeł wyłamać mi loty? —

Ty ziewasz — ja śpiewam, ty w bagnie — ja w locie;
Ty kłamstwo i jad masz — ja wzgardę!
Żar natchnień unosi me pieśni, me harde, —
Ty w własnem pogrążasz się błocie.

O, świecie, ty gęsi, i gadów ty, świecie!
Przeklinam cię, nędzny, bez woli!
I z wzrokiem utkwionym w gwieździste zamiecie
Ulatam naprzeciw mej doli!

Ulatam bezbronna i światła spragniona —
Ty pełźniesz sceptyczny i stary...
Tem głośniej pieśń wieszcza wybucha mi z łona,
Im mniej masz miłości i wiary!

Idź dalej swą drogą i złotem zwodniczem
Wyzłacaj swe ślady i brudy!
Ja wrzących słów moich uderzam cię biczem, —
O, świecie ty fałszu, obłudy!

LITOŚCI!...

Do ciebie wołam, o, Panie,
Co patrzysz na mnie z pomroku!
— Bije godzina... W oddali
Spiż jęczy, jęczy w obłoku...
Rozciąga noc czarne skrzydła,
A ja, na klęczkach, wzburzona,
Modlę się we łzach u łoża,
Na którem matka mi kona...
...Litości! —

Już gasną drogie jej oczy,
Śmiertelne roszą ją poty...
— Boże, z nicości i z cienia,
Coś na szczyt wstąpił Golgoty,
Coś w cierniach krzyż niósł swej męki,
Coś padał we krwi i w pyle,
Wysłuchaj głosu mojego,
Oddal, ach, oddal tę chwilę...
Litości!

Litości dla niej, co cierpi!
Litości dla niej, co kona!
A ze mną uczyń, co zechcesz,
Potęgo nieprzemożona!
Okryj mnie wstydem przed światem,
Pohańb mnie, zdepcz moją dolę,
Zmarszczki przedwczesnej zgryzoty
Wyryj na młodem mem czole. —

Pozbaw mnie wiosny, miłości:
Niech grom mi wszystko rozbije,
Prócz kruży gorzkich łez moich...
— Lecz matka, matka niech żyje!...
Litości!

NIE!

—

— Odpowiadając, rzekłam: — Nie kochałam
Ciebie, nie kocham — woli mej nie złamiesz.
Nie będę twoją ni żywa, ni martwa! —
A na to rzecze on: — »Kłamiesz«! —

Rzekę: — Nie, nigdy! Jeśli kocham ciebie,
Bóg na mnie gromem się zamierz!
Na zawsze z serca wydalam cię mego! —
A na to znowu on: — »Kłamiesz!« —

Więc ja: — Daremnie, straceńcze ty blady,
Duszy mej wołasz do siebie i szlochasz.
Wieczystą pieczęć kładę na me słowa:
Nie kocham! — Na to on: — »Kochasz!« —

Wzburzona spojrzę, lecz — niepokonana:
— Przez miłość swoją nieszczęsną, przez cienie
Matki umarłej twojej, i przeze mnie
Samą, przez moje cierpienie, —

Przez Boga, który wszystko widzi, słyszy,
Przez smutną gwiazdę twojej smutnej doli,
Przez krótkie życie me, co gaśnie w ciszy —
Uwierz niezłomnej mej woli!

Odejdź, zapomnij! Co ciebie tu trzyma?
Dumy swej tylko dogadzasz potrzebie...
Ja w sercu twojem, jak cień, tak przeminę...
— A na to znów on: — »Chcę ciebie!«
. . . . . .

I w tem bezsilnem pragnieniu skupiony,
Stoi tak, prawie u szaleństwa granic.
A ja raz jeszcze powoli i zcicha:
— Co chcesz? Co czekasz? Nie! Na nic!

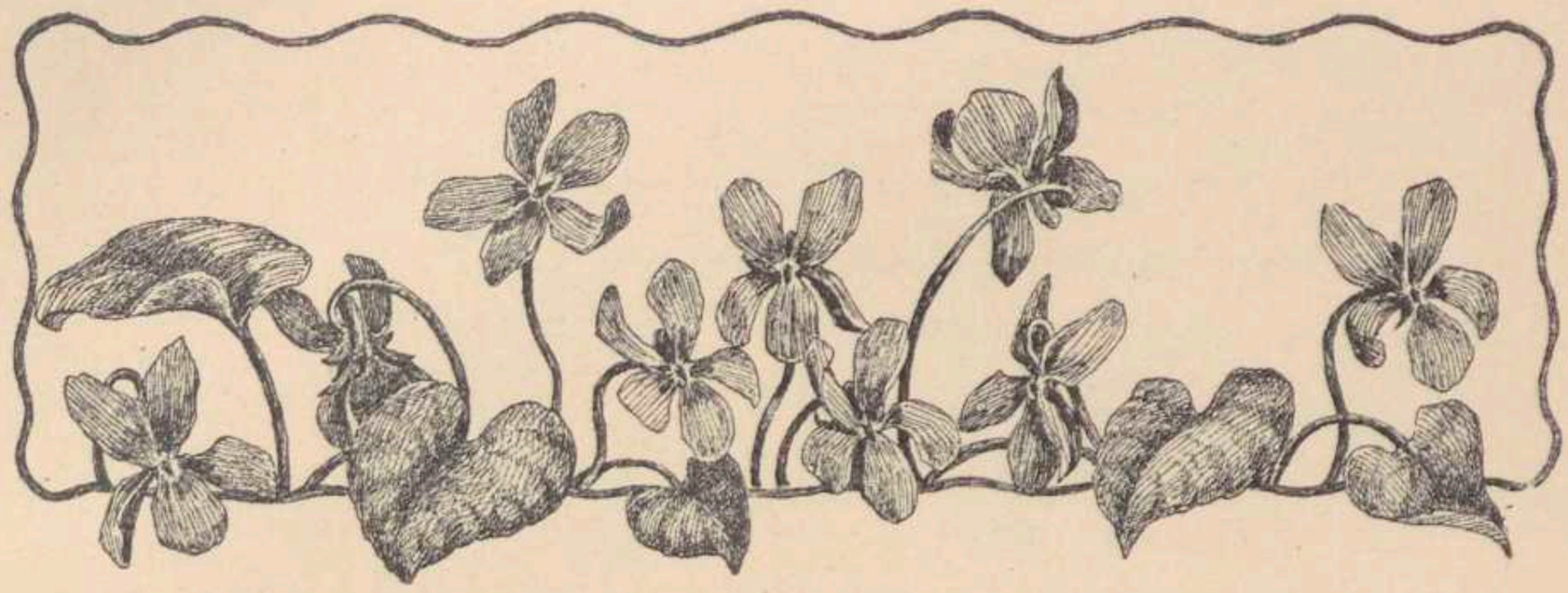

PIEŚŃ WIOSENNA.

Miłości, o, miłości, wszystko czuje ciebie!
Ty boskiem tętnem bijesz w ziemi łonie,
Wolnym tchem wiatru ty latasz po niebie,
W pierwszych fiołków ty kryjesz się słodkie,
Lękliwe i czyste wonie!

Wieczny prąd życia, ty płodna, grzejąca,
Ledwie zrodzone źdźbła przenikasz dreszczem.
Z skowronkiem śpiewasz, wśród pyłków tysiąca
Słonecznych latasz, i niebo i ziemię
Iskierek wyzłacasz deszczem!

Miłości — o, miłości — wszystko czuje ciebie!
— Wszystko drży w uniesieniu twoim niepokojem.
Woń dajesz różom, skrzydła powiewom na niebie,
Ziemię nakrywasz szeptem i pocałunkami...
Lecz martwaś jest — w sercu mojem.

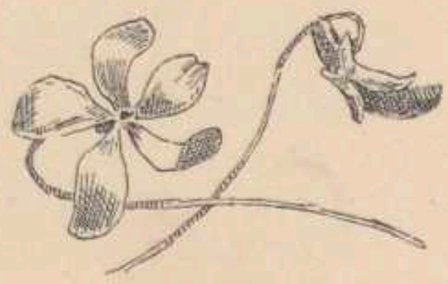

NIE MOGĘ...

Czemu, gdy słodkim, czarującym głosem,
Tułacze swoje malujesz mi życie,
Błękit twych oczu tak jest rozkochany,
A w mojej piersi takie serca bicie?
— Na snów umarłych nie prowadź mnie drogę.
Nie, nie! Nie mogę...

Czemu, gdy, cicha, słucham twojej mowy,
Co jest jak harfy trąconej muzyka,
Płomień wstępuje na twoje oblicze,
A żyły moje dreszcz nagły przenika?
— Na snów umarłych nie prowadź mnie drogę...
Nie, nie, nie mogę!

Inny mnie woła los. Nigdy w godzinie
Rozkoszy, kiedy zmysły się upoją,
I nagłym szałem buchną, nigdy usta
Kochanka do mnie nie rzekną: — »tyś moją« —
Wargi-by moje pieszczotę namiętną
Czuły, jak piętno!

Myślałżeś kiedy czem miłość jest dla mnie?
— Słońcem radości, upojeniem sławy,
Tryumfującym rozkwitem mej wiosny,
Hymnem nadziei, snów pieśnią i jawy!
Miłość — to ducha natchnienie, a ciała —
Mistyczna strzała!

A przecież, — przecież patrz! Odpycham ciebie.
I prosta, czysta odchodzę w noc ciemną.
A ty nie pytaj, jaka tajemnica,
Jaka moc krąży dokoła nademną.
— Na snów umarłych nie prowadź mnie drogę...
Nie, nie! Nie mogę!

WIDZIADŁA.

Patrzyłam w morze o brzegi bijące,
I otom nagle ujrzała,
Że zdradna fala mar niesie tysiące,
Kołysząc lekko ich ciała.
. . . . . .

W mokrych porostów płynęły symarze
Włosy puszczone na morze,
Zagasłe oczy, strawione ich twarze,
A z mętnej wody u stóp im błyskały
Rdzawe sztylety i noże.

Wtem z ust wybladłych jęk wyszedł chrapliwy,
I ślina wyszła, i piana.
Jęk, z hukiem morza, co niosło swe grzywy,
Zmieszany, w sercu mem przemówił... Zwolna,
Zwolna ugięłam kolana.

Topielców był to korowód przegniły,
Co samobójczo się zdali

Na łaskę morza, bez woli, bez siły, —
Ofiar z utkwionem wskroś piersi żelazem,
Rozbitków losu i fali.

Rzekli mi: — »Co tam na ziemi się dzieje?« —
Odpowiedziałam: — Łzy płyną,
Obłuda górą, nienawiść szaleje...
Stokroć szczęśliwsi wy, na dnie skalistem,
Gdzie srebrne wiry się winą!

— Rzekli: — »Zejdź do nas w te jasne ochłody,
Między alg lekkich warkocze!
Miłość uchronę ma w głębiach tej wody,
Na ziemi zasię nie zaznasz spokoju...
Tu koniec... Zejdź w to przezrocze!«
. . . . . .

I oto ponad widmowe ich ciała
Ugasać poczęły zorze,
A toń bezbrzeżna w półmroku się zdała,
Jak ciche spoczynku łoże.

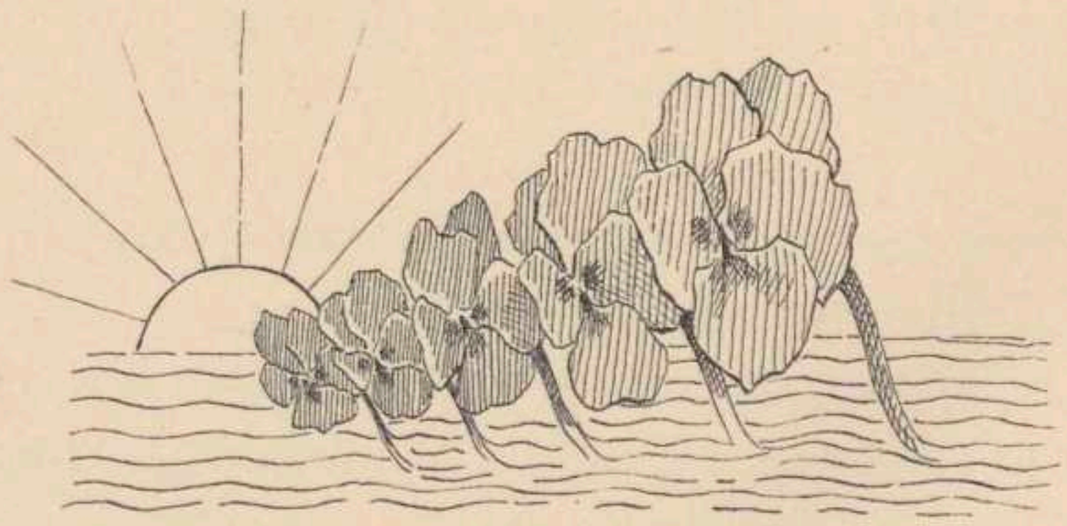

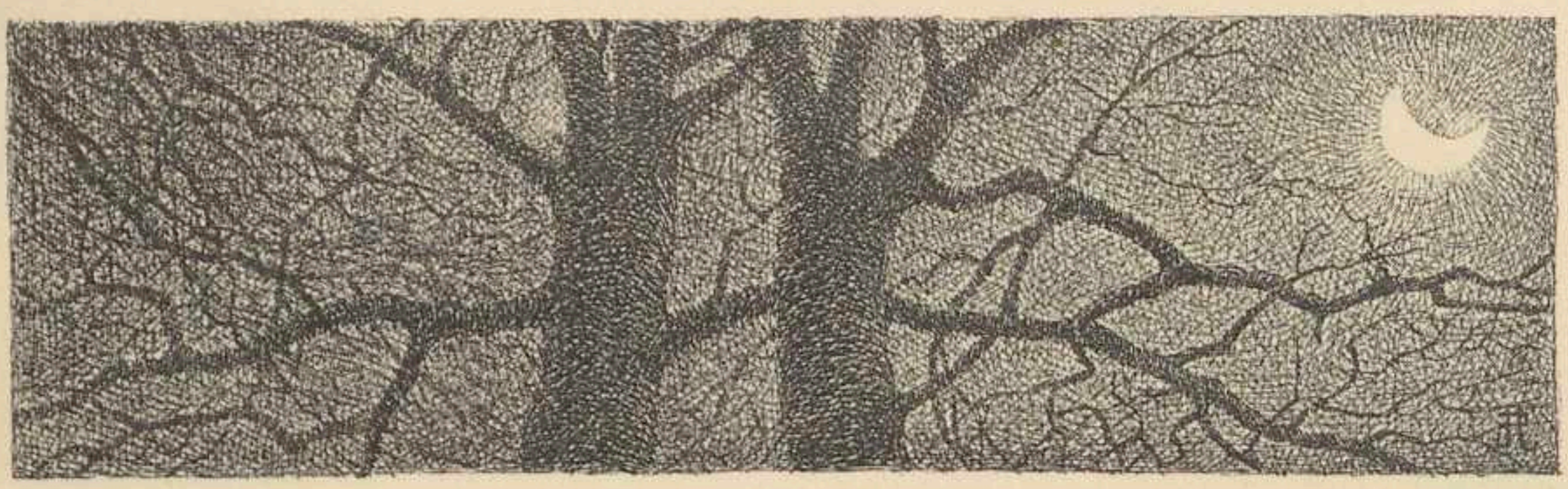

NOCNA JAZDA.

Jedziemy. Północ bije. Chudy koń utyka.
Nędzny wózek się trzęsie, kół skrzypi muzyka.
— Woźnico! Śmignij-no biczem! —
Wesołym dzieciom losu, co żyją bez dachu,
Gęstwa boru nie groźna, mrok nie ma przestrachu,
A droga nie nuży niczem.
Wszystko śpi... Hej, woźnico! A śmignij-no biczem!

Z poza chmur księżyc mruga i patrzy półokiem.
Złośliwy starowina nad równin tych mrokiem
Idzie, a młodym zazdrości...
W pochmurne niebo wznosi bór nagie konary,
Jakby ramion skieletów modlących się mary.
— Co mówisz, Nieskończoności?
Z poza chmur patrzy księżyc, i młodym zazdrości.

Prosta, wzburzona, blada, z zgubionem spojrzeniem
Z włosami na wiatr, gadam z przepaści milczeniem,
A mrok jej wszystko pochłania...

Modły i bunty duszy, pocałunki, wzloty,
Sny, łzy, winy, szalone przedśmiertne pieszczoty
Otrawionego kochania,
Dreszcze, westchnienia, — wszystko ta ciemność pochłania!

— »Gdzie pędzisz? Czego szukasz?« — pytają mnie chórem
Błędne ogniki, świecąc pod cmentarnym murem
Drżącem światełkiem zwodniczem.
— Nie wiem! Szukam mej doli. Może nie ma końca
Ta droga, ta noc czarna... Nie dbam! Szukam słońca!
— Woźnico, śmignij-no biczem!
Nie lękam się was duchy, z cmentarnem obliczem!

W szerokiej, głuchej pustce, w ukojonej ciszy,
Myśl ludzka w tajemniczej pracy czuwa, dyszy —
Jak seraf ognistej mocy...
Czuwa, i siedmioskrzydła, w polocie zapału,
Dotyka ślepej ziemi, mogił, ideału,
I świateł srebrzystej nocy.
Leć, serafie! Leć, myśli, w ognistej swej mocy!

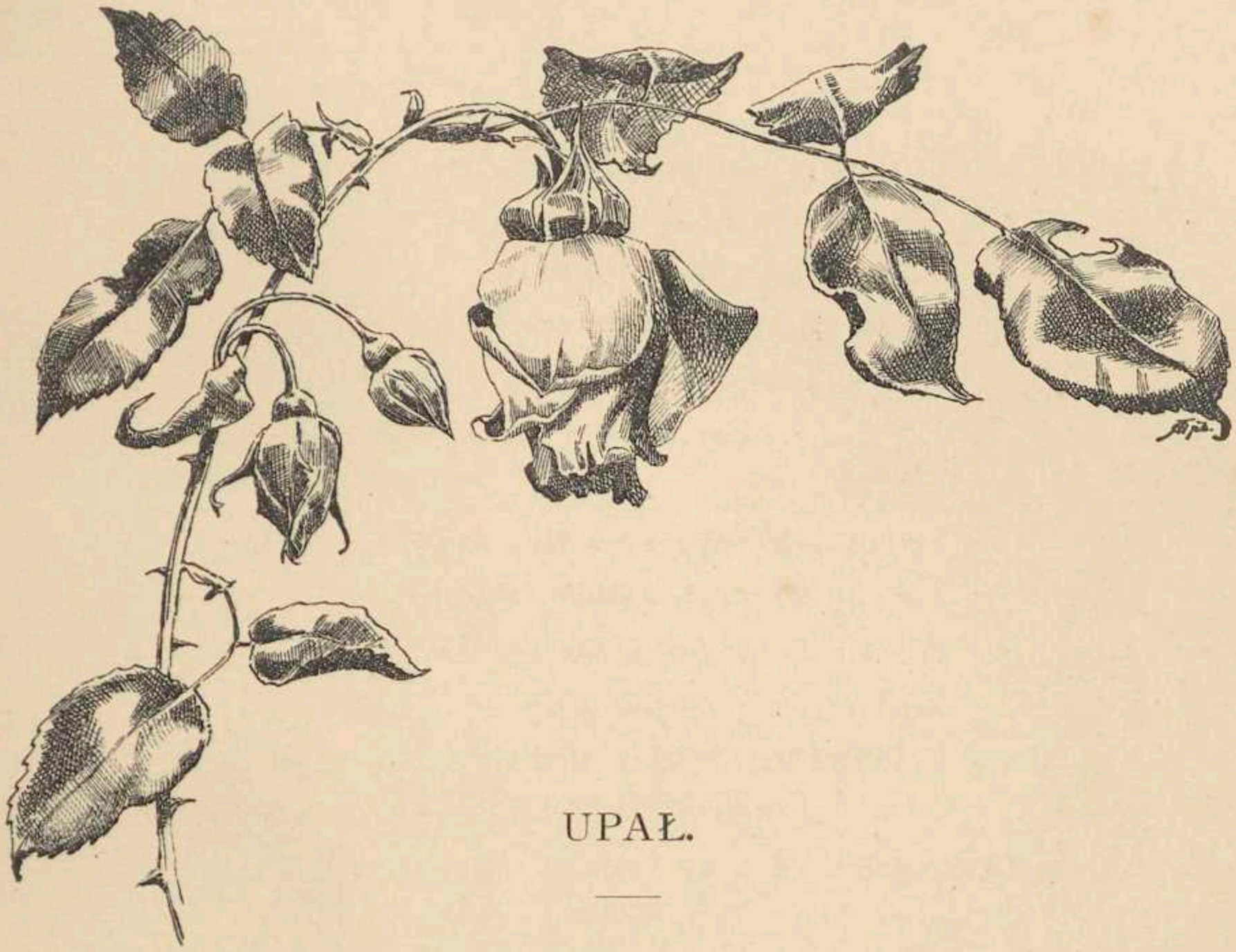

UPAŁ.

Stoi słońce i powietrze
Atomami mżące złota.
Kraj — pustynia nieruchoma,
W ogniu, w pyle gorejąca...
Jak wąż syczy w żarach słońca
Spiekota.

Upał martwy i bezwładny,
Jak ołowiu cięży bryła.
Pęka z strasznej suszy ziemia,
Leżąc smutna i omdlała,
Jak przerażająco biała
Mogiła.

Spokój. Senna i dziewicza
Róża, kielich swój otwiera,
Żądzą miłości trawiona,
I chyli go w żarach słońca,
I cała omdlewająca
Umiera.

Dżdżu woła, przyzywa rosy
Ta agonia wszelkiej duszy!
Pocałunku chce ochłody,
Chce choć kropli z szczęścia zdroju,
Dla samotnych w życia znoju
Serc — w suszy...

Darmo! Wszystko pała, gore,
Zarem śmierci tchnie pożoga,
A w straszliwym majestacie,
Nad polami zetlałemi
Uroczysty, cięży ziemi
Tron Boga!

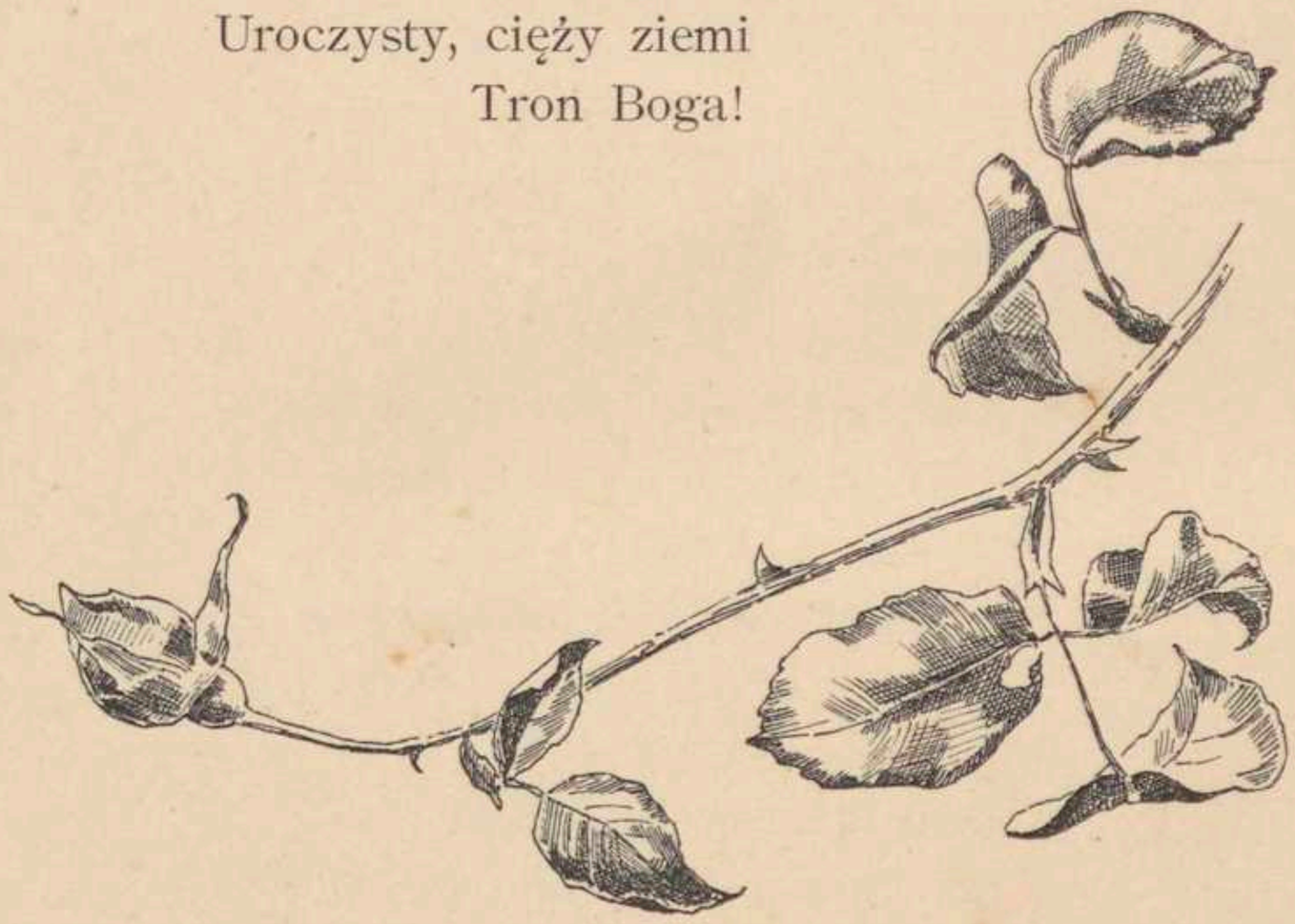

CHCESZ WIEDZIEĆ?

— Chcesz wiedzieć: Kto ja? — Posłuchaj, o, dziecię!
Jam ptak, w samotnem więzieniu zamknięty,
Ptak, o szerokich i potężnych skrzydłach!
W słońce chcę lecieć, a męczę się w sidłach,
I ranię żywą pierś o klatki pręty.
— Jam ptak! Posłuchaj, o, dziecię!

Ja o miłości marzę leśnych kwiatów,
W zmierzchu i gęstwie przedwiekowych kniei,
O rozhukanych stad szałach, na piaskach
Zwrotnikowego świata, i o blaskach
Żarzących pustyń. Marzę o zawiei
Burz, i promieni, i kwiatów.

Czasem, porwana wizyą, na ból głucha,
Rwę się do lotu, rozpaczam, złorzeczę,
A świat przechodzi mimo i nie słucha...
Lecz ja — uparty jeniec w więzach ducha —
Namiętnie skrzydła rozwarte kaleczę.
...Świat idzie mimo, nie słucha.

O, kto mnie puści? Kto wyrwie tej śmierci,
Kto wróci błękit mi nieskończoności?
Kto mi wyważy drzwi mojej mogiły?
Ja lecieć, lecieć pragnę! Ja mam siły!
W słońce chcę lecieć, szalona z radości!
Ja chcę swobody — lub śmierci!

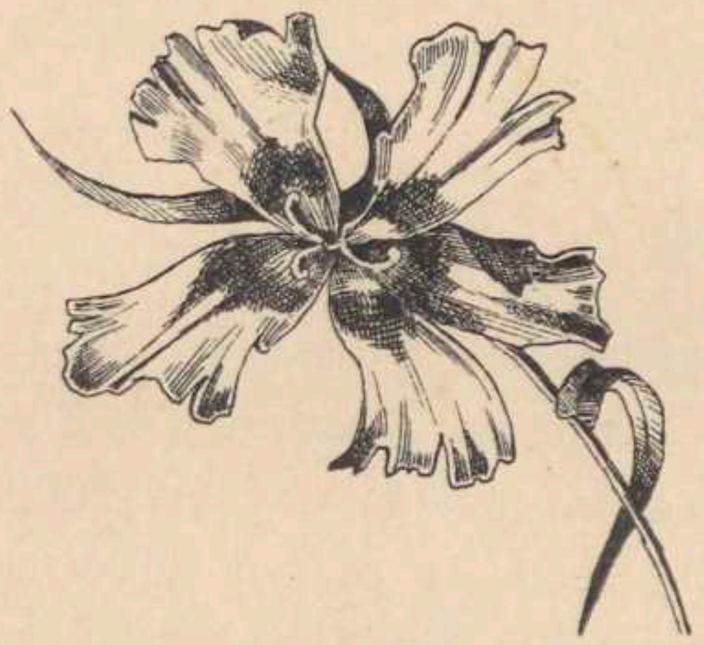

PÓJDZ W POLA!...

Pójdź ze mną w pola! Już moje sandały
Rosy traw bujnych zmaczały...
Z łąk, tchnących wonią zarannej świeżości,
Chciałabym zerwać kwiat cały!
Pójdź ze mną w pola! Pójdź, o, mój poeto,
Lecz nie mów mi o miłości!

Leci ptak w niebios różane okraje,
Liść w słońcu dyamentem taje,
Złocistych muszek korowód się chwieje,
Odżyły doliny, gaje...
Patrz, jaki przepych! Co światła, co czaru!
Nie, Bóg niedarmo istnieje!

Nie mów, że kochasz! Jak słabo powtarza
Odblask wszechświatów ołtarza
Serce człowieka! Patrz, jak się bez końca
Zwycięzki płomień rozżarza!
Jaki potężny poryw, jaka żądza
Unosi ziemię do słońca!

Mógłżebyś dać mi uścisk wiecznej mocy?
Z snów marnych, z oparów nocy,
Z woni zimowych róż, z zazdrości zdroja,
Z trwogi poczęta, z niemocy,
Wobec harmonii czem jest nieskończonej —
Czem, powiedz, miłość jest twoja?

Ja chcę, ja chcę iść na pola, na łany,
Gdzie plon runieje wiośniany!
Chcę, jak przepiórka, biedz w łąki, biedz w zboże,
Jak sumak zapaść w burzany!
Ja wszystkich tęcz chcę kolorów i blasków,
I wszystkich szumów chcę morza!

Deptać łodygi chcę i szarpać kwiaty!
Chcę w wolne, górskie iść światy,
Na szczyt dziewiczy, co pod niebem błyska,
Chcę krok postawić skrzydlaty,
I w króla-słońca miłosnem objęciu
Chcę omdleć jak odaliska!

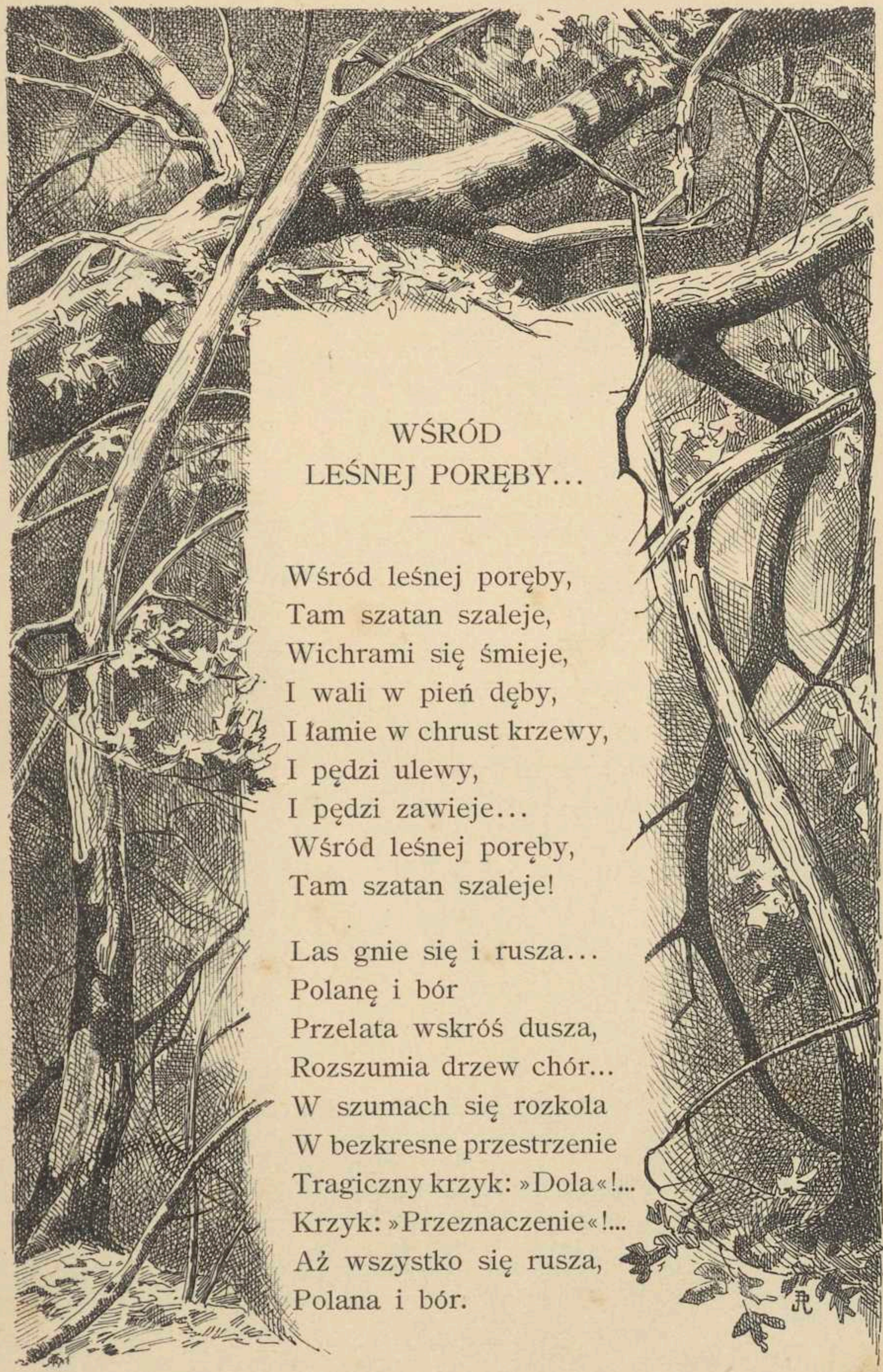

WŚRÓD LEŚNEJ PORĘBY...

Wśród leśnej poręby,
Tam szatan szaleje,
Wichrami się śmieje,
I wali w pień dęby,
I łamie w chrust krzewy,
I pędzi ulewy,
I pędzi zawieje...
Wśród leśnej poręby,
Tam szatan szaleje!

Las gnie się i rusza...
Polanę i bór
Przelata wskróś dusza,
Rozszumia drzew chór...
W szumach się rozkola
W bezkresne przestrzenie
Tragiczny krzyk: »Dola«!...
Krzyk: »Przeznaczenie«!...
Aż wszystko się rusza,
Polana i bór.

Roznosi wiatr w echach
Dziwaczne powieści:
O płaczach i śmiechach
Rozkoszy, boleści,
O szałach krwi ciemnych,
Co je grom zmiata,
O winach tajemnych
Starego świata,
Roznosi wiatr w echach
Śmiechy i łzy...

Porwij mnie, ponieś mnie
Przeklęty duchu,
Na twoich najśmielszych
Lotów podmuchu!
Przez zgrozę oślepłą,
Przez chmury i gromy,
Przez błyski złowieszcze,
Porwij mnie, ponieś mnie,
Jak listek znikomy —
W górę! Wciąż w górę!
Jeszcze w górę!...
Jeszcze!...

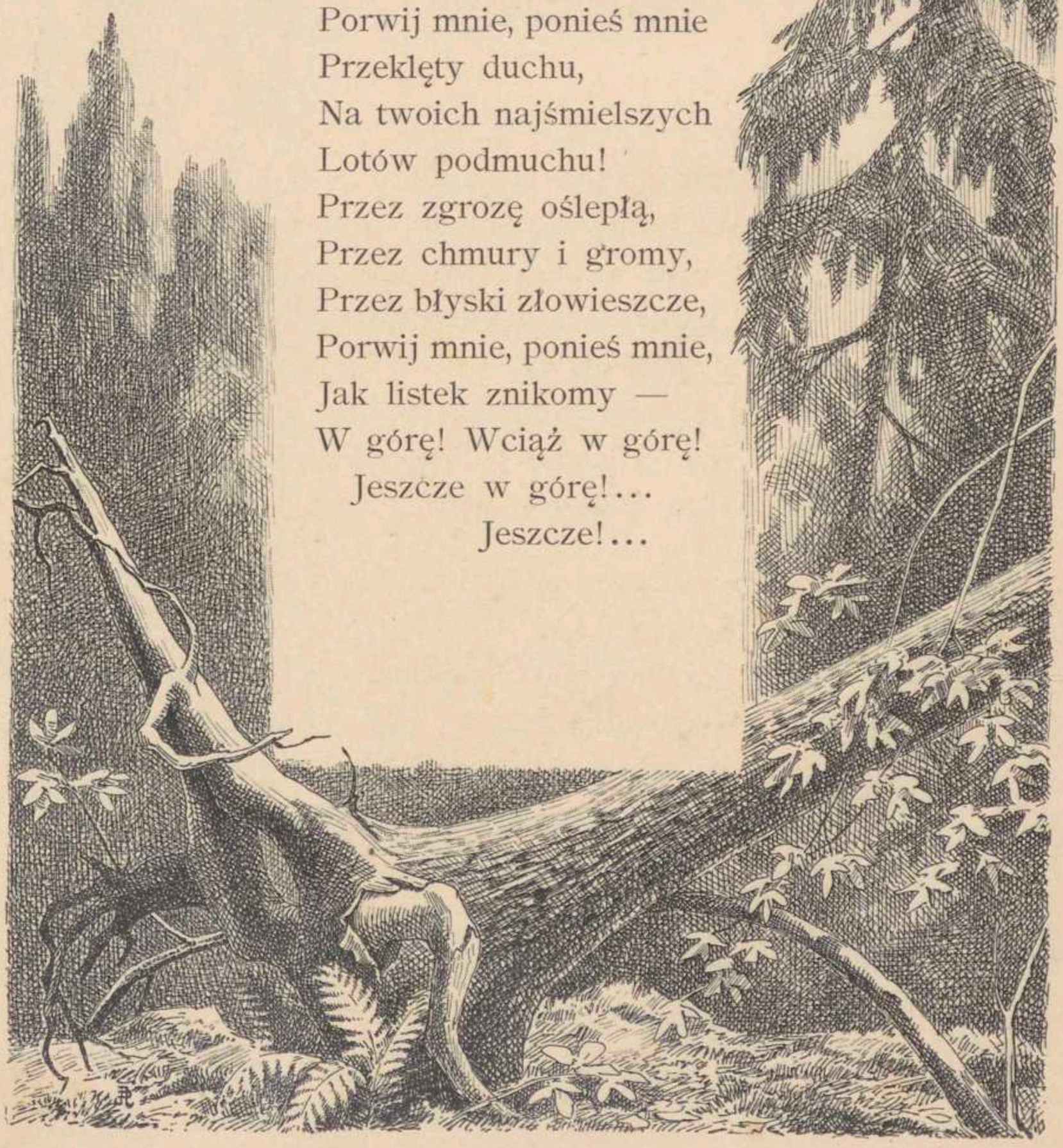

WODOSPAD.

Z jakich ty źródeł podniebnych
Rodzisz się, o, wodospadzie
Potężny? — Ty z skał korony
Skaczesz do morza
W pian bryzgach, w szumach, w huku...
— A nikt ciebie
Nie wstrzyma, w wiecznym twym pędzie!

Z jakich ty tajni nadziemskich
Rodzisz się, myśli badawcza? —
Ty poisz usta spragnione
I pierś ożywiasz ludzkości,
Blask słońc odbijasz tęczą...
— A nikt ciebie
Nie wstrzyma w wiecznym twym pędzie!

MISTYCZNA.

Lubiła świątyń gotyckich
Przyćmione nawy,
Świec na ołtarzu mdlejących blask skrawy,
I szept mistyczny różańców lubiła
Skróś nawy.

Wznosiła modły za bóle,
Których nie znała.
Lilia — piękności własnej nieświadoma, biała,
Była, jakgdyby z eteru stworzona,
Nie z ciała.

Raz z mroku spojrzały na nią
Oczy złowieszcze...
Klęcząca — niżej schyliła się jeszcze,
Lecz po jej żyłach przebiegły płomienie
I dreszcze.

Nazajutrz w cieniach arkady,
Znów ten wzrok znany

Raj jej i piekło wróżył na przemiany,
A serce w piersi, jak ptak, tak jej drżało,
Schwytany.

Wtem szept... Przy ustach jej prawie...
— »Kocham!« — Załkała,
Aniołów skarga sklepienia przewiała,
A na ołtarzu nagle zgasła świeca –
Ta biała.

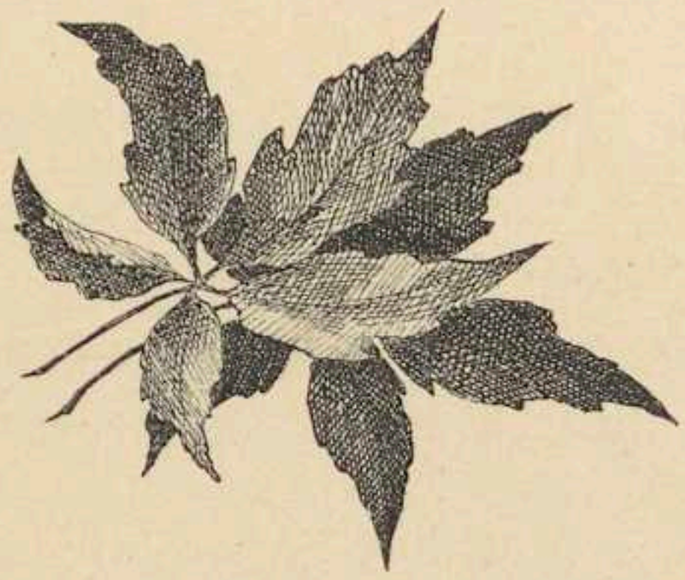

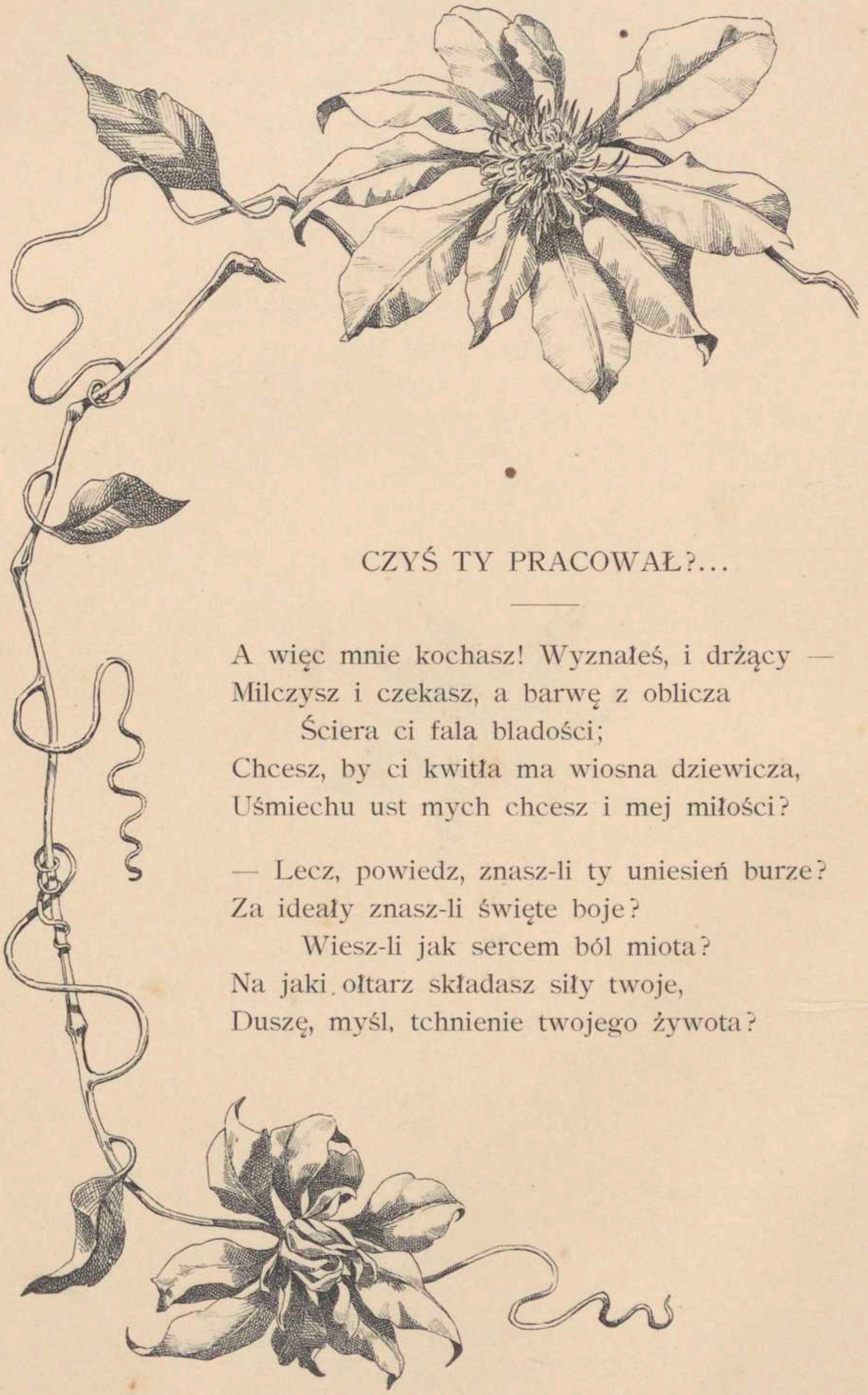

CZYŚ TY PRACOWAŁ?...

A więc mnie kochasz! Wyznałeś, i drżący —
Milczysz i czekasz, a barwę z oblicza
Ściera ci fala bladości;
Chcesz, by ci kwitła ma wiosna dziewicza,
Uśmiechu ust mych chcesz i mej miłości?

— Lecz, powiedz, znasz-li ty uniesień burze?
Za ideały znasz-li święte boje?
Wiesz-li jak sercem ból miota?
Na jaki ołtarz składasz siły twoje,
Duszę, myśl, tchnienie twojego żywota?

Czyś ty pracował? Czy znasz ty u dzieła —
W męzkiej, surowej dla jutra ofierze —
Bezsennie spędzane noce?
Jakiej chorągwi i jakiej ty wierze
Kwitnących twoich lat oddajesz moce?

Nie odpowiadasz? — Idź więc! Idź! W próżniaczo
Straconych godzin sen gnuśny i pusty
Pogrąż się, cielcze ty złoty!
Powróć do balów, do kart, do rozpusty...
Ja nie sprzedaję serca, ni pieszczoty!

O, gdybyś ty był strudzonym nędzarzem,
A dumą pracy promienne oblicze,
I w piersi iskrę miał ducha;
Gdyby twe ręce były — wyrobnicze,
Lecz w oku — widna myśl, co z serca bucha; —

Gdybyś plebejem był, ale nad tymi,
Którzy w bezczynu gnuśnieją bagnisku,
Wysoko czoło niósł własne; —
Gdyby w twym mózgu, jak w żywem ognisku,
Płomienie ducha paliły się jasne, —

Kochałabym cię! Kochała za dzieła
Młodzieńczej siły, za życie surowe,
Za bój, co broni nie składa,
I na pierś twoją schyliłabym głowę,
Czcią gorejąca, a miłością blada.

Lecz ty — kto jesteś? Czego się spodziewasz,
O, niewolniku złoconego śmiecia?
— Precz z drogi! Odstąp ode mnie!
Pogardzam tobą! Żebrzesz nadaremnie,
Marny wyrodku, marnego stulecia!

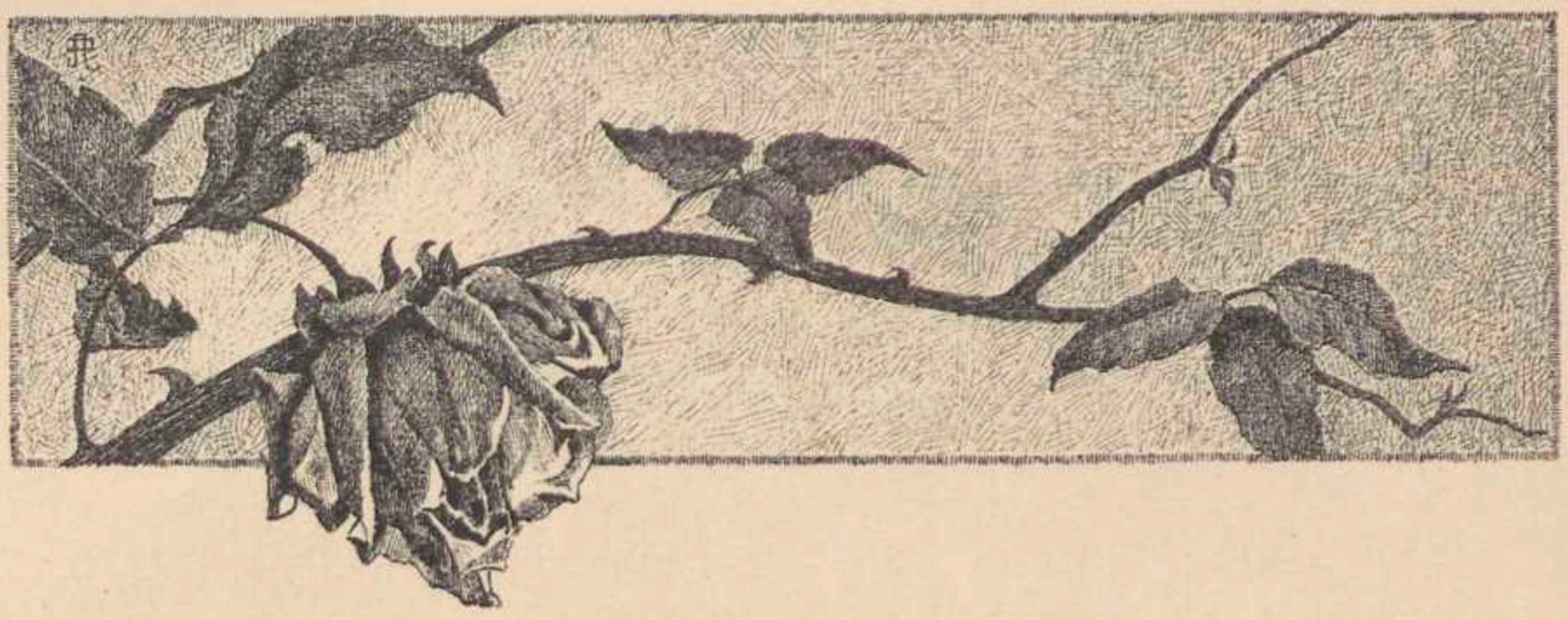

SPES.

Gdy ból śmiertelny serce rozdziera,
Jak ostry, zimny grot,
Dusza swe wielkie skrzydła otwiera
I górny bierze lot.

Tam krwawe pióra, dumna orlica
Na lodów kładzie świt,
Gdzie nie dogrzmiewa żądz nawałnica,
Gdzie lazur i gdzie szczyt.

A gdy z tych wyżyn sercu zaprzeczy,
Wśród ciszy śnieżnych pól,
Krzyk słychać z głębi, krzyk wszechczłowieczy:
— »O, święć się miłość, ból!«...

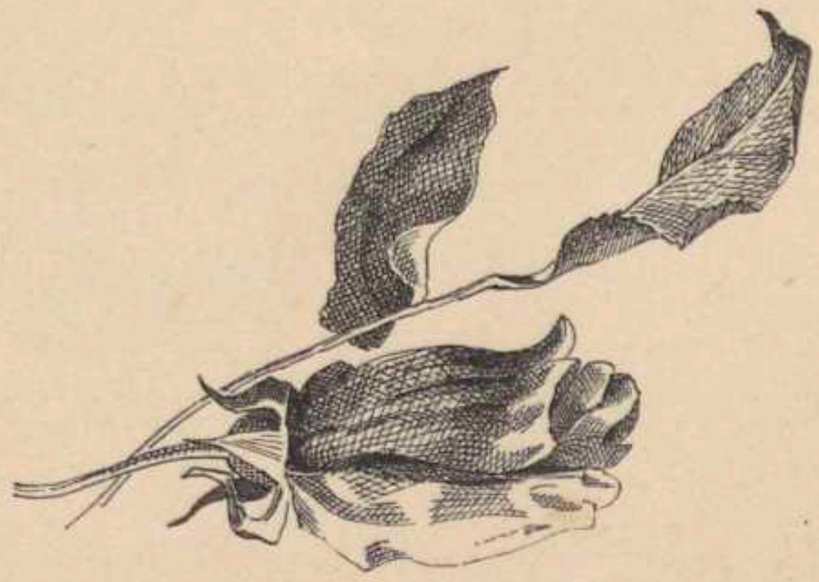

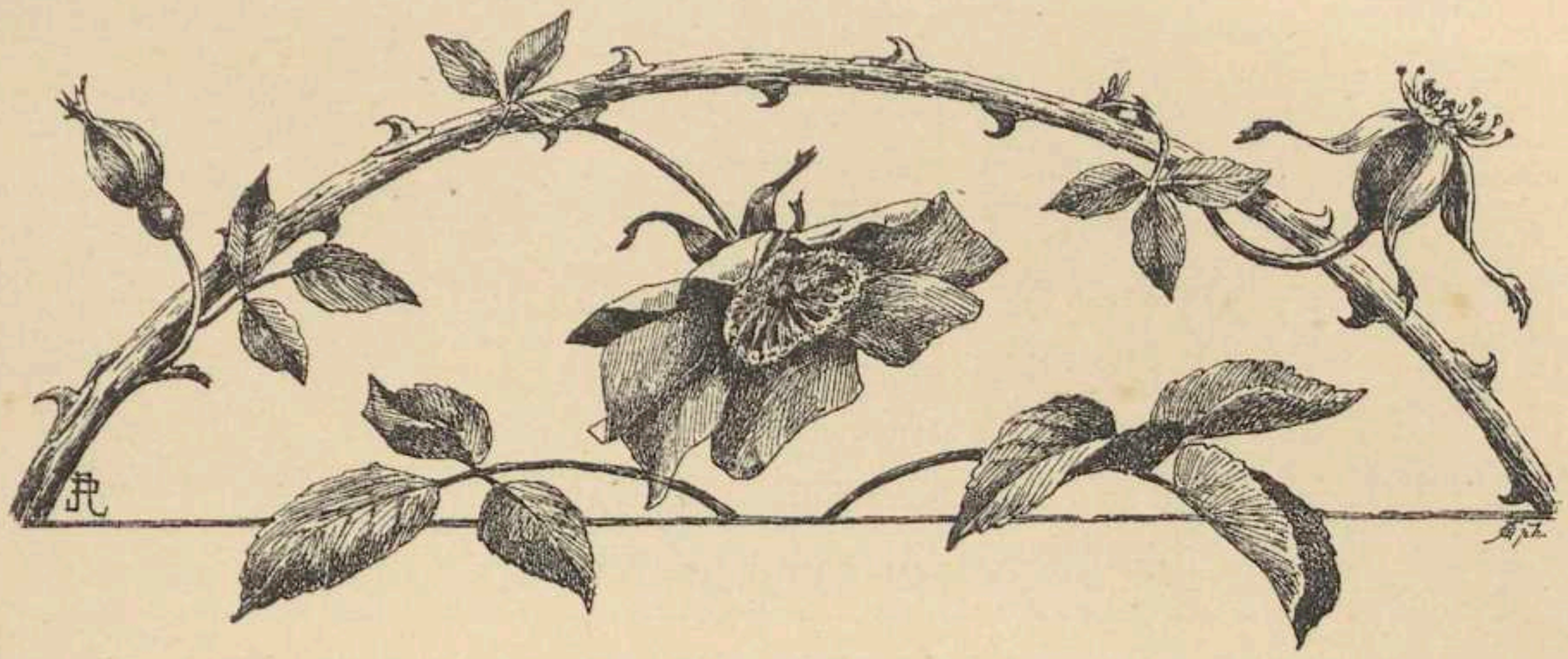

ZWIĘDŁA RÓŻA.

Może zanadto kochała;
Teraz spoczywa znużona.
Może cierpiała zbyt wiele;
Teraz się chyli omdlała,
Na zgiętej ciężąc łodydze,
Jej bolejąca korona.

A może cierpi dziś jeszcze?
O smętnym jakimś przesycie,
O żądzy śmierci, nicości,
Szepcą agonii jej dreszcze
Wskróś zwiędłych płatków kielicha...
— Może zdradziło ją życie?

O jakiejś tajemnej burzy,
Dzień mi gasnący powiada,
I przenikliwy aromat
Mrącego kwiatu tej róży,
I ta samotna komnata,
Gdzie jasność ugasa blada.

Jakaś nieznana mi dusza,
Tuż przy mnie w zmierzchu oddycha,
A lot jej, jak pocałunek,
Mroki koło mnie porusza...
Mara — półświatła, półcienia,
Cała przyciąga mnie, cicha.

I jedno czuję pragnienie:
Mieć w sercu śmiertelne strzały,
A usta w ogniach pieszczoty,
I czuć rozkoszy cierpienie,
I poznać szały upojeń,
I poznać boleści szały!
. . . . . .

Spiż dźwięczy. Na »ave« dzwonią...
— O, smutny, zwiędły ty kwiecie,
O, różo, strawiona żarem,
O, różo, zduszona wonią,
Słuchaj, ja nie chcę umierać,
Aż poznam miłość na świecie!

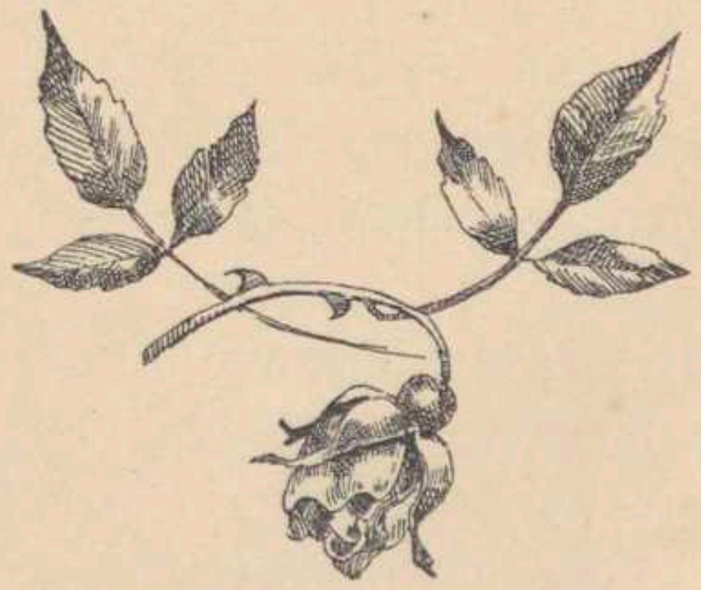

»QUASIMODO«.

Słuchajcie, panie! Jak huczą odmęty!
Jak ryczy morze, bijące w skał progi!
— Patrzycie, panie? — Ha, srogi
Kaprys szatana stworzył mnie! Ja jestem
Płód czarownicy przeklęty.

Tu z nieśmiertelną melancholią morza
Zlewa się ból mój, ból — nieukojony.
Sam jestem... Płaczcie nademną!
Ani ja druha, ni dzieci, ni żony, —
A w mojem ognisku — ciemno!

I czy wierzycie? — Ja, w tej poniewierce
Doli, szukałem też gwiazdy na niebie!
Szukałem — choćby kaganka...
Kobiety... Była to młoda cyganka.
Wziąłem ją, dałem jej serce.

Ha, cóż! — Kłamała, a jam wiedział o tem.
Lecz kiedy na jej piersi posągowe,
Na te paryjskie marmury,

Skłoniłem oto tę potworną głowę,
W sercu wolniały tortury.

Ona — jak wiatr ten... Ja — byłem zazdrosny,
Zazdrością dziką i nieprzemożoną,
O tę błyszczącą jej grzywę,
O świeże usta, o skryte wpół łono,
O śmiechy swawolne, żywe...

Aż mnie rzuciła. Szukała rozkoszy,
Wiosny, jutrzenki promienia,
Sama do uciech stworzona...
Jam jej nie ścigał. Tylko do jej cienia
Wyciągam odtąd ramiona.

O, gdybym życia wyważyć śmiał wrota,
Co się tak wlecze, co taka w niem męka!
Ale nie! Nie mam dość siły...
Straszy mnie nicość... Coś we mnie się lęka
Okropnych mroków mogiły.

Jak huczy morze! Jaki ryk i łkanie!
Jak ta spieniona fala jęk mój głuszy!
Nigdzie ani żywej duszy...
Ta noc, ta pustka — to obraz mej doli...
Idziecie?... Żegnajcie, panie!

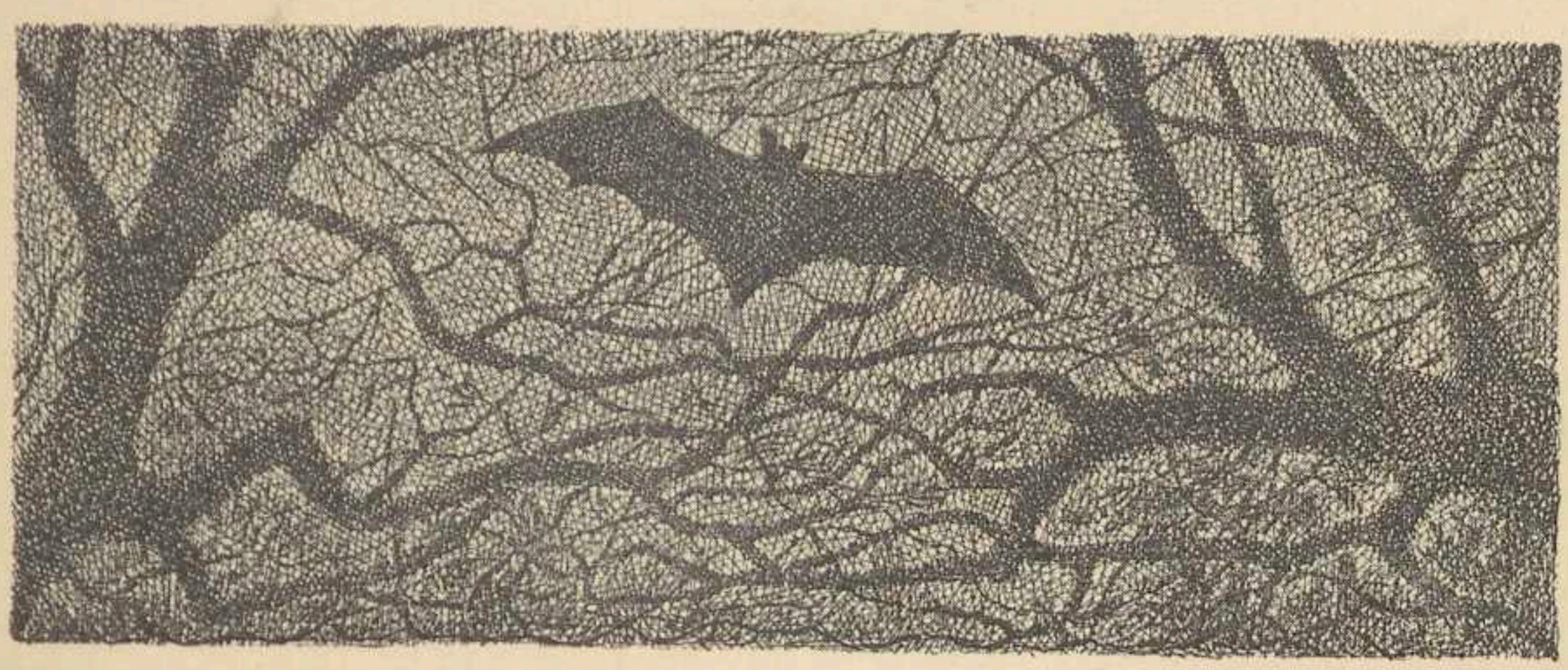

GŁOS ZMIERZCHU.

Pustka, chłód, cisza. Ciemność mnie chwyciła
W gęstwinie boru.
Zmierzch wzrasta... Dziwna przejmuje mnie siła.
Bez trwogi stoję. — O, tajny wieczoru
Szepcie, — o, ciszo w tej ogromnej głuszy —
Przemów ty do mojej duszy!
. . . . . .

I mówi. Mówi głosami tajnemi
Szumów, podmuchów,
Co borem lecą i rwą się od ziemi,
Jak zgiełk powietrznych, bijących się duchów...
Mówi: — »Co ty tu robisz w tej zawiei,
Zbłąkana wśród dzikiej kniei? —

Czy zapomnienia szukasz? Czy dla czoła
Wichrów ochłody?
Nic-że cię w drodze zatrzymać nie zdoła?
Tych ślepych mroków nie straszneż ci chody?

Ktoś ty, że nie drżysz, że nie trwoży ciebie
Ta noc, idąca po niebie?

Wiem! Do zórz jasnych, do orłowych wzlotów,
Wybrana z rodu,
Do pałających słońc ognistych grotów
Nad wrzącym piaskiem złotych pustyń wschodu, —
Wśród klątw cynicznych i w zgliszczach zapału
Ty szukasz skry ideału!

Na twoich rękach ogniwa łańcucha,
Wkoło chłód, cienie...
Pierś twoją trawi i truje ci ducha
Wyniszczające, bezsilne pragnienie...
Twardego losu nad tobą prawica —
Tyś w buncie jest — niewolnica.

A przecież walczyć będziesz, córo śmiała
Boju i klęski!
Nieokiełznana, swobodna, wspaniała
Pieśń twa się zerwie jak okrzyk zwycięzki;
Wśród żądeł przejdziesz grożących ci jadem,
Miłości niosąc dyadem.

Stopę postawisz w pyle, a twe oko
W słońca utonie jasności,
Nadziemskich wizyi szukając wysoko,
Po szlakach nieskończoności.
Mężką ty siłą w bój pójdziesz natchniona,
Tem większa — gdy zwyciężona!« —

. . . . . .

Tak mówi ciemność, a dusza ma słucha,
Cała w zadumie.

Dziwne ma szepty i błyski noc głucha,
I bór ma groźby tajemne w swym szumie...
Lecz w mojej piersi Bóg jakiś oddycha...
Jasna-m — i cicha.

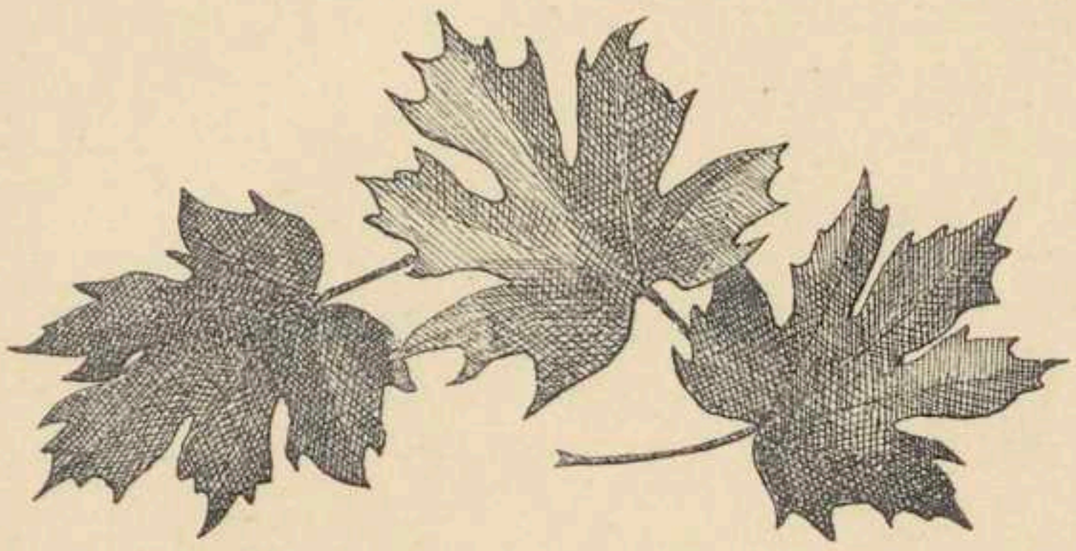

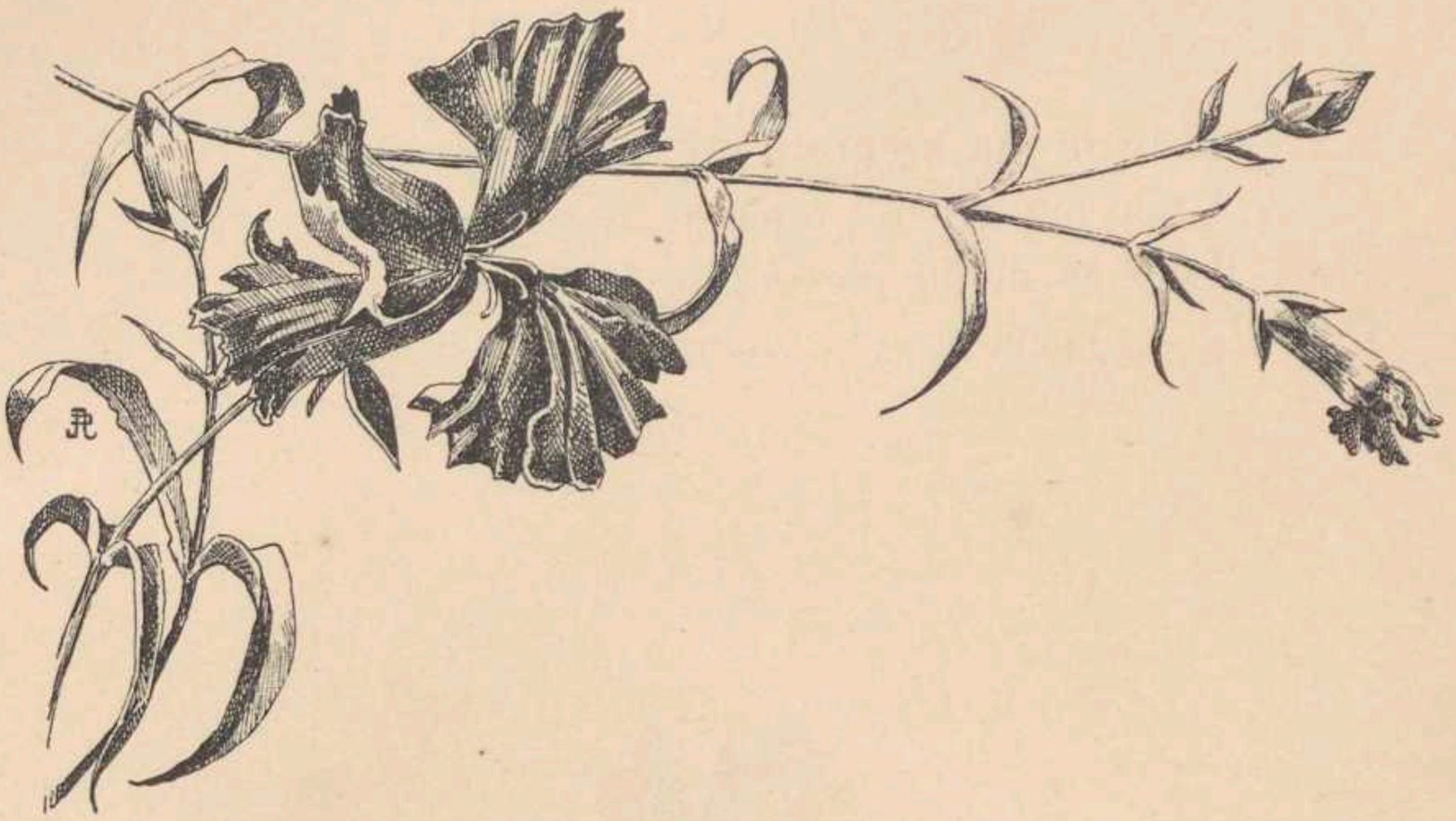

PIĘTNO NA CZOLE.

Obca dziewica, odziana w purpurę,
Palcem mi czoła dotknęła ze śmiechem...
Dreszcz zimny przebiegł mi skórę.

I rzekła: »Znak masz! Piętno masz na czole,
Wyryte w kształcie dziwacznego krzyża!
Masz znak, masz piętno na czole! —

Po wszystek wiek swój i żadną go mocą
Ludzką nie zbędziesz! To znak po wampirze,
Który ukąsił cię nocą.

On rdzenia życia chciwie w tobie szuka,
Ogień żył twoich łakomie wysysa...
A tym wampirem jest — sztuka!

Ileż-to razy, gdy ty czuwasz blada,
Zgłodniały, chyłkiem do twego wezgłowia,
I czyhający się skrada!

Tyś urodzona jest na Apolina...
Lecz w tem kupieckiem i smutnem stuleciu
Geniusz w kobiecie — to wina.

Wstań, obnaż piersi twoje tam, gdzie rana...
W potężnej pieśni ból wydaj swój żywy:
A będziesz przez świat — wyśmiana!

Zdrową i bujną młodością natchniona,
Wznieś hymn miłości: a ludzie powiedzą,
Żeś fantastyczka, szalona!

Mędrcy, krytycy, jako na łup kruki,
Spadną na ciebie ostrzem swoich szponów,
By cię rozszarpać na sztuki.

Lecz żaru ducha nic zgasić nie zdoła!
Nigdy już nigdy, świat cały nie zetrze,
Nie zmyje piętna ci z czoła!«
. . . . . .

Rzekła, i w szaty swoje purpurowe
Odziana, stała tak, jak przeznaczenie..
Ja — milcząc, schyliłam głowę.

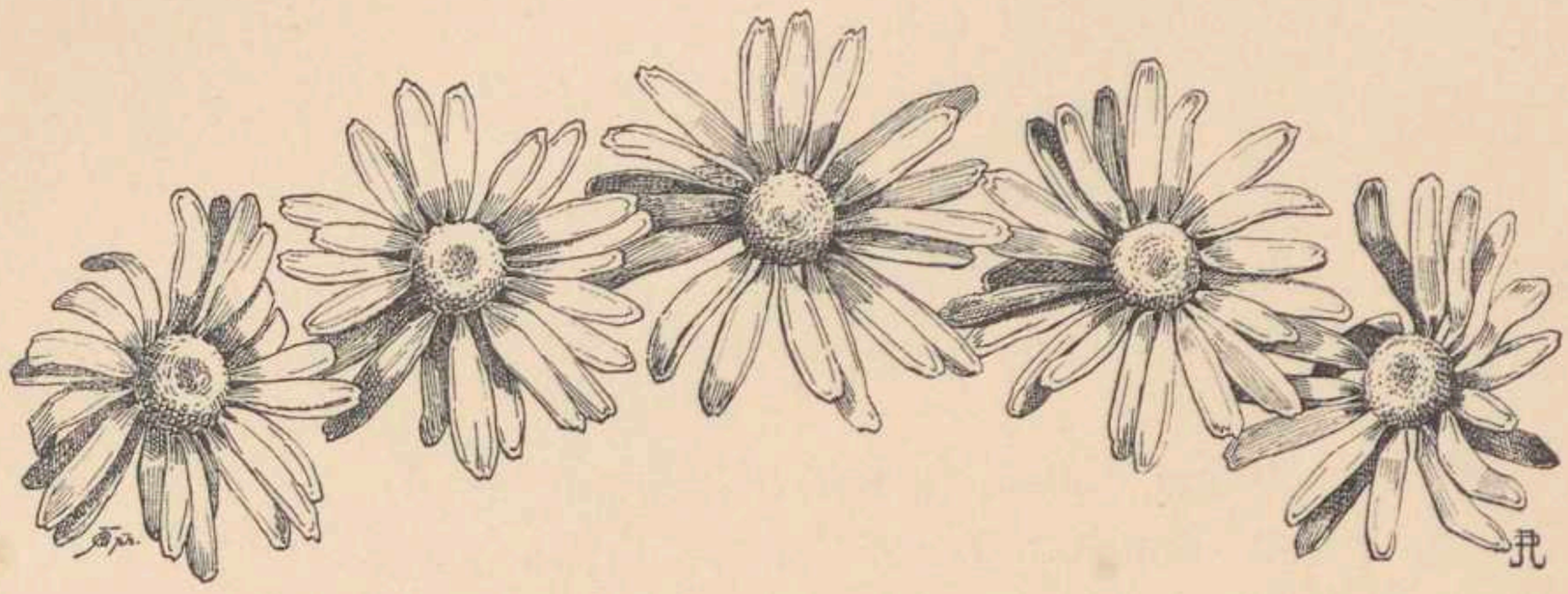

LARGO.

Largo... Z dźwięcznego fabryki sklepienia,
Z skrzypiących pługów, z kuźnicy płomienia,
Z hut pękającej w mrok racy;
Z warsztatów, gdzie lud tworzy, kuje, przędzie,
Z wnętrzności kopalń — w niewstrzymanym pędzie
Wybucha święty hymn pracy.

Largo... Z zarośli pełnych gniazd, szczebiotów,
Z mirtowych gajów, z mirtowych namiotów,
Z roli, co dyszy rodząca,
Z wód, nad któremi ulata ptak wolny,
Kwieciem opasan, młodzieńczy i polny —
Wybucha pean do słońca!

Kto wstrzyma zdroju niekiełznane loty?
I kto skowronka, gdy dzwoni w świt złoty?
Zawrócić strzałę — kto silny?
— Jam zdrój jest rwący, jam świszcząca strzała,
Jam ptak jest śpiewny, co leci i pała,
Słowik — i kruk jam mogilny.

Sztuko, za ciebie walczę! Czekam ciebie,
Przyszłości! Płonę z jutrzenką na niebie,
I płonie wiersz mój skrzydlaty...
Z płomiennych natchnień, strofami lotnemi,
W ognistych pękach, niebiosom i ziemi
Rzucam pioruny i kwiaty!

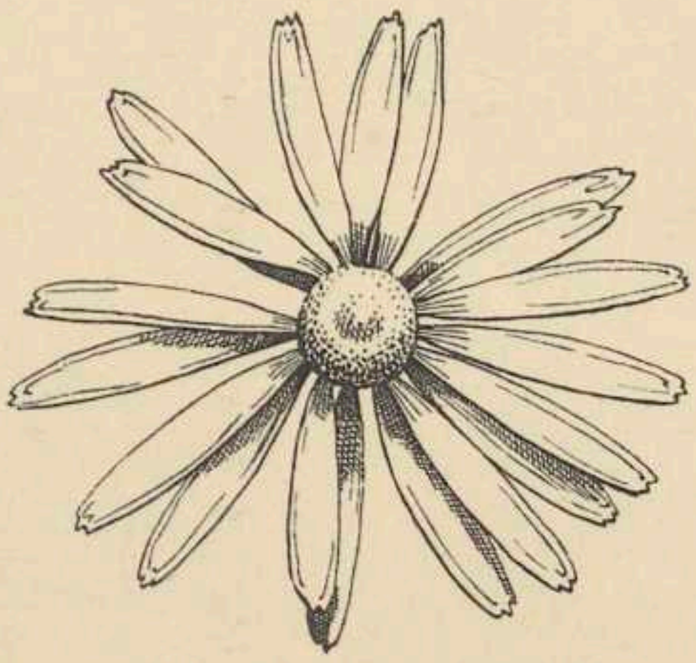

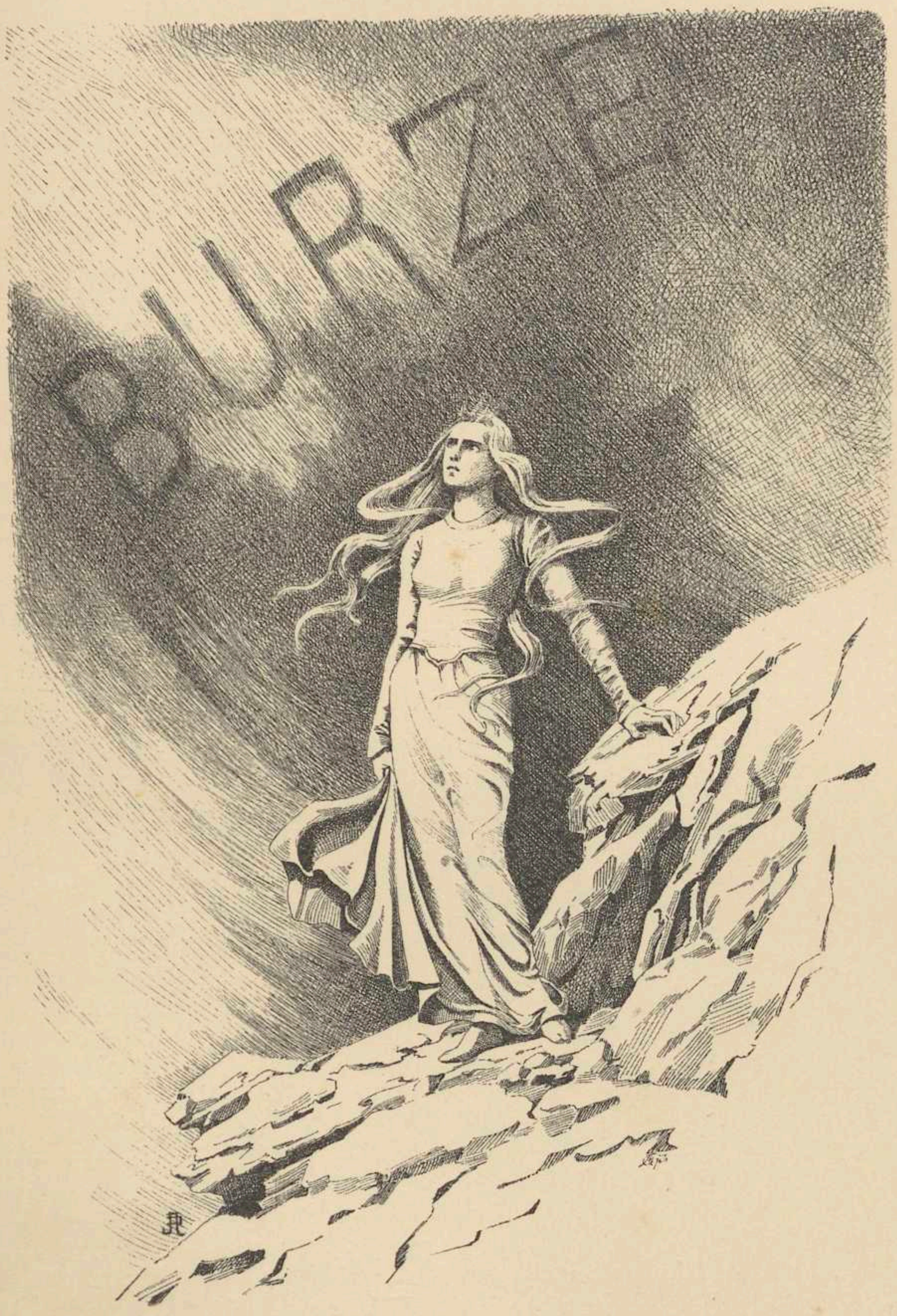

BIBLIOTEKA BN NARODOWA

DO CIEBIE, MATKO...

Prawda! Jam silna! Kamienistą drogą
Idąc, rozrywam i duszę i wiarę,
A przecież nad zmierzchy szare,
W zorzę wyżyn wstępuję wyniosłą mą nogą.

Na wszystkie ciosy odsłaniam pierś hardą,
Wyzywam ciemne, nienawistne moce,
A doli, co mnie druzgoce,
Potęgę stu żywotów przeciwstawiam z wzgardą.

Nie łamię w bólu rąk — rozpaczy gestem.
Zmarszczka mi czoła ni myśli nie ściąga.
Jam dąb, co wichrom urąga...
Tak, to jest prawda, matko! Tak, ja silna jestem!

W pieśni mej dźwięczy struna szczerozłota
Miłości, co świat odradza bez końca,
Jako pocałunek słońca
Płodna, a wiekuista jak posiew żywota.

Błogosław ty mi, matko! Wszak jedynie
Dla ciebie walczę, trwam, chowam nadzieję!
Gdy krew się z łzami przeleje
W pierś z serca, gdy mi gardło zadławi, zapłynie,

Gdy czuję, jak myśl moja udręczona,
Ślepo trzepoce się wśród zwątpień nocy,
Jak płomień żywiącej mocy,
Co mi rozpala żyły, przygasa i kona, —

W ciebie ja patrzę, matko! A ty, dumna
A prosta, w bieli posągowej lica
Stoisz, wzniosła samotnica,
W czci swej siwizny, jako wśród ruin kolumna.

Tak mi się jawisz w zachodzie żywota
Czysta, i taka cicha, ukojona, —
Ty, coś miecz czuła skróś łona,
I wiesz jak dusza w męce konania się miota!

Takie w uśmiechu smętnym, w każdym ruchu,
W pogodnej twojej źrenicy masz blaski,
I taki majestat łaski,
Że znów przez ciebie wskrzesam, odradzam się w duchu.

I znów się ciałem twego ciała staję,
Siłą twej siły — ty święta, ty prosta!
I znów we mnie zmartwychwstaje
Dąb, który gardzi burzą, gdy go wicher chłosta.

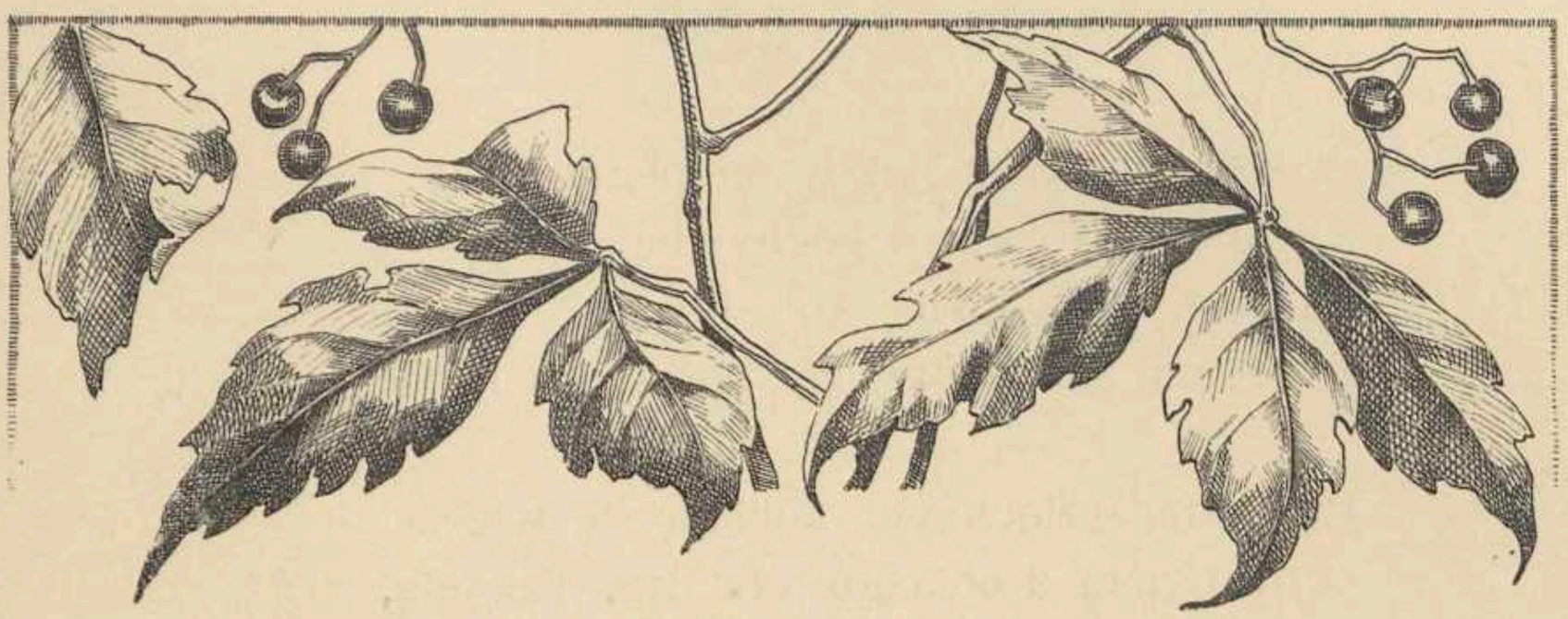

PRZYMUSOWA PRZEPROWADZKA.

Nędza. Już dawno izba niepłacona.
W kupę zrzucony, wpośrodku drogi,
Leży na wozie dobytek ubogi,
I zda się, że w tej przeprowadzce — kona.

Chmurno. Deszcz zimny przenika, zalewa
Wóz i łachmany, i sprzęty żebracze,
Nagie, kalekie, z spróchniałego drzewa,
A coś, jak żywa dusza drży w nich, płacze...

I duma łóżko, wśród słoty i chłodu,
O tej miłości nieszczęsnej, co ciała
Dwojga dzieciątek na świat ten wydała...
— Przeklęta miłość barłogu i głodu!

I całe trzęsąc się, skrzypi: — »Kto prawo
Dał wyrobnicy, która łaknie co dnia
Za pocałunek stwarzać nędzę krwawą
Nowego życia?... Jej miłość — to zbrodnia!«

A wóz się toczy, jakby na pogrzebie.
Za nim wyrobnik z pochyloną głową
Za swą ruiną idzie. Ani słowo
Z ust mu nie padło; nie patrzy za siebie.

Przy nim, szlochając, kobieta się wlecze
Z dwojgiem drobiazgu, obdarta. Tak idą,
Nie wiedząc sami gdzie, ze swoją biédą,
A deszcz ich coraz silnej chłosta, siecze.

I groźbą wstaje ból jakiś ponury,
Z skrzypienia woza, co jęczy i płacze,
Z mokrych łachmanów piętrzącej się góry,
Z piersi tych czworga, co zwą się — tułacze.

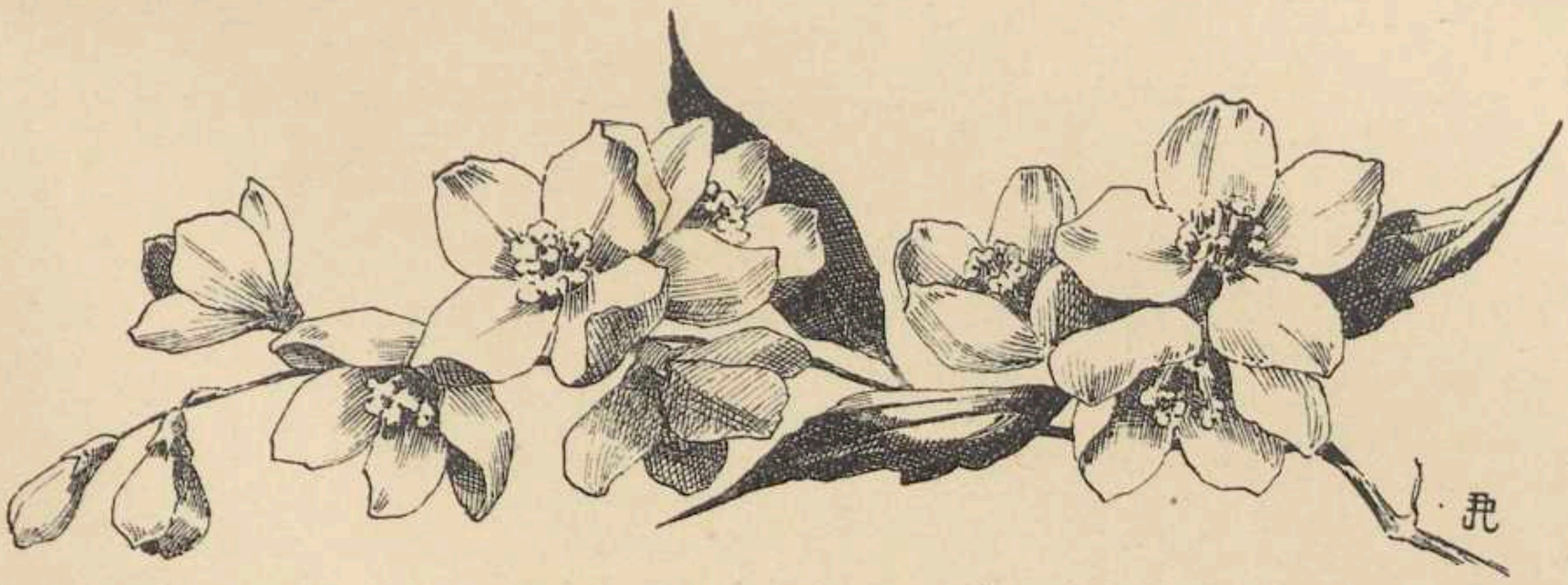

LIST.

Z czarną pieczęcią list przybywa biały.
Z daleka, hen, gdzieś z zaświata...
Miasta, pustynie, oceanu wały,
Jak myśl skrzydlaty i nagły — przelata.

I szepcą cichym szumem morza fale:
— »Czy to nie miłość nieżywa,
Pod kirem twej się pieczęci ukrywa?« —
On milczy, lecąc w niewidzialne dale.

I świszczą wichrów lodowate wargi:
— »Co niesiesz? Radość i siły,
Uścisk żyjących, czy zaduch mogiły?« —
On bez uśmiechu leci i bez skargi.

Dalej, a dalej! Przez góry, rozłogi,
Dniem, nocą, w obce gdzieś strony,
Leci — ptak, co z swej nie wróci się drogi:
Szmat ludzkiej duszy, na losy rzucony.

I nikt nie zgwałci jego tajemnicy.
Nikt nie wie — śmierć to, czy życie,
Czy rozłączenie, czy rozpaczy wycie,
Czy blady promień z warkocza dziewicy...

Kropla krwi, która ze śmiertelnej rany
Trysła ostatniej godziny,
Łzy i błagania rzuconej dziewczyny,
Co w mękach płaci dług niezaciągany?...

Leci, a leci... Aż przybył wraz z cieniem
Zimowych zmierzchów. Do mety
Przybył, do skromnej izdebki kobiety,
Trawionej zwolna miłości płomieniem.

Błysła źrenica, żar buchnął do twarzy,
Serce jej omal nie pęka...
Drżąca namiętnie, drobna, blada ręka,
Już sięga... już się łamać pieczęć waży...

Nie! — Ręko drobna, blada ty i drżąca,
Stój! To twój los się przechyla...
Jeszcze ten moment tylko... Jeszcze chwila...
O, niecierpliwa ręko blada, drżąca!

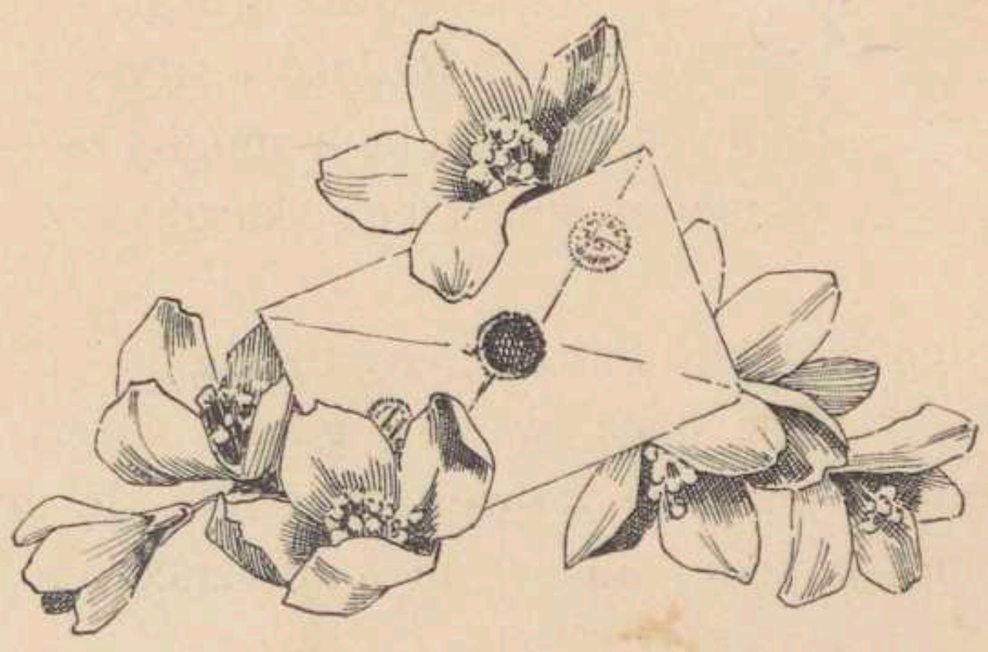

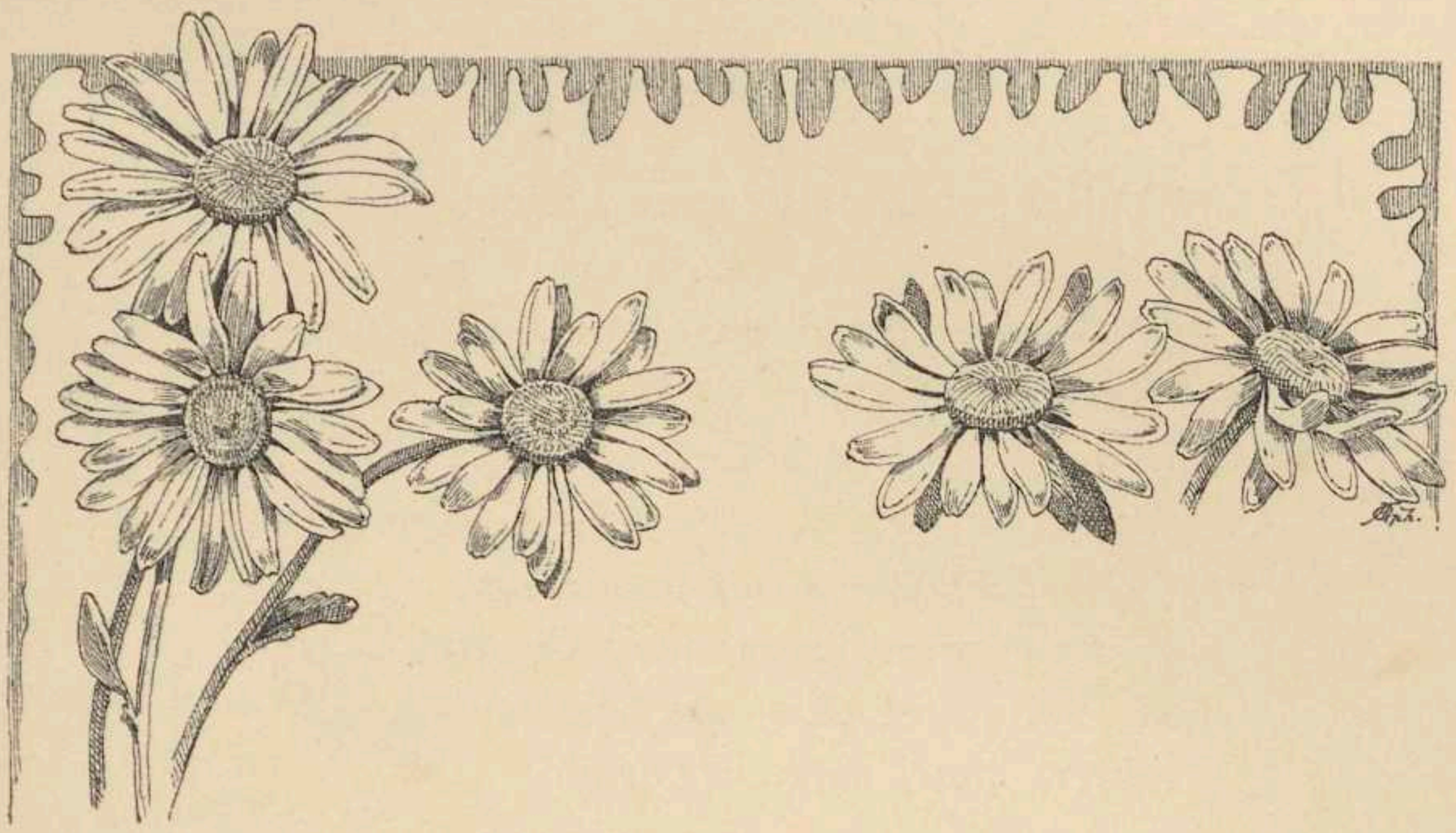

ZIEMIA.

Sierp mi podajcie z ostrzem błyszczącem,
— Skwar letni praży? — Nic się nie stanie!
Chcę pod promiennem ożywczem słońcem
Stanąć do pracy na łanie.

Ramiona nagie — ot tak! Pierś wolna,
Brzeg sukni za pas! Nic mnie nie ściska...
Ta twarda praca, pokorna, polna,
Dziwnie mi swojska i blizka!

Pójdźcie tu, damy, od wosków bledsze,
Z pieszczoną rączką, małą, bez mocy,
Wy — wiotkie trzciny, drżące na wietrze,
Gwiazdy i kwiaty, wy, nocy!

Pójdźcie, ofiary snów i newrozy,
Wy, ziewające nudą próżniaki,
Widma pożółkłe z splinu, z chlorozy,
Strojne w cylindry i fraki, —

W ogień gorsety! W ogień breloki!
Pierś w nich i serce ściska niewola.
— Na żywe słońce, na dech szeroki,
Na pola pójdźmy! Na pola!
. . . . . .

O, jaka pełnia w ziemi jest życia,
Gdy rydel pierś jej otworzy czarną!
Jakie miłości słodkiej ukrycia
Ma w niej i owad i ziarno!

Wiecznym w niej ruchem soki radosne
Krążą, spragnione siewu, korzenia,
Pnia, liści szumnych, bujnych na wiosnę, —
— Wszechpokarm — dla wszechistnienia!

Jaka traw bujność! Zboża rodzące
Chylą kłos pełny ziarna ciężarem,
Źrzejąc w milczeniu, a wielkie słońce
Żywym dozłaca je żarem.

Skróś zbóż purpurą goreją maki,
Bławat przetyka je na wyścigi,
A ryż wystrzela nad nizin młaki,
W smukłe majowe łodygi.

Z bagna nenufar wypływa biały,
Tęczowe kwiecie z łąk bujnych nęci,
I tchy ożywcze, jędrne powiały
Ze świeżych gdzieś sianożęci.

W każdem źdźble trawy dusza tchnie żywa,
I w każdym pyłku jest drżąca...
Z boskim bezwstydem wszystko się zrywa
Do życia — w obliczu słońca.

W pole! Na pole! Otwórzmy łono
Odwiecznej, płodnej naszej macierzy!
Chwyćmy jej owoc ręką spragnioną,
Skarb chwyćmy, który w niej leży!

My róż ulewy, plenności chleba,
Słodyczy chcemy, wina nektaru!
Dziś okwitości bujnej nam trzeba
Całego świata obszaru!

Precz z ugorami! Wszak od poddasza,
Do marmurowych komnat bogaczy
Ziemia zarówno matka jest nasza,
A my — ród bratni oraczy!

Dalej, pod błękit, w jasność bez końca,
Z motyką, z sierpem, i w wieńcach liści,
My, kochankowie siły i słońca,
My piękni, żywi i czyści!

Już pierś się wolnem tchnieniem rozszerza,
Już wzdyma żyły prąd życia nowy,
Już świeżą falą natchnień uderza
Myśl uskrzydlona do głowy.

Smutek i nuda już z nas nie zieją,
Znikła gdzieś wojna, nędza, niedola...
Wszystko tchnie zdrowiem, życiem, nadzieją...
— Na pola idźmy! Na pola!

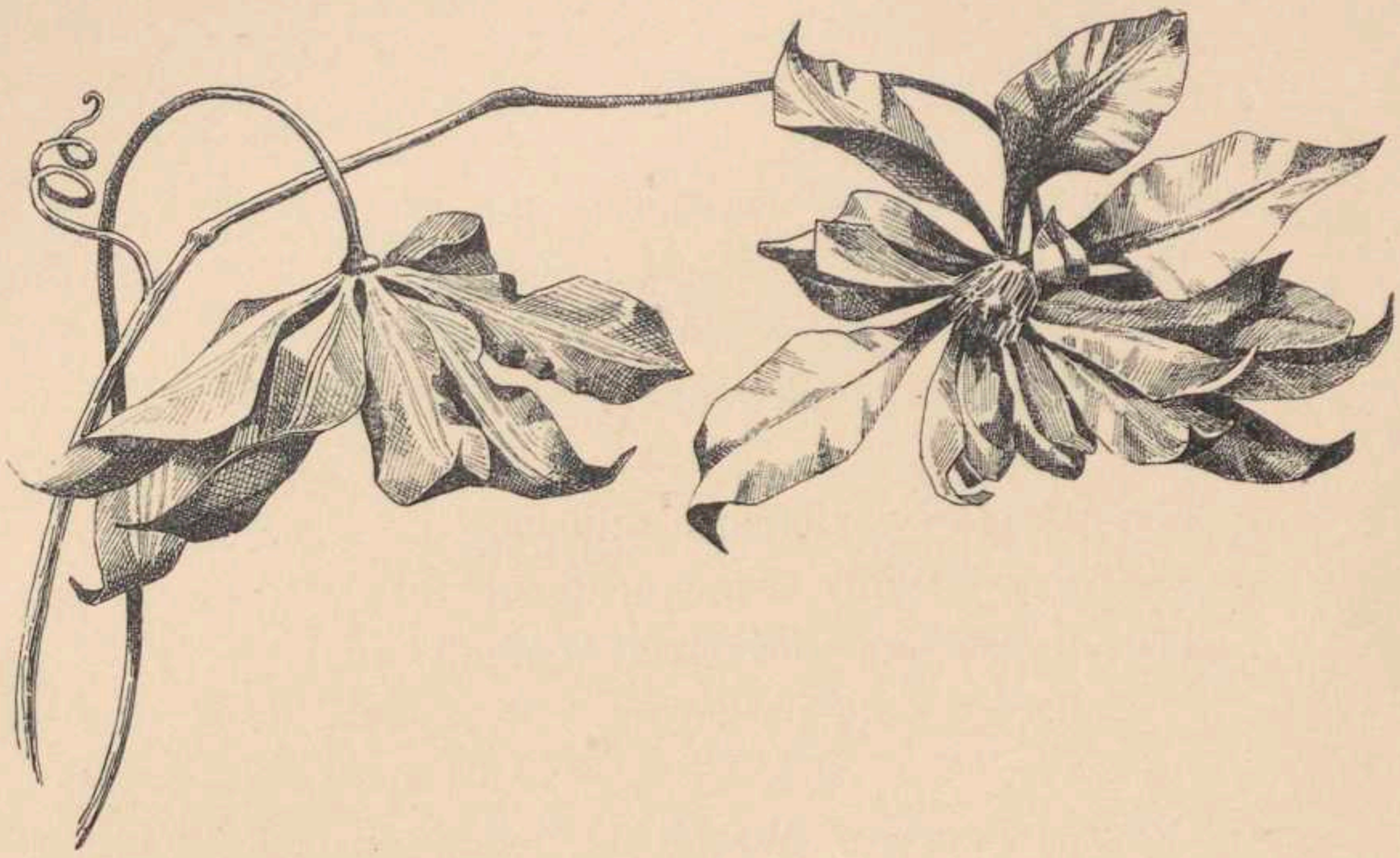

POŚWIĘCENIA.

I.

NAUCZYCIELKA.

Uczy w tej szkole. Jej dobre spojrzenie
Ma w sobie spokój cierpliwy poddania,
Co zna ubóstwo, łzy i przebaczenie.

Od lat już cudzym dzieciom świat odsłania,
W przyszłość je wiodąc, miłością rozumna;
Głos jej surowy znużeniem podzwania.

W izbie jej, białej i chłodnej jak trumna,
Gdzie nigdy iskra szału się nie żarzy,
Króluje bieda milcząca i dumna.

Tu, gdzie jej młodość o szczęściu nie marzy,
Samotna skona w dni swoich ostatki,
Z piętnem znużonej tkliwości na twarzy.

A do ust sinych, jak fijołka płatki,
Do osłupiałej, zagasłej źrenicy
Przywrą ostatnie słowa męczennicy:

— »Uważnie, uważnie, dziatki!«

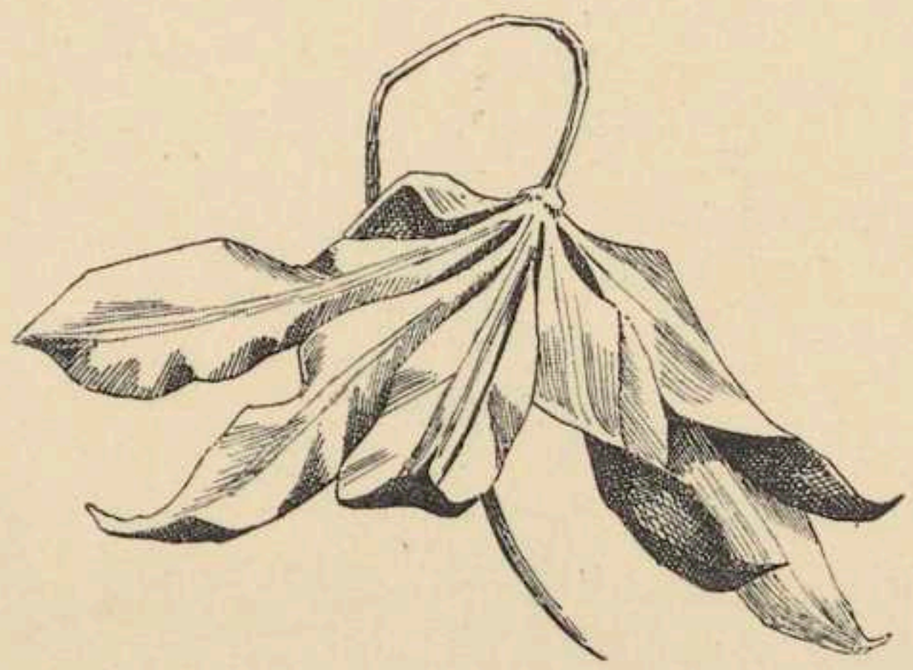

II.

MATKA.

Wdowa. Pracuje bez odpocznienia,
Dla swej jedynej, drogiej dzieciny,
Dla jedynego w życiu promienia.

Ponosi trudy dla niej nad siły:
Nie doje; byle chleb miało dziecię,
Krwi ze serdecznej utoczy żyły.

A dziewczę w cudne rozkwitło kwiecie
Róży, chronionej przed słońca spieką,
W zaklętym duszy matczynej świecie,

Aż jej ponęty czarem urzeką
Serce mężczyzny, a młoda żona
Za ukochanym pójdzie daleko!

* * *

...Drży drobna szyba, deszczem sieczona.
W samotnej, pustej izbie, w mrokach cienia
Matka tam stoi milcząca, zgnębiona.

Już otworzyła usta do westchnienia,
Lecz myśli: »Dziecko wesoło się bawi«...
I biała — bielą grobową kamienia,

Zniknionej, drogiej marze błogosławi.

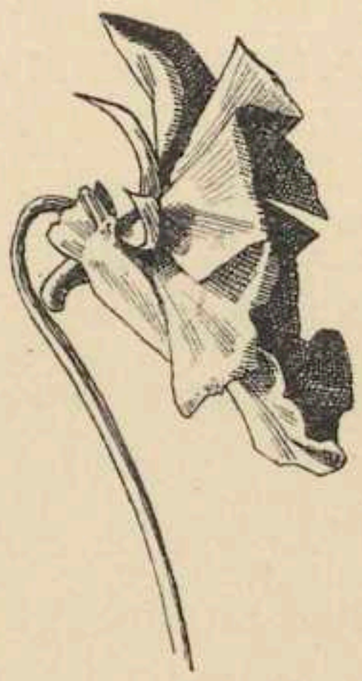

III.

ZARĘCZONA.

Rzekł jej: — »I góry, i morza, i rzeki
Muszą rozdzielić ust naszych płomienie...
O, myśl ty o mnie, gdy będę daleki!

O, czekaj ty mnie! Nigdy zapomnienie
Serca mi nie tknie zimną ręką kata:
Rozdmucha tylko miłość — oddalenie!«

Czekała. Szły dnie, szły miesiące, lata,
Długie, lodowe lata tej odwłoki
Szły bez promienia, uśmiechu, bez kwiata

W dziewiczych włosach jej. Aż gdy uroki
Wiosny, z jej lica, jak róże, opadły,
Gdy utraciły piór lotność jej kroki,

Gdy zmarszczka wyszła na profil jej zbladły,
Jak skaza deszczem w marmurze zorana,
Zjawił się nagle, jakby z nieba spadły.

Lecz pocałunków lawa się wezbrana
Nie zbiegła... brakło szału, upojenia...
On — w niewolnicę patrzał, ona — w pana.

I utonęły w sobie dwa spojrzenia
Miłości żądne, która już umarła...
I jak od gromu padły uderzenia,

A między nimi — przepaść się otwarła.

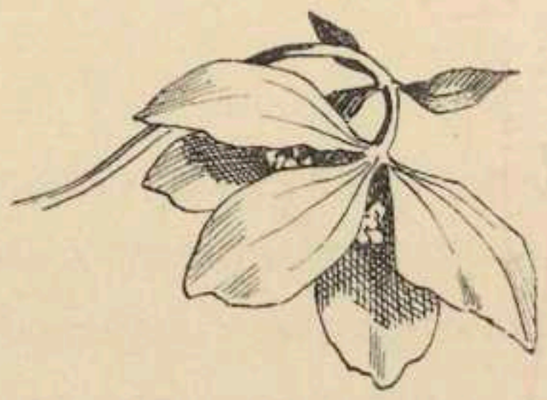

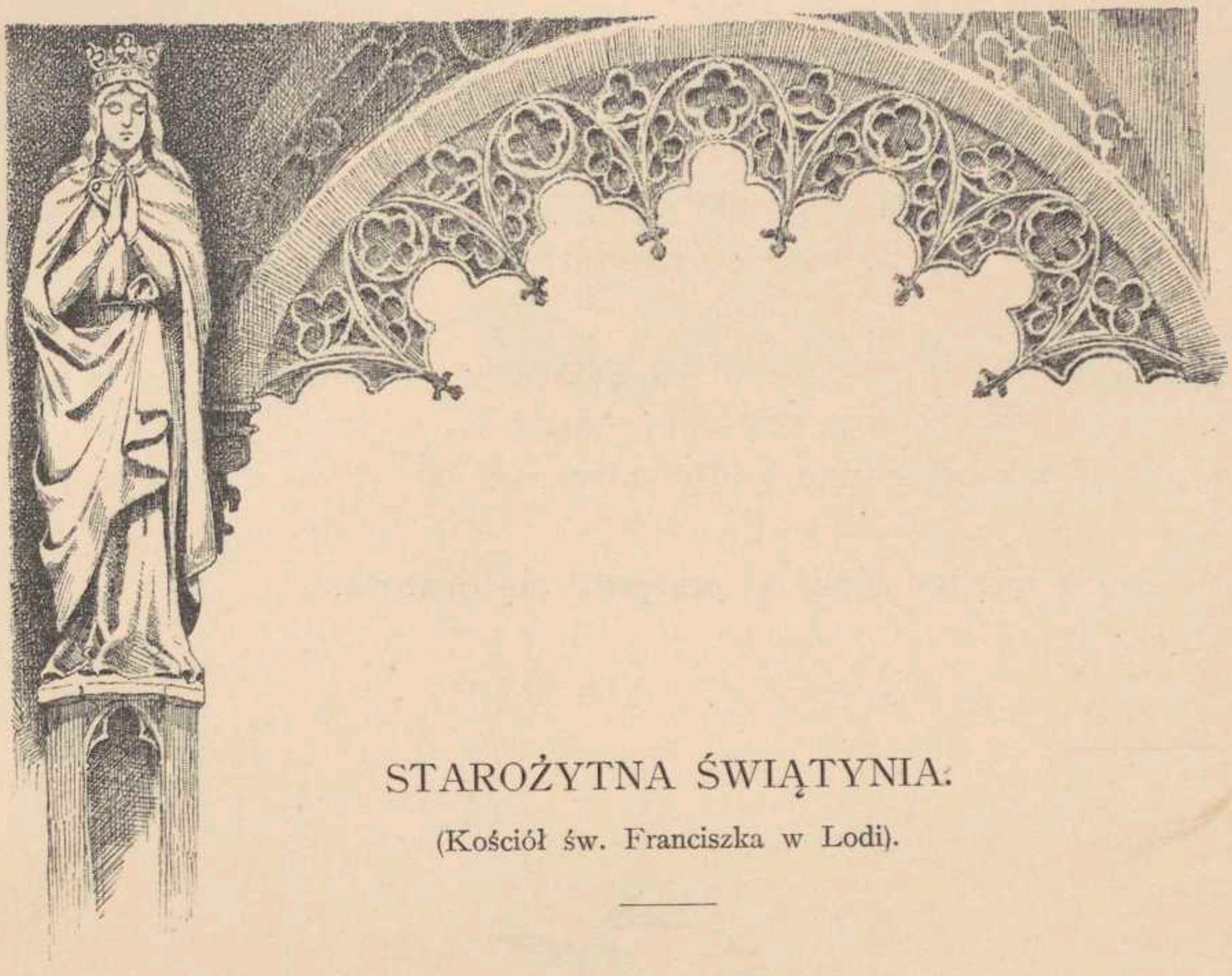

STAROŻYTNA ŚWIĄTYNIA.

(Kościół św. Franciszka w Lodi).

Świątynio czarna i majestatyczna,
Gdziem się modliła dzieckiem, z duszą w niebie!
O, pełna mroku wieków, o, mistyczna
Świątynio, nigdy nie zapomnę ciebie!

Słodkie Madonny patrzą się łaskawie
Z pożółkłych murów, z naiwnym uśmiechem...
Jak mara w ciemnej mnich sunie się nawie,
A krok powolny głuchem dźwięczy echem.

Jakby uwiędłych róż wonie skróś wioną,
Mrących fijołków jakby oddech dyszy...
I spokój rzeczy minionych, co toną
W zorzach stuleci kończących się ciszy...

I dniem i nocą przed ołtarzem w chórze
Goreje lampa, jak wieczna tęsknica...
A mnie, klęczącej na białym marmurze,
Słodkich uniesień łzy lecą przez lica...

O, wy, natchnione chwile, gdy organy
Świętą opowieść duszy dziecka grały,
Kiedy ich pieśnią duch rozkołysany
Wieszczem przeczuciem upajał się chwały!

O, wy, natchnione chwile, o, pamiętne,
Gdy pieśń buchnęła we mnie wrzącą falą
Strof pierwszych, gdy mnie chwyciły namiętne
Zawroty wyżyn, swą błękitną dalą!

Chwile, zaklęte w obłoków rój złoty,
Tego, który się już nie wróci — maju,
Jak sznur jaskółek rozchwiany w poloty,
U promiennego lazurów okraju.

Godziny marzeń, zachwytów wybuchy!
Wspomnieniem waszem znów bije mi łono...
I taki czuję za wami żal głuchy,
Jak ten, co miłość wspomina tłumioną!
. . . . . .

Naprzód, a naprzód! Przez życia rozłogi,
Bez odpocznienia czas pędzi niesyty.
Łańcuch oplątał zranione me nogi,
Lecz wzrok mój jeszcze się wznosi w błękity.

Naprzód! — Lecz dusza umęczone skrzydła
Zwija i w przeszłość zwraca się spragniona...
...O, wonie lilii!... O, myrro kadzidła,
W nawie tej, gdziem się modliła wzruszona!

O, długich arkad spokoju ty mniszy,
O, woski, mary błądzące kapturów,
O, starodawne Madonny, co w ciszy
Patrzycie słodko z pożółkłych tych murów!

Złe, com spełniła, złe, com przecierpiała,
Wśród was-bym chciała zapomnieć na wieki,
I na wypełzgłych marmurach, znów biała
Klęcząc — swój pacierz odszukać daleki!

»CÓRA POWIETRZA«.

Cyrk milczy. Uśmiech na ustach kona,
Twarze chłód owiał bladości,
Rwą się oddechy, ciżba stłoczona
Dreszcz czuje w szpiku aż kości.

Jak jasny obłok, jak rzecz skrzydlata,
Z wyżyn trapezu powiewna
Jawi się, błyska, tańczy, ulata —
Wieszczka, powietrzna królewna.

Rzuca się, gibkie ciało na sznurze,
W wężowe przegina skręty,
Odgarnia włosy i ciska różę
Na tłum, co milczy zaklęty...

Wyzywa próżnię, igra z otchłanią,
Urzeka przepaść i trzyma
Śmierć na uwięzi, patrząca na nią
Zadumanemi oczyma.

Włosy jej, może iż rudo płoną,
A może przez dziwne czary,
Zdają się zgarniać świetną koroną
Zórz zwrotnikowych pożary.

Krótka, gwiaździsta na niej tunika,
Z pod której, wśród ruchów zwinnych,
Subtelnym, wątłym kształtem wynika
Jej ciało, z lat już dziecinnych

Wygięte, między klownów gdy ryki,
Pod świstem bicza, co smaga,
Wśród sprosnych gestów, pod takt muzyki
Bachicznej pieśni — szła naga

Tańczyć na linie... kiedy bez drżenia,
Już piękna, choć dziecko prawie,
Ulatywała, jak powiew tchnienia,
Jak promień, jak sen na jawie.
. . . . . .

O, dziecko stare, co ci odjęto
Słodkie twe lata dziecięce!
O, stare dziecko, sprzedane w ręce
Tłumów, co rozkosz przeklętą

Patrzenia, jak śmierć ciebie oblata,
Płacą, i każdy twój strzępek
Ciała, i prawo do krzyków: »Skrzydlata«! —
Płacą, i płacą występek, —

Dawno shańbione, o, dziecko ty stare,
Tańcz nad przepaścią, patrz na nią,
Duchom powietrznym składaj ofiarę,
Walcz z próżnią, igraj z otchłanią, —

Rzucaj tej ciżbie, co czyha drżąca,
Kwiaty, uśmiechy swych czarów,
A zaś swych panów ubaw do końca
Rozkoszną orgią cezarów, —

I z tej wyżyny, gdzie wzlatasz z szałem,
Zdradzona przepysznym ruchem,
Zatrzepocz skrzydłem skrwawionem, białem,
I ruń — z oklasków wybuchem!

INSTYNKT MACIERZYŃSTWA.

Nie mam dziecięcia. Młodość się namiętna
Moja ulatnia sama, czyste ⁻onie
Fijołków roniąc nieśmiała i smętna,
Na niekoszonej jeszcze trawy błonie.

O, pocałunku niemowlęcia! O, ty,
Wszechbólów serca przedziwna pociecho!
Pierwszego słówka, o, słodkie szczebioty!
Anielskich ustek, o, rajskie ty echo!

Wzywam dziś ciebie, dostojna płodności,
Z najświętszych duszy tajników zrodzona
Falo, co wzbierasz przypływem miłości!

Wzywam cię, różo, rozkwitła o świcie,
Cudzie wnętrzności moich, mego łona,
Który me życie — wlejesz w nowe życie!

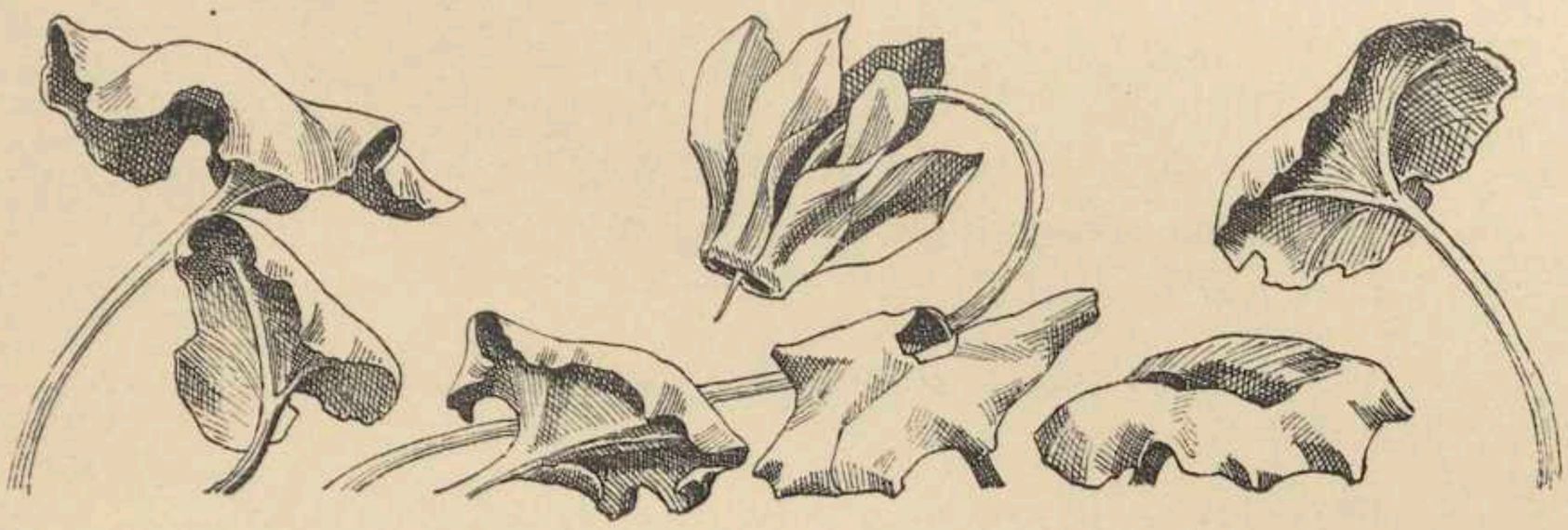

SYN.

Przyjdzie! On przyjdzie! Z zdrojów mego życia,
Z mojej zwycięzkiej jaźni, z mego tchnienia,
Z krwi mej płomiennej, z soków moich bicia
Zarody weźmie istnienia!

I wszystko weźmie ze mnie. Lot błękitów,
Krwawą potęgę mózgu, szpik mych kości,
Palącą żądzę przepaści i szczytów,
Przeczucie nieskończoności!

I będzie wielkim, jakom ja przysięgła
Być, — a nie jestem, i wyżyny święte
Natchnień ujarzmi, których jam — nie sięgła!

I szczęsnym będzie ten duch — mój i boży...
I ujrzę, jako moce, mnie odjęte,
Buchną w nim światłem promienistej zorzy!

. . . . . .

Ach, nadto-bym cię kochała! Jak chmury
Cichem łyskaniem jasne łono, drżące,

Byłaby miłość ta, w kształtów tysiące
Życia wcielona i potęg natury!

O, ty, co jeszcze dotąd spisz gdzieś na dnie
Nocy przedbytu, i w snów tajemnicy
Przez moc płomienną trawiącej tęsknicy,
Przez to pragnienie ciebie, co mną władnie, —

Odsłoń się!... Wiosna gdy na świat zagości,
Drży do owocu kwiat każdy w tej dobie,
A ja się żądzą rozpalam ku tobie,
Wołając: — Zjaw się, zrodzony z miłości!...

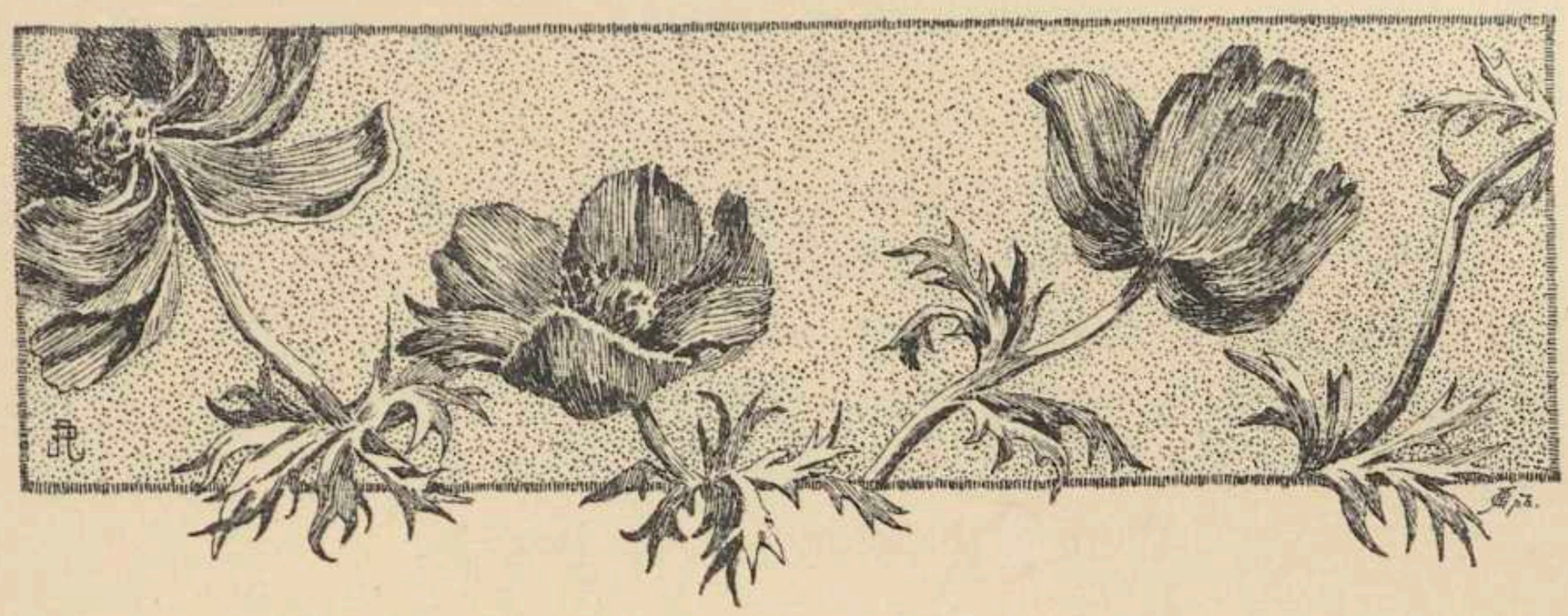

PRZYBYCIE.

Pukam. Gród wielki otwiera podwoje.
— »Kto cię hodował?« — Wieś, pola i łany.
— »Kto cię tu przywiódł?« — Przeznaczenie moje.
Wicher, co pędzi człowieka...
— Świeżość mych borów i szum ich rozwiany
Przynoszę tobie zdaleka!

Wśród mchów zielonych liczyłam dnie wiosen,
Gdzie bluszcz się wspina ku górze,
Wpośród czarności zwartych żyłam sosen,
Szerokich przestrzeni wolnych
Znam pocałunki i wichrowe burze...
Cyganką byłam dróg polnych.

Wolność, wspaniała wolność, ta bez uzdy,
Była mi domem. O, gdybyś ty wiedział,
Co to za rozkosz, przez miedze, przez bruzdy
Iść, na wiatr rzuciwszy włosy,
Samej, bez więzów, nie dbając gdzie przedział,
Z okiem utkwionem w niebiosy! —

O, gdybyś wiedział, jaka to rzecz słodka
Tak się wprost zrodzić z pocałunku ziemi,
Jak to źdźbło trawy, jak winorośl wiotka!
I jaka to rzecz jest błoga
Jako kwiat tulić płatkami barwnemi
Plon zapłodniony przez Boga!

Z wnętrzności ziemi słyszałam szept złoty
Runi, co wiosną z ugorów wytryska;
Na miłość ptasząt patrzyłam, na loty
Ogromnych wichrów po błoni,
Na obłok pyłów, który tabun ciska
Dziko pasących się koni...

I zewsząd biła na mnie rozkosz żywa,
I fala siły, i żądza swobody,
Jak wielka rzeka, kiedy tamę zrywa,
I na nizinne roztworza
Z gromkiemi huki toczy swoje wody,
Burzliwa jak otchłań morza.

Teraz, o, grodzie świetny, w majestacie
Wieków stojący, przychodzę do ciebie,
Motykę moją zawiesiwszy w chacie
Rodzinnej. — Chcesz mnie? — Na chlebie
Czarnym wyrosła, na głuche wołanie
Nędzy w twe idę otchłanie!

Zaułkom twoim niosę promień słońca,
Niosę rumieniec zdrowia, niosę życie
Wybladłym twarzom twych dzieci, woniąca
Świeżego siana zapachem!
Szczebiot jaskółek niosę, piórek bicie,
Pod słomą nakrytym dachem!

I całej ciżbie tej, co się tak tłoczy,
W bluzach, w jedwabiach, w łachmanie,
Co pcha mnie, głuszy, olśniewa mi oczy,
Co bez spojrzenia mnie mija,
Co w zgiełku ulic płynąc nieprzerwanie,
Próżniaczo czas swój zabija, —

Braterski uścisk przynoszę słoneczny,
I śpiewam wstępny hymn życia, swobody,
Sprawiedliwości, nadziei... Hymn wieczny,
Jak wieczne są morza, góry,
I nieśmiertelna wszechpłodność przyrody,
I te rozwarte lazury!

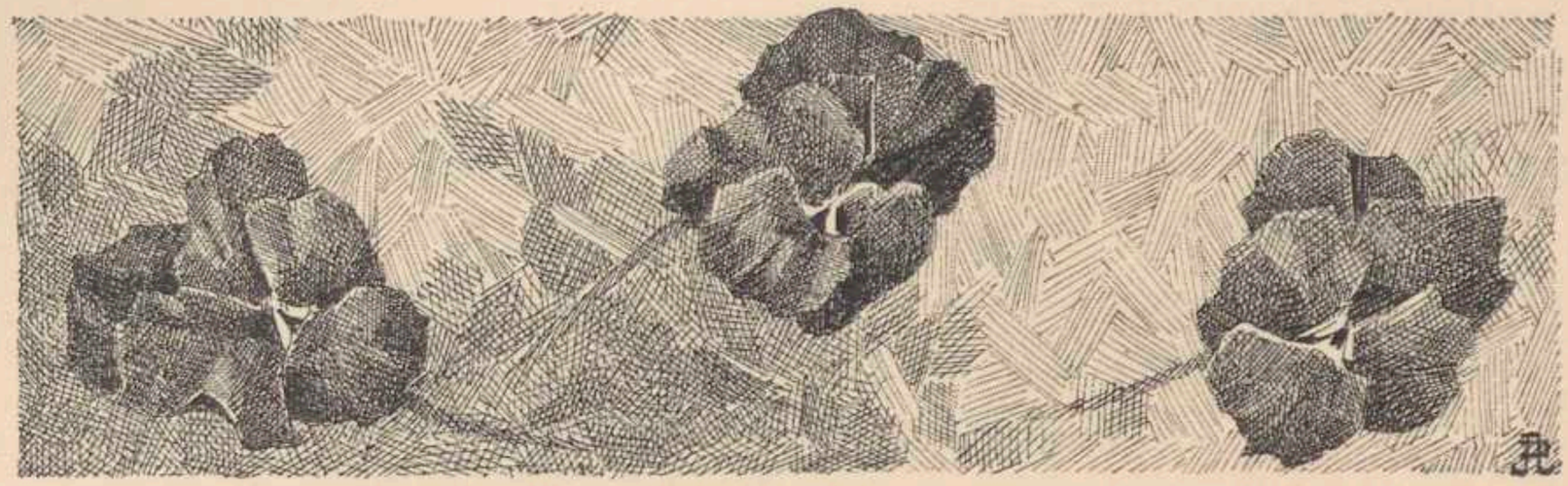

W MIEJSKIM SZPITALU.

Szpital świętego Józefa. Tam, w rogu,
W prawo, dwudziesty numer mi wskazali...
— Dziś tapczan pusty. Lecz w tej samej sali,
Przed laty skonał tu, na tym barłogu,

Mój ojciec. Byłam wtedy jeszcze małą
Dzieciną. A tak, o nim, co nademną
Płakał, odchodząc w drogę swoją ciemną,
Żadne wspomnienie we mnie nie zostało.

O, ty mój ojcze nieznany! Ty drogi!
Czy słyszysz teraz płacz mój? Twoje dziecię,
Któreś zostawił sierotą na świecie,
Na mroźną nędzę, na troski wichr srogi, —

Rosło, cierpiało, żyło w pracy, w znoju,
A dziś się skarży ci... — Po ostrzach noży
Idzie, lecz jakiś natchnionej blask zorzy
Płonie w jej oku, co nie zna spokoju!

I płonie w niem żar niezachwianej wiary...
I zwyciężyła, i jak lilia polna
Śmiało podnosi głowę nad tłum szary:
Kocha, bojuje, śpiewa i jest wolna!

A kiedy mówię to, w cichej izdebce
Matka ma droga śpi z błogim uśmiechem,
A skroń jej róży wiosennej oddechem
Błoga nadzieja owiewa i szepce...

I w uciśnionem sercu jej, co z życiem
Walczyło dotąd, od trumny twej deski
Druga się młodość jak seraf niebieski
Budzi, ze skrzydeł swych płomiennem biciem.

Lecz ty nie słyszysz mnie... Ty nie wiesz może...
Jam przyszła, żeby tu odnaleść ciebie...
Lecz zimny całun, co kryje twe łoże,
W śmiertelnej bieli swojej łzy me grzebie...

Tyś skonał tutaj — matka nie wiedziała —
Tyś skonał tutaj sam, w rozpaczy, w męce...
W żgło zakonnicy odziały cię ręce,
Pacierz szepcącej u twojego ciała...

Zaś na kamiennym stole byłeś w nocy
Złożon, w trupiarni; a woda, co leci
W kroplach tam, była tobie za łzy dzieci...
I tak zostałeś sam, i bez pomocy...

W okropnych mrokach możeś, zdjęty trwogą,
Na kogo wołał, iżby ostatniemi
Pocałunkami utulił cię swemi...
I nic... I z żywych nie było nikogo!

O, słodkie lica, o, żyły bijące,
O, wielkie serce, o, drogie wy kości,
O, prochy ojca, o, święta miłości,
Rozwiane dzisiaj w atomów tysiące!

Tu, z tragicznego, szpitalnego proga,
W imieniu waszem na świat wołam cały:
— O, ziemio, nie bądź ty swym dzieciom wroga!
O, ściel im gniazda ciche u powały!

O, niech twe syny radosnemi głosy
Dom błogosławią, w którym się zrodzili!
I niech z uśmiechem w ostatecznej chwili
Oczy w nim zawrą, — patrzący w niebiosy!

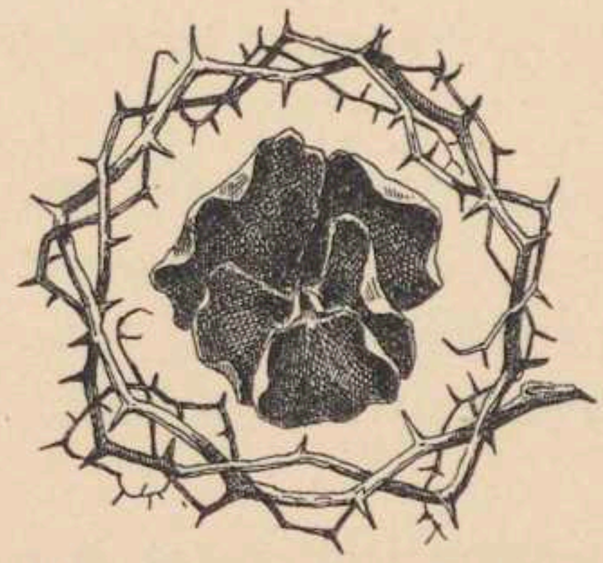

O, DROBNA RĄCZKO...

O, drobna rączko wysmukła i biała,
O, rączko wątła, szczupła i nerwowa,
Coś pióro niegdyś młodzieńcze chwytała
Bez trwogi, zawsze do boju gotowa, —

Pomnisz, jak ono, w płomienne te noce,
Orlego skrzydła szum miało i bicia?
Jak strof ognistych pędziły cię moce,
Ulatujących ze strzępami życia?

Samotna byłam wówczas! — Dziś jest ze mną
Ten, z którym walka przegrana i pusta...
A kiedy patrzy źrenicą swą ciemną,
Serce me bije, lecz nieme są usta.

Dla niego teraz dusza ma wezbrana
Śpiewa najwyższy hymn, w natchnień rozbłysku,
Kie[illegible] tymczasem ty, o, rozkochana
Rączko, drżysz trwożnie w rąk jego uścisku.

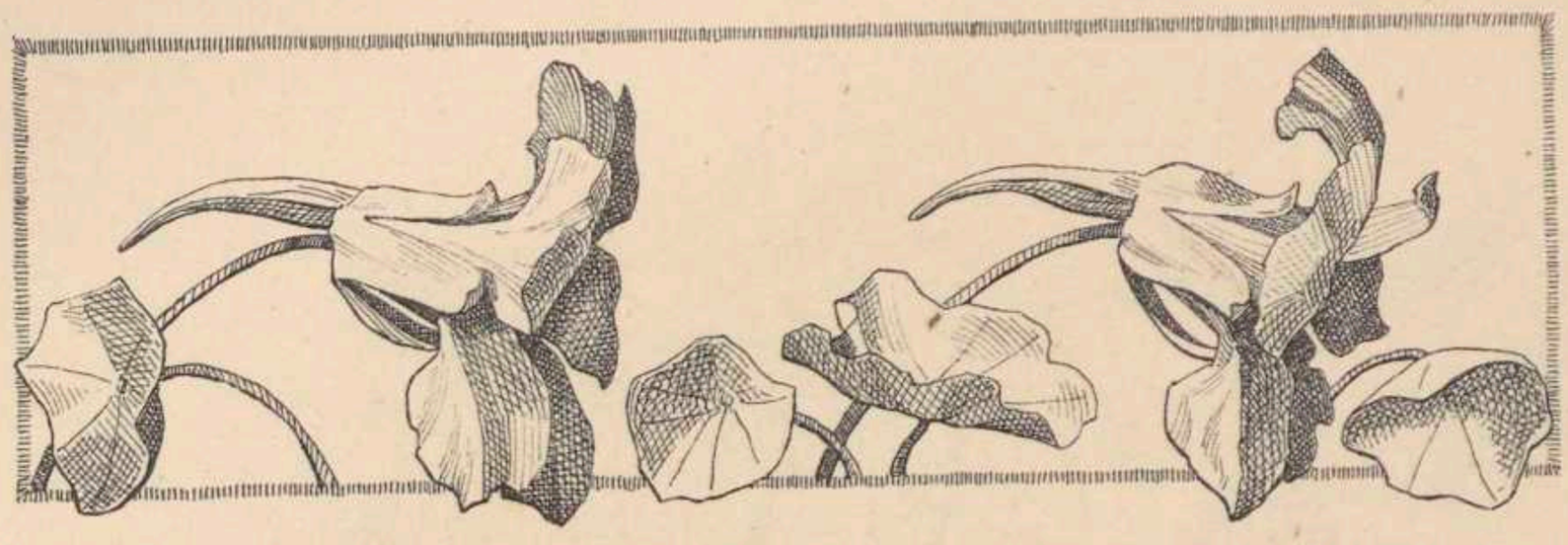

PÓJDZIESZ I TY...

Mówiłeś do mnie: — »O, kochanko smętna
Co milczysz, w moje tuląc się ramiona,
Czemu ust twoich pieszczota namiętna,
Łkaniem twej piersi zdaje się tłumiona?

»Jak noc głębokie, czemu oczy twoje,
W próżni upartem spojrzeniem gdzieś gonią
Mar fantastycznych i ulotnych roje,
Nad tajemniczą wznoszących się tonią?

»Miłości naszej rozkwitniona wiosna
Nie śpiewa w tobie szczęściem i kochaniem,
Lecz drży w twem sercu jakby łza żałosna,
I jak zerwana struna jęczy na niem!

»Na mojej piersi co za strach głęboki,
Wielkie twe oczy rozpłomienia w ciszy?
I jakich nieszczęść oddalone kroki
Przeczuciem drżąca dusza twoja słyszy?«

A jam odrzekła: — Kiedy z twarzą białą
Śnię na twej piersi płomieniste raje,
A wątłe moje i dziecięce ciało
W ramionach twoich omdlewa i taje, —

Wtedy, w półzmierzchu, przechodzą przede mną
Posępne widma kobiece w milczeniu,
I mary dziewcząt ze skargą daremną
Przechodzą, patrzą, i giną w półcieniu.

I one były piękne. Włos ich złoty
Miał w sobie słońca lipcowego pyły...
A niekochane przecież, bez pieszczoty,
W grób zapomnienia wiecznego zstąpiły!

I widzę widma kobiet nad posłaniem
Męża schylone, nad wezgłowiem syna,
Gdy — konające najmilszych konaniem —
Widzą jak idzie ostatnia godzina...

I wobec ducha, co loty wiecznemi,
W mir i w blask idzie czarną śmierci bramą,
Obumierają, wijąc się po ziemi
W męczarniach serca, co zostało samo!

I będą odtąd sen nosić w źrenicy
O miejscu, które nie jest z tego świata...
I ku mogile, w trawiącej tęsknicy,
Chylić się będą jak kwiat, co oblata.

Widma, omdlałe z żądzy, w upragnieniu,
Pożarem suchot spalone do kości,
Idą — i łkają żałośnie w półcieniu
Nad trumną swoich zabitych miłości...

Schylone idą, krok wlokąc znużony,
Tragiczne widma, korowód grobowy;
Na białych ciałach żałobne zasłony,
Na piersiach niosą drogie trupie głowy...

I patrzą, patrzą na mnie!... Wtedy męka
Śmiertelna zimnym oblewa mnie potem,
A pierś ściśniona omal że nie pęka:
Tak serce bije w nią gwałtownie młotem!

Wtedy w uścisku ramion moich, drogi,
Spazm ci tajemny zgrozę tę odsłania...
Wtedy w pieszczocie, pełnej głuchej trwogi,
Wraz z pocałunkiem czujesz wybuch łkania!

Bo one idą, patrzą, bo są ze mną,
Te straszne mary, z trupiemi czaszkami...
I słyszę, słyszę, jakby wróżbę ciemną:
— ...Czekaj! Niedługo i ty pójdziesz z nami!«

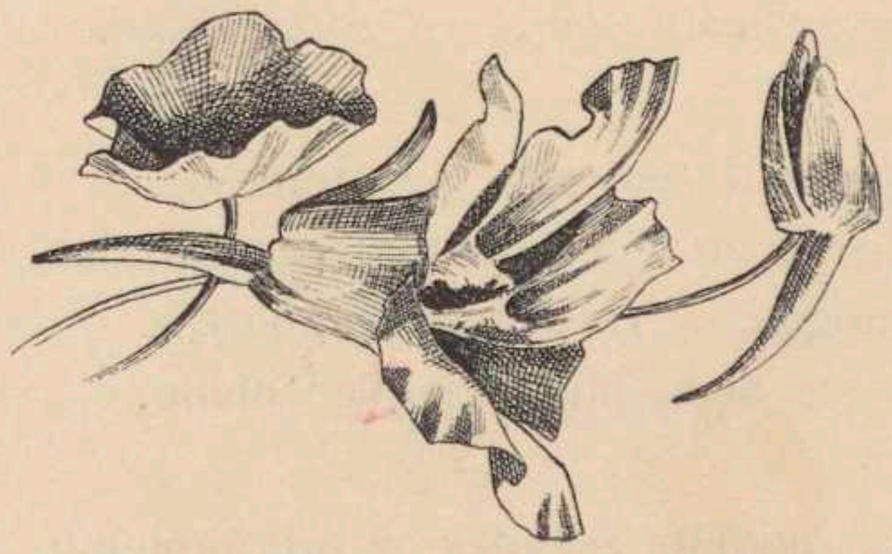

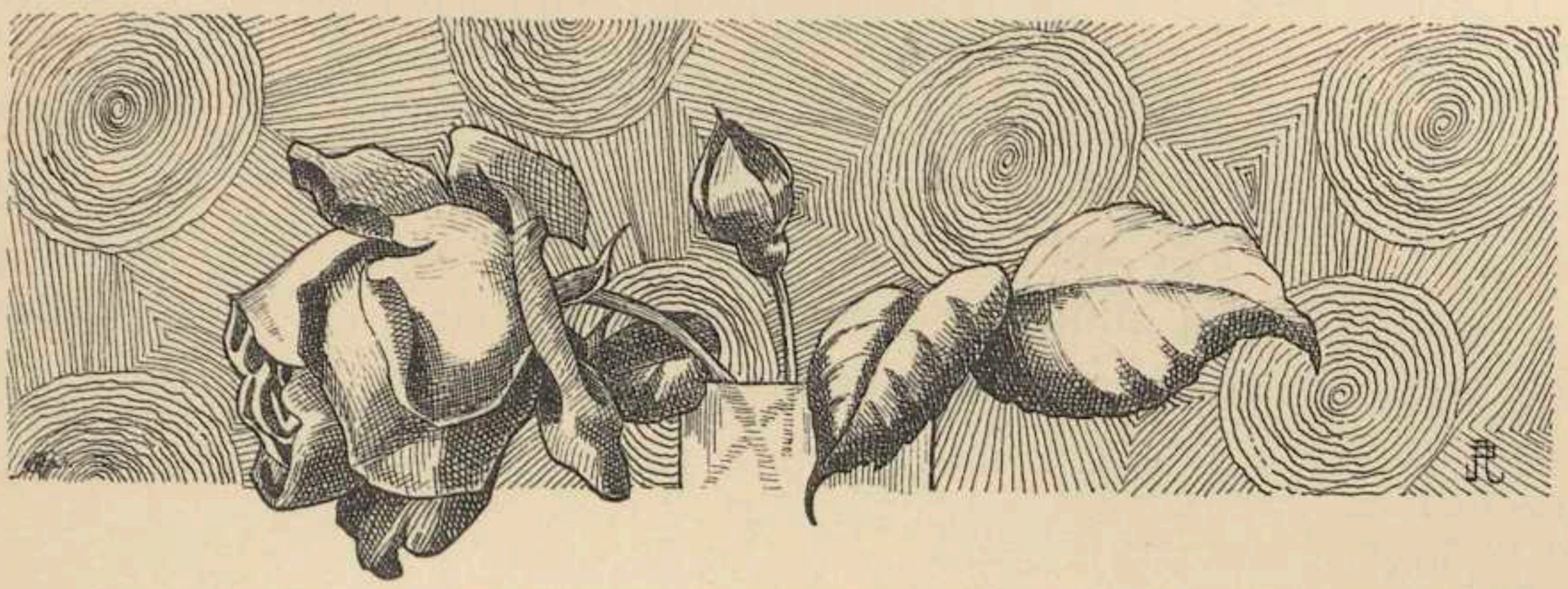

PO ROKU.

Kiedy na pustem posłaniu,
Pomyślę, żeś nie jest ze mną,
Gdy duszę strach mi uciska,
Że kocham ciebie daremno,
Że śmierć jest w naszem kochaniu;

Gdy widma przeczuć się roją,
Szepcąc mi, żem jest sierotą,
Że wszystko ludzkie przemija,
I że kochałam cię po to,
By nigdy nie zostać twoją, —

Taka mnie żałość opada
Nad sobą, nad szczęściem naszem,
Że znów-bym modlić się chciała
Tak, jak pod nędzy poddaszem
Matka uczyła mnie blada.

I zdala, zdala od ciebie,
Jak ptak na pustym barłogu,
Na zimnej klękam pościeli,
I, łkając, rzucam krzyk Bogu:
— Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

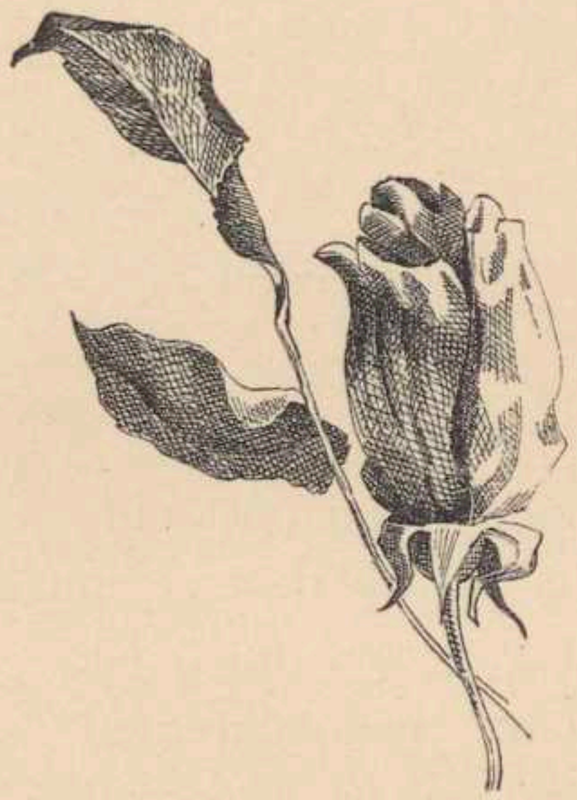

NIEŚMIERTELNY.

Chcę żyć! W mej wiosny krasie chcę żyć wiecznie młody!
Odkwiecić z róż, w swym locie, chcę wszystkie ogrody!
Chcę kochać, śmiać się, szaleć, wdychać kwiatów wonie,
Chcę upoić nektarem nieśmiertelnej sławy
Młodość mą, jak ptak lotną, a świeżą jak trawy,
A czystą — jak morza tonie!

Odtrącam ciebie, śmierci! Kocham płomień, wodę,
Kocham ziemię, co łono gorące i młode
Podaje pocałunkom jasnych słońca grotów...
Tę kuźnicę tytanów, gdzie wieczne olbrzymy,
W pracy swojej bezkresnej żar niecą i dymy,
Z epickim rozhukiem młotów!

Przez moje usta, które piją wiosny wonie,
Przez krew wrzącą i żartką, co mi w żyłach płonie,
Przez żądzę szczęścia, rozkoszy, miłości,
Przez śmiech, z którego białość zębów moich błyska,
Przez tę moc tajemniczą, co prze mnie, naciska
Do czynu, w imię przyszłości;

Przez wszystko, co się rodzi i co w jutro wierzy,
Co trzyma sztandar siły na wichrów rubieży,
Co jasnym ideałom śmieje się, słonecznie,
Co łuną ognisk ducha świat cały oświeca,
Walczy, zwycięża, gaśnie, w popiołach skry wznieca —
O, losie, ja chcę żyć wiecznie!

Ku czci zdrowych muskułów, zmysłów, dzieł człowieka,
Ku czci mózgów, przez które prawdy płynie rzeka,
Ku czci szczęsnej miłości, pokoleń rodzicy,
Ku czci matek karmiących, ojców zlanych potem,
Ku czci grodów, gór, gajów, pól okrytych złotem
Kłosistych snopów pszenicy;

Ku czci ofiar ukrytych i wzniosłych obłędów,
Natchnień geniuszów, bicia serc i orlich pędów,
Ruchu, lotu, fal dźwięków i głosów tysiąca!
Ja śpiewam, śpiewam życia hymn dziki i wolny,
Hymn — silny jak mąż w boju, — prosty jak kłos polny,
A wieczny jak promień słońca!

— Cierpieć?... Lecz to żyć właśnie! Czuć zawrót, co bije
Do głowy, w ślepym spadku na łeb i na szyję,
Aż na dno, w przepaść bólu śmiertelną... aż na dno...
Słyszeć jak otchłań woła pogrzebowym spiżem,
Żółcią gasić pragnienie, łamać się pod krzyżem,
I skargą nie bluźnić — żadną!

A potem, nagle, ujrzeć promyczek maleńki,
Odrodzić się nadziei, odwadze — z tej męki,
W miłości wzmódz się, zolbrzymieć tym bólem,
Chwycić źdźbło życia, uczuć, jak w zmartwiałe ciało
Krew gorąca nap[illegible]wa swą falą wspaniałą,
I wskrzesnąć z Łazarza — królem!

Tym, co przed bojem bledną — otwarte Tajgety.
Tych, co słabi, ze świata zmywa woda Lety,
Mętnych i zimnych głębin fatalnym pogrzebem...
Przeklęty, kto się cofa i patrzy wstecz, w dzieje,
I jak cień niepewnego widma, tak się chwieje
Pomiędzy ziemią a niebem!

Ja wstępuję na szczyty, nad alpejskie śniegi!
Za mną — wolnych i wiernych i silnych szeregi
Na wyżyny wstępują pewną, śmiałą nogą...
Tam, w słońca blasku, jasnym sztandarem powiewam,
I tryumf życia głoszę, i zwycięztwo śpiewam
Tych, którzy umrzeć — nie mogą!

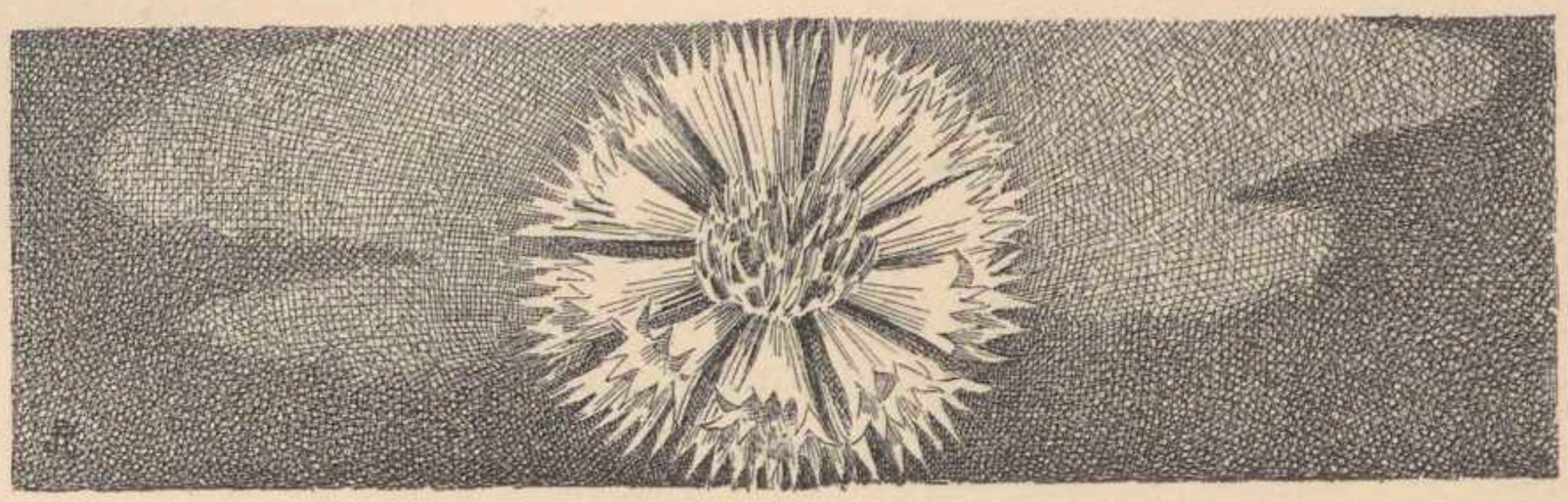

PRZEBUDZENIE.

Czasem mi w mózgu ciężka mgła się kłębi,
I chmura wisi nad myśli mej gmachem,
A dusza, jakby snem zdjęta, czy strachem,
Milczy zgnębiona, w przepastnej swej głębi.

Żadnego we mnie życia, dreszczu, szumu,
Boju, marzenia, nic, nic!... Obojętna,
Jak ptak bez gniazda, tak błąkam się smętna,
Milcząca, wpośród wrzawy, ruchu, tłumu.

Niczego nie chcę, nie walczę daremnie,
Blasku nie czuję, ni uśmiechu słońca:
Lód w sercu, wkoło ciemności bez końca,
I nawet pamięć nieba gaśnie we mnie.

Aż nagle ze dna tej martwoty ducha,
Zbudzona gromem radości i szału,
Nowa w mej piersi, nowa dusza bucha,
Płonie, ulata na piórach zapału. —

Mózg pęka w słowa, magicznego kwiatu
Barwy dostaje, jak ugor o wiośnie;
I myśl się z mroków wybija radośnie,
Do słonecznego natchnień majestatu.

Promiennych wizyj roztacza się sfera
Pod lazurami przeczystych niebiosów,
A z wszechżywota wezbrany odgłosów
Lwi ryk w tryumfie łono mi rozdziera!

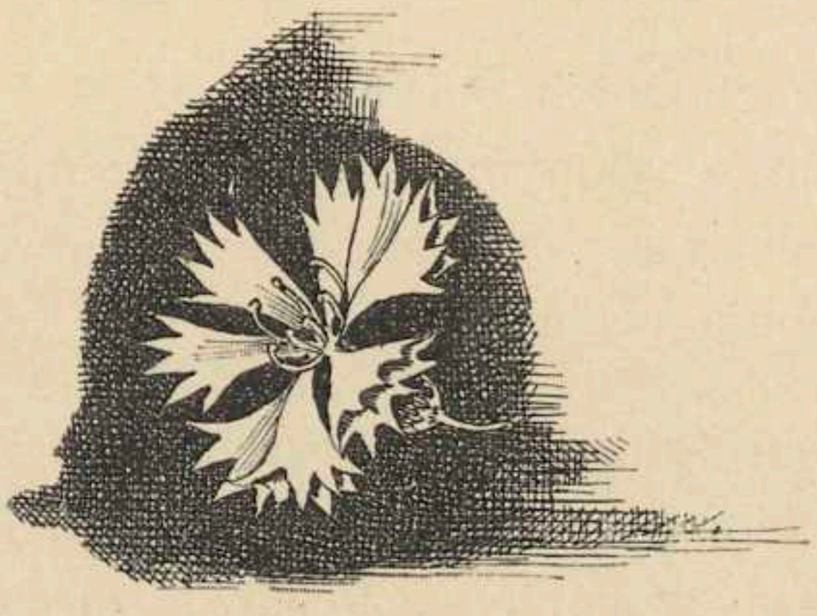

NA TRUMNĘ.

Pod zórz zachodnich purpurę,
Z wzrokiem schylonym w ziemię, z znużeniem boleści,
Zwolna drobny się orszak posuwał niewieści,
Wstępując w górę.

Szedł z dolin, gdzie jodła rosła.
Cień głębokiej żałoby mroczył niewiast lice,
Wszystkie plecy pochyłe, bo każda tarcicę
Na barkach niosła.

Więc rzekę im: — Pokój z wami,
Niewiasty! Co niesiecie, i jaki ból srogi
Macie w sercach, iż na te skaliste rozłogi,
Pruszycie łzami?

A na to głosy ich tłumne:
— »Jutro, w górach, jest pogrzeb naszego plebana...
Więc niesiem, — że to tylko naga tam polana, —
Deski na trumnę.

...Dobry był! Słodkość przebłoga
Płynęła w ludzkie piersi z jego świętej mowy...

Właśnie, jakoby pachnąc, kwiat wschodził majowy
W duszy — dla Boga!

...Każdemu dodał pociechy,
Każdą ranę serdeczną uleczył, jak cudem...
Żył wśród ludu, miłował lud, i cierpiał z ludem,
Za jego grzechy!« —

Rzekły, i patrząc ku niebu,
Za zrębem skał zniknęły, jako mgliste cienie,
A od szczytu do szczytu rozległo się pienie,
Echem pogrzebu:

...»O, de profundis clamavi«...
— Pokój ci duszo błoga! Pokój tobie, cieniu!
Tyś w słodkiem słowie i w słodkiem spojrzeniu
Miał Boga, co błogosławi!

Tyś w mrokach rozpalał zorze,
Podporą słabych byłeś, koiłeś ich troski;
Tyś, przez miłość dla ludu, do swej biednej wioski
Przybliżał królestwo boże!

...»O... de profundis«... — Już z szczytów
Najwyższy lekkim różem owionęło słońce,
Ogromna jakaś litość nad światy milczące
Z cichych zstępuje błękitów.

Echowa mdleje muzyka,
Coraz wyżej, a wyżej, po zboczach ścieżyny...
Ostatni szczyt w ostatnich blaskach gaśnie siny...
Zorza i zaduma — znika.

NARODZENIE.

Otwarł oczęta, błękitne, niewinne,
W szpitalnej izbie więzienia, a mury
Przybytku nieszczęść — dom hańby ponury —
Pierwsze kwilenie słyszały dziecinne.

Rzucał się, płakał chłopczyna niebogi,
Jakby się wstydził i zdjęty był trwogą...
Może rozumiał? A na nim, złowrogi
Cień leży plamą złowieszczą i srogą.

Ale dziecinę matka z całej mocy
Do piersi ciśnie, łez kąpiąc ją wrzątkiem,
Wśród onej głuchej, bezlitosnej nocy...

A gdy dzień oświtł, twarz jej wynędzniała,
Skłoniona ponad śpiącem niemowlątkiem,
Świętej się twarzą, nie zgubionej zdała!

BRATEK.

Z lekkiej czareczki, gdzie złotem przetkane
Płatki puszyły swoje aksamity,
Bladego bratka, co rósł w cieniu skryty,
Spojrzały na mnie oczy zadumane.

...Widziałam niegdyś drogich oczu dwoje,
Co tak błagalnie patrzyły się we mnie...
Teraz je grobu zamknęły podwoje
I miłość zeszła z niemi w wieczne ciemnie.

Jeśli to prawda, że umarli żyją
W nagrobnych wierzbach, że się jawią światu
W trawach i ziołach, co mogiły kryją,
W świeżych kielichach wiosennego kwiatu, —

W tym bratku, co tak płatki swoje puszy,
Patrząc oczyma błagalnemi we mnie,
Żyw jest i czuje — jakiś atom duszy
Tego, co niegdyś kochał mnie daremnie.

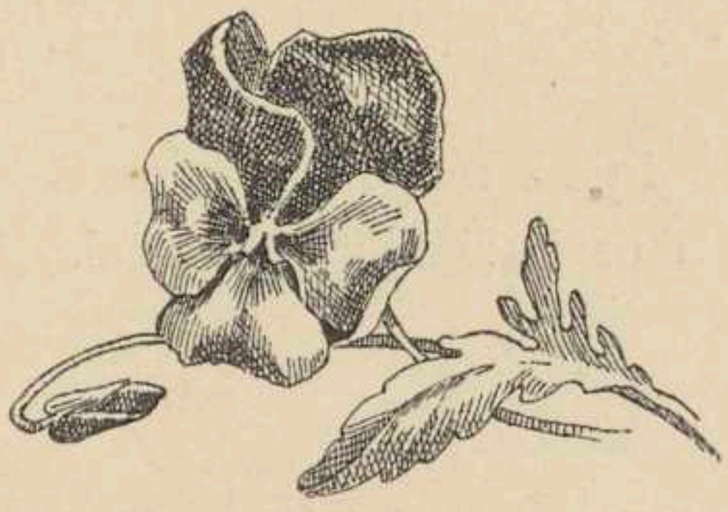

GODZINA.

Na me dziewicze serce chmurą spada
Wyroczna chwila żądzy i płomienia.
... Jest noc, a w mrokach czyha
Demon zatraty, Demon upojenia...
Jest noc, a ty nie wiesz o tem,
Ty, co śpisz cicho, zdaleka ode mnie,
Że blada, na pierś skrzyżowawszy ręce,
Twych pocałunków pożądam daremnie.

Nigdy już, nigdy, z wielkich moich oczu,
W młodości mojej namiętnym wybuchu,
Nie strzeli płomień tak żywy,
Ni tyle miodu będzie na ust puchu...
I nigdy dusza moja rozpalona
Wołać nie będzie tak cię gwałtownie, miłośnie,
Jak ptak, co z krzykiem i ze skrzydeł biciem
Krąży, aż spadnie na gniazdo o wiośnie.

Dziś żądza moja, w ciemności i ciszy,
Jak stos buchnęła męczeńsko i jasno...

— Ale godzina przeszła, a jej żary
Zwolna strawione same w sobie — gasną.
...Dzień świta w mgłach szarych, chłodnych,
W całunie sinej błękitności wschodu...
Skonała naszej rozkoszy godzina, —
Skonała z zimna i z głodu!

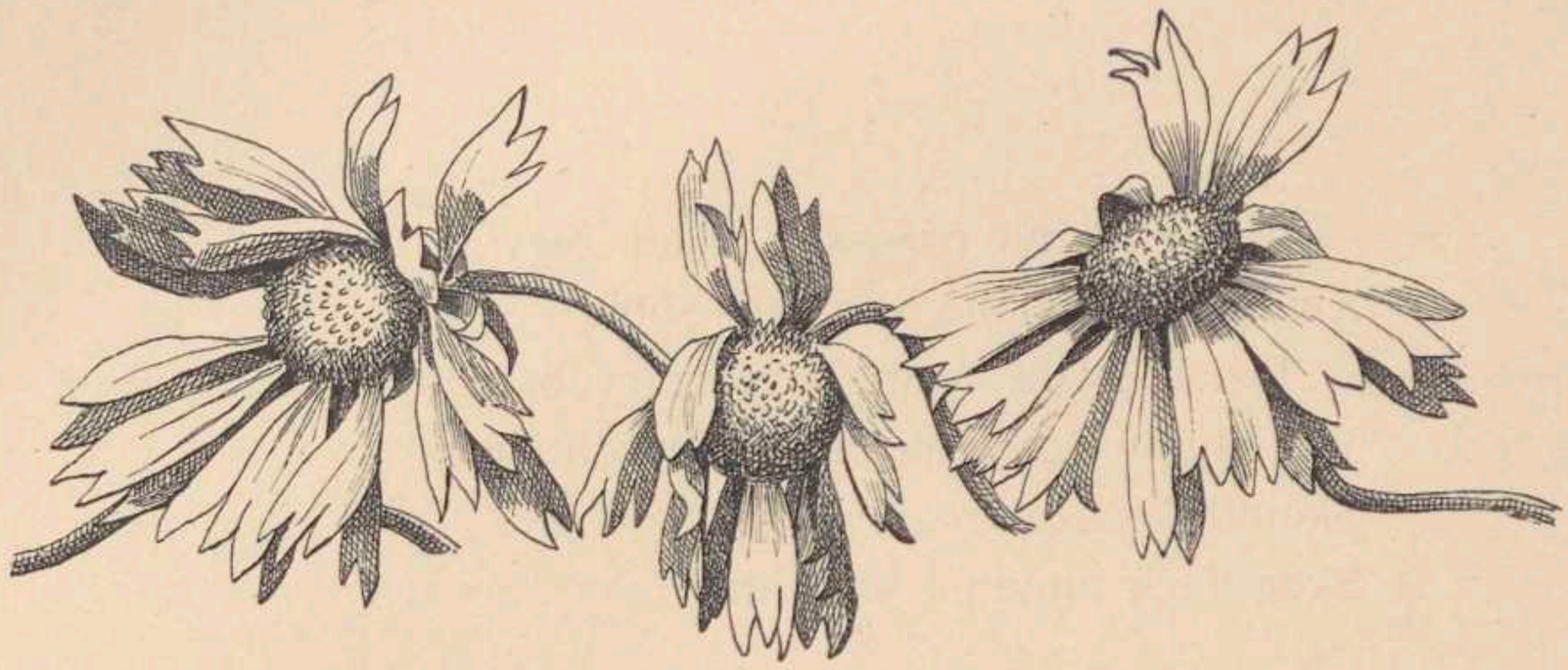

JEST CHORY...

Chory jest! chory!... Przyzywa mnie może,
Sam, w obcej stronie, bez matki, bez siostry...
Ciemna wieść grotem przeleciała morze,
I w mojem sercu utkwił grot ten ostry!

W bezsennych nocy gorączkowej głuszy
Może mnie szuka przy sobie dokoła...
Może w męczarni samotnych katuszy,
Jak dziecko, tak mnie po imieniu woła!

O, gdybym mogła przelecieć mórz tonie,
I na to czoło, zlane zimnym potem,
Złożyć na chwilę czyste moje dłonie...
Jak cudem byłby uleczon! Wiem o tem!

A przecież stoję bez ruchu, bez woli,
Straszno mi rzucać te domowe progi,
I matkę starą, — i na łaskę doli
Puszczać się w puste i niepewne drogi, —

Przez wielkie morze, przez huczące grody,
Przez tłumy ludzkie i dzikie obszary,
I cudze lądy, i góry, i wody,
Wśród huku wozów i wśród świstu pary, —

Aż tam, do jego łoża... I jęk tłumię,
Żeby się matka nie ocknęła śpiąca,
I gwałt żałości i łkania me tłumię,
W rozterce mojej i w mym bólu drżąca...

I z pochyloną oto stoję głową,
Do udręczonej piersi cisnąc ręce,
I temu, co tam ginie, jedno słowo
Szepcę... O, przebacz!... I omdlewam w męce.

W ŚNIE CIĘ WIDZIAŁAM...

W śnie cię widziałam. Owa okolica,
Gdziem cię spotkała, była mi nieznana.
W powietrzu ciężkiem, martwem, nieruchomem
Wisiały chmury krwawiące, jak rana.

Śmiertelna boleść i śmiertelna trwoga
Szły naskroś nieba lodowatym dreszczem,
A echo dzwonów, jak widm skarga cicha,
W dali gdzieś brzmiało z wahaniem złowieszczem.

A iżeś ku mnie szedł, chciałam do ciebie
Iść, lecieć, biegnąć krokami śpiesznemi...
— Lecz ciężar jakiś nieznośny, ołowiem
Zdał się przykuwać stopy me do ziemi.

Więc chciałam wołać: — Wróciłeś nareszcie
Do mego serca, przez morza i skały!
Tęskniłżeś za mną wśród samotnej drogi?
— Lecz usta moje zamknięte milczały.

Razem daleko, i razem znów blizko
Byłeś... Chcę witać, wyciągam ramiona,
Chcę objąć ciebie, — i nagle, ze zgrozą,
W uścisku moim cień czuję, co kona...

Ten boski, słodki sen, który lat tyle,
Tyle żywiłam serca mego biciem,
Rozwiał się w spazmie szalonego strachu,
Rozwiał się w zgrozie — sen, co mi był życiem!

A gdy mnie chciałeś pocałować w usta,
Nagle, ponad ten widnokrąg ponury,
— Niby warg czerwień i krwi pełna chusta, —
Spuszczać się jęły owe straszne chmury...

I jakiś wielki zakaz uroczysty,
Z tych pól niepłodnych wzniósł się między nami,
Wśród przerażenia niebiosów i ziemi...
— A tak, ust moich nie tknąłeś ustami.

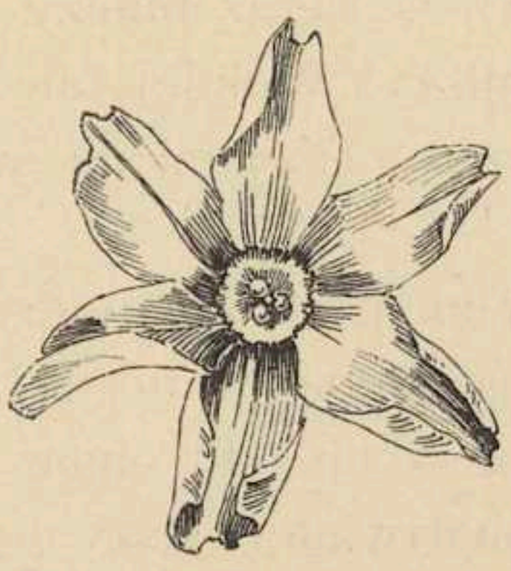

NIE WRACAJ.

Nie, nie! Nie wracaj!... Zostań za morzami
I za górami! Jam nasze kochanie
Zabiła, — patrzaj, krew jeszcze mnie plami, —
Bom nazbyt cierpiała na nie!

Jam je rozdarła na strzępów tysiące...
Zamordowałam! — Teraz milczy przecie!
Nakoniec — milczy! Wolniej fale wrzące
W pierś płyną... Lżej mi na świecie.

Cicho usypiam na posłaniu mojem,
Nie przyzywając ciebie w nocnej głuszy...
I w tym półzmierzchu oddycham spokojem
Milczącej, zmartwiałej duszy.

Ach, ona przędzie długie nici we mnie,
Aż się w szarości pajęczyn pogrzebie
Ślepa i zimna. Nie wracaj daremnie,
Bo nienawidzieć chcę ciebie!

Chcę nienawidzieć tak, jakem kochała,
Za moją młodość strawioną w tęsknocie...
Za biedną młodość, co się próżno rwała
Ku tobie, ku twej pieszczocie...

Lecz z nienawiści mej są łzy, jest męka...
A cień twój nigdy nie da mi spokoju,
Choć go odtrącam! I serce mi pęka,
I sił już nie mam do boju...

Ciszy chcę!... Wielkiej ciszy chcę mogiły!
Każcie tym jękom milczeć... Tam, tam, na dnie
Duszy mej, ktoś się skarży... ktoś niemiły...
Wróg chory jęczy tam, na dnie...

Ktoś udręczony, którego ramiona
Przytłoczył ciężar, i ujść chce daremnie...
Ktoś, co ratunku woła... ktoś, co kona,
A umrzeć nie chce — jest we mnie!

»EGO SUM«.

— Zgubiona? O, nie! — Jak Bóg zmartwychwstała,
Na szczęścia mego mogile,
O mojej dumie mówić-bym ci chciała,
O nieśmiertelnej mej sile!

Słuchaj. Chcę mówić jak dusza się tkliwa
W słodkiej pogrąża przewinie,
Jak potem w żalu łka, i jak się zrywa
W jękach, i pada, i ginie...

Jak sama siebie biczuje, rozdziera —
Nędzna, zdeptana, przeklęta...
I nagle znów się na światło otwiera,
Promienna, żywa i święta!

Chcę rzec, iż nigdy duch nie jest do końca
Pobity, choć w prochu leży...
Iż przeklinając miłość i blask słońca,
Bezwiednie jeszcze w nie wierzy.

Chcę rzec, że kiedy straconem się zdawa
Wszystko, coś przecież z tej burzy

Jest ocalonem, sen jakiś, mdła trawa,
Jakiś zerwany liść róży, —

Nasionko jakieś, co płodne spoczywa
W głębokich duszy zaciosach
I obietnicę nowego nam żniwa
Szepce, o nowych śniąc kłosach.

Chcę rzec, że nawet ptak, co w niebo lata,
Wpaść może w przyziemne siecie...
Że można nie mieć ni druha, ni brata,
Nikogo, nikogo w świecie,

Coby w nas wierzył i dość miał odwagi
Iść z nami krzyżową drogą; —
Że duch stać może odarty i nagi
Przed tłuszczą dziką i srogą...

Że można ciemnych czasów być ofiarą,
Szyderstwa skalaną błotem,
Pragnąć — i żółci pojonym być czarą,
I bok przebodzon mieć grotem

Zawiści można: a w sercu czuć przecie
Moc bożą, i czuć, jak dusza
Tęcze tysiąca zórz i blasków miecie
I myślą swoją świat rusza!

I czuć tę wiarę, co przenosi góry,
I, z orlich lotów szelestem,
Zrywać się z szranków śmiertelnych natury
I piorunami grzmieć: — Jestem!

ŚPIEW NOCNY.

Drży pieśń w dalekiej, dalekiej gdzieś dali...
Głos jest kobiecy, gorący, namiętny;
Śpiew leci ku mnie omglony i smętny,
Wskróś rozkwitnionych granatów korali.

Jako rozwiana myrra za pogrzebem,
Pieśń twoja płynie na woni obłoku,
O, ty, nieznana, pod ogromnem niebem,
O, serce, które przemawiasz z pomroku!

— Kto jesteś?... — Czyś ty błądziła, cierpiała?
Czyś w łzach tonęła nad drogą mogiłą?
Na zgliszczach życia czyś z pragnienia mdlała,
Co pierś twą żarem pustynnym paliło?

Bratniego bólu łamiąca się chlebem,
Czuję wraz z tobą moc twojej żałości,
O, ty, nieznana, pod ogromnem niebem,
O, serce, które przemawiasz z ciemności!

CHŁOPIĘ.

Wychudły, niespokojny, już dojrzewający,
(Młoda prządka i kowal wydali go światu)
Kwiat ludu i kwiat nędzy, zrodzony i wzrosły
W surowym cieniu warsztatu, —

Bosy, w podartej bluzie, z obnażoną szyją,
Piękny — dzikich swych źrenic zuchwałem spojrzeniem,
Jak wróbel ćwierkający w dziurawej stodole,
Cieszył się słońca promieniem.

Niewinność dziecka wcześnie utracił w tem piekle,
A gdy się snuł wśród huku maszyn uśmiechnięty,
Każdy pas, pędząc z trzaskiem, zdawał się go chwytać
W śmiertelne, wężowe skręty.

Każdy ząb kół potwornych zdawał się gruchotać
Kości jego i wątłe, wpół-dziecięce ciało...
Każdego haka ostrze w jego drobne ręce
Godzić się gniewnie zdawało.

Przecież w półmroku sali, wpośród ciągłej groźby
Śmierci, przebiegał śmiało żywy i bez szkody,

I nietknięty przechodził wśród bluźnierstw ohydy,
Ludzkiej, stłoczonej tam trzody.

A kiedy po wybuchach sprosnych, martwa cisza
Zalegała przędzalnię przedwieczorną porą;
Kiedy głuche znużenie ciężyło na piersiach
Kobiet, kradnącą dech zmorą; —

Gdy wyczerpani tkacze, z posiniałą twarzą,
Z szałem w oku, rzucali cewki swe bez słowa —
W dusznych salach fabryki rozbrzmiewał głos ptaszy,
Dzwoniła piosnka brukowa.

To śpiewał on! On buchał z nad tego bagniska,
Jako błędny ogieniek, wesoły i złoty,
Rękę mając na szpulce, na ustach hymn życia,
A w wątłych piersiach — suchoty.

Zwolna, powoli — uwiądł. Fatalny, złowrogi
Jest dla dziecięcych piersi, tak wiotkich jak kwiaty,
Dech przędzalni, ziejący w nie pyłów tysiącem
Mordercze swoje miazmaty.

Zwolna, powoli — osłabł. Fatalną, złowrogą
Jest dla dziecięcych ramion ta praca nad siły,
Co tłoczy je, przygniata, wysysa krew z twarzy
I ogniem rozpala żyły.

Aż raz u stóp maszyny, ryczącej z rozpaczą,
Padł zemdlony. A wtedy podjęło go z ziemi
I wyniosło rąk dwoje silnych. Zdał się martwym, —
Blady, z oczyma zwartemi.

A wśród huku maszyny, ryczącej z rozpaczą
Hymn zguby tym, co sił swych dali jej ostatki,

Rozległ się nagle krzyk bólu, krzyk trwogi,
Bezsilny krzyk — jego matki.

. . . . . .

W szpitalnej izbie, na nizkim tapczanie,
Ze słodką twarzą marmurowej bieli,
Wesoły ognik posępnej przędzalni
Dogasa na swej pościeli —

Z suchot dogasa. Okropny mu kaszel
Rozrywa piersi z pod ciemnej opończy...
A tak, to życie, w fabryce poczęte,
W szpitalu oto się kończy.

. . . . . .

Dajcie, o, dajcie mi choć promyk słońca
Dla tego dziecka, co wyrosło w cieniu
I co nie piło nigdy z złotej czary
W słonecznem dnia upojeniu!

Dajcie, o, dajcie mi, tę wolność zdrową,
Polną i leśną, co ją mają ptacy,
Dla tego dziecka, co nie znało święta,
Nie znało spoczynku w pracy!

Powietrza dajcie, powietrza! One go
Łakną, te płuca zatrute do końca!...
— Kto dziecku temu zaprzeczyć śmiał prawa
Do łąk, do kwiatów, do słońca?

Kto mu zaprzeczył prawa do oddechu,
Do gniazdek ptasich, do gonitw z daleka...
Kto zabił w dziecku tem — tytana może?
Kto zabił w dziecku — człowieka?

. . . . . .

Cicho... Chłód zmierzchu na tapczan szpitalny
Upadł i zadrżał skróś białej zasłony...
Bez ruchu leży wyciągnięte ciało...
Cicho... On tak jest znużony!

...Zrywa się nagle z krzykiem. Przyśnił może
Huczących machin koła, zęby, szprychy,
I błyskawicznie wirujących pasów
Pęd nagły, śmiertelny, cichy...

I przerażony, w agonii konania,
Wizyą przędzalni, — poci się i dyszy...
— Nie bój się, dziecko! Nie pójdziesz tam więcej!
Skonałeś. Spoczywaj w ciszy.

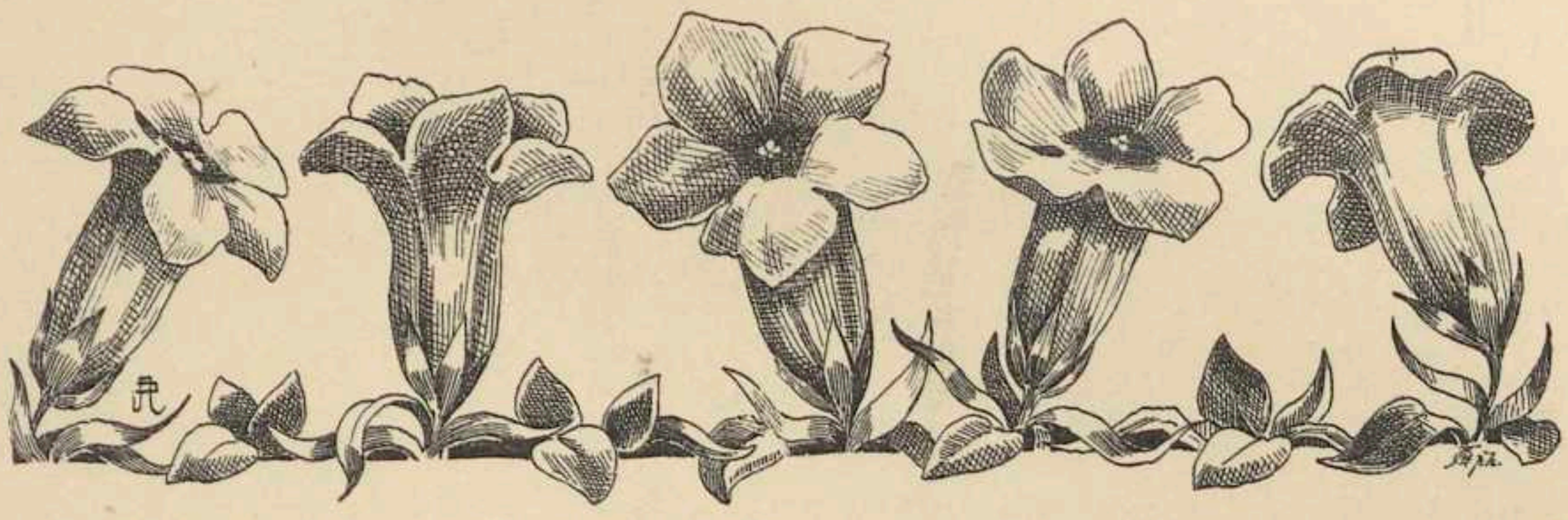

PRZEBUDZENIE W GÓRACH.

Świt obrzasł, kraj się już budzi,
Zórz rannych powiały dreszcze...
Stos słońca nie buchnął jeszcze
Nad skalne gór sennych szczyty.

Nad skalne gór sennych szczyty,
W błękit się zmienia, ulatnia
Mgły przezroczystość ostatnia...
Wznoszą się rzeczy i duchy...

* * *

Domeczki tulą się drobne,
Jak gniazda u zbocza skały,
A cichy profil ich biały
O życia mówi spokoju. —

O wielkim życia spokoju
W fontannie srebrnej zdrój szumi,

Wzdycha, szczebiocze, głos tłumi,
I szepce pacierz w tej ciszy.

* * *

Ja marzę o złotowłosej
Dziewczynie, co się rumieni
Od pierwszych słońca promieni,
Co z szczytów schodzi i śpiewa,

Porannym zorzom co śpiewa...
— A zdrój — alpejskiej tej róży,
Brzękiem gęślików swych wtórzy...
A lazur im się uśmiecha.

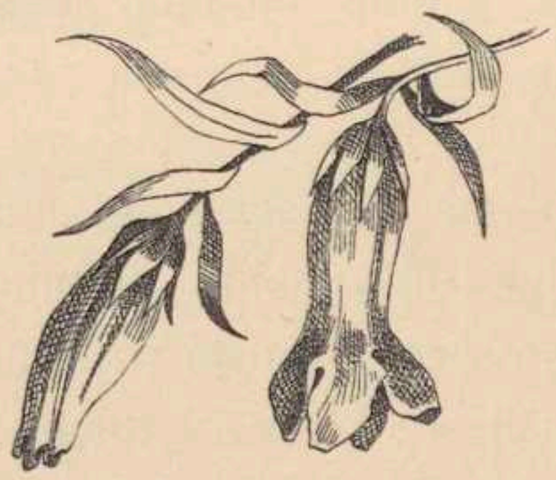

STARE KSIĘGI.

Zimno mi wśród was, o, księgi surowe,
Co dawnych wojen prawicie mi dzieje!
Co mnie do wojen, gdy słońce majowe
Przez szyby mego okienka się śmieje!

...Gonfalonierzy, obrońcy kaszteli,
Książęta, króle, cesarze, papieże...
Lecz ja chcę w światła nurzać się kąpieli,
Chcę róż rozwitych wonie wdychać świeże!

O, blade mumie, o, granitu bloki,
Czyż was nie budzi ruch i rozgwar życia, —
Ten tytaniczny ruch i gwar szeroki,
Co ma huk morza i piorunów bicia?

Widma wygasłej, zapomnianej ery,
Uwiędłe liście, które wiatr pomiata,
Filozofowie, wodze, bohatery,
Czyż was dni naszych echo nie dolata?

I wyście niegdyś żyły, o, skielety!
I waszym oczom śmiały się miraże,
I was zdradziła baśń owa, niestety,
Którą wiek każdy — prawdą swą zwać każe!

— Pokój umarłym... Chwila, co ulata,
Nazbyt jest krótką i nazbyt jest drogą...
Po co mam patrzeć w zamierzchły proch świata,
Gdy życie lotną w przyszłość bieży nogą?

O, dajcie iść mi tam, gdzie jako kwiecie,
Nowa się mądrość rozwija do słońca!
Gdzie pędzi, świeci, i w pianach się miecie
Fala miłością i szczęściem szumiąca!

Iść dajcie między twarde pracowniki,
Między huk siekier, między młotów ciosy,
W ruch, w gwar, gdzie para jak lew ryczy dziki,
Z świstem z płuc dymy miecąc aż w niebiosy!

I dajcie mi się błąkać, jak spokojny
Duch, w wielkich polach, kędy zboża rosną...
Krew, którą wasze przelewały wojny,
Już zapłodniła ziemię nową wiosną.

Wołają na mnie szerokie przestrzenie,
Woła szum skrzydeł bijących — tysiąca...
Żegnajcie, mary, żegnajcie mi, cienie!
Ja lecę... w wieńcu róż lecę — do słońca.

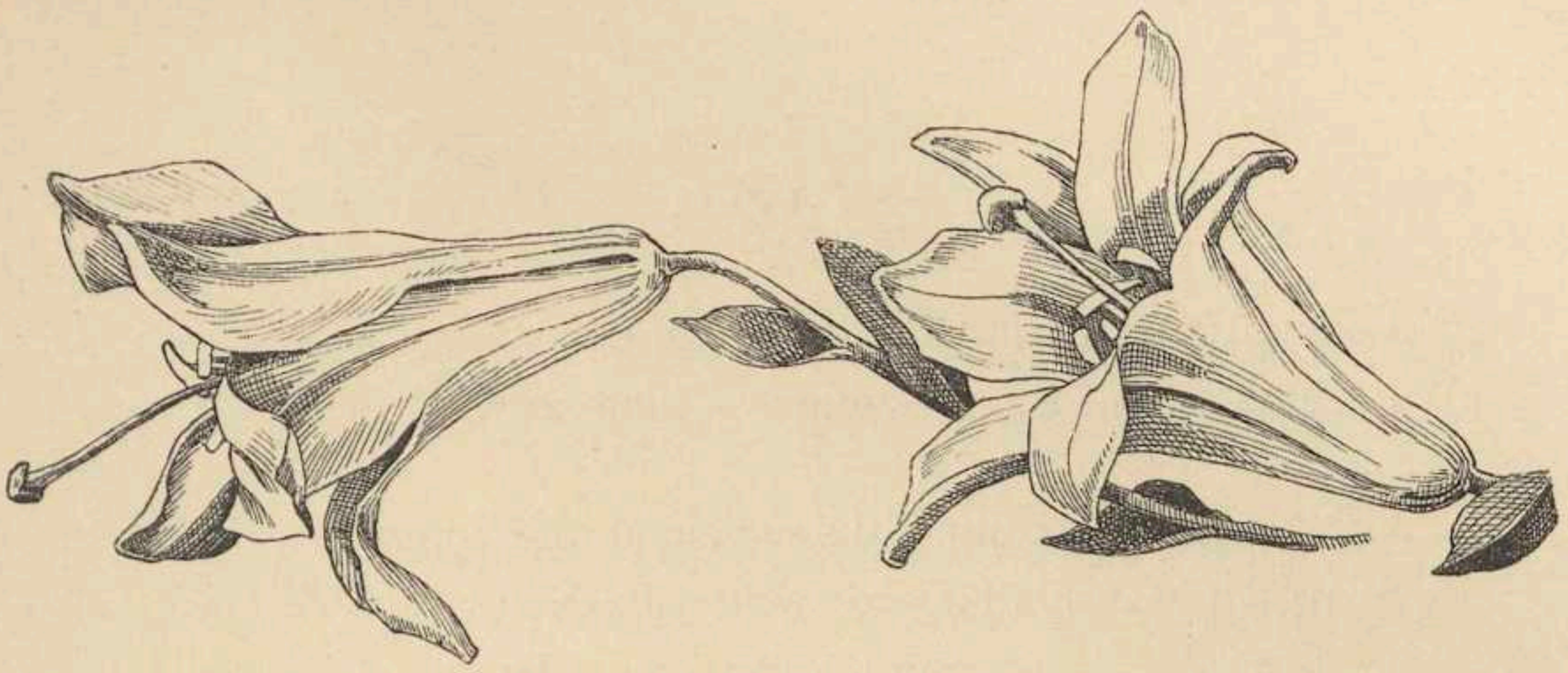

NOWA MIŁOŚĆ.

Jeśli mnie kochasz, patrz! Oto mi błyska
Z czoła, gwałtowna gwiazda swą żałobą...
Na szczyt się wdzieram przez skalne urwiska,
Lecz jeszcze chmurne niebo mam nad sobą.

Znam ostrze cierni, znam i dreszcze zgrzytu,
Niepłodny smutek pustyń i cmentarzy,
I nie odbijam cichości błękitu,
Lecz kir żałoby mam w oku i w twarzy.

Nędzarze, w prochu pełzający ziemi,
Duchy zwichrzone burzą niepokoju,
Zuchwałe duchy, z oczyma orlemi,
Co wiecznie płoną pożądaniem boju, —

Jak ty dziś wołasz »kocham« — tak i oni
Wołali do mnie: — »Użal się nad nami!«
Bohaterowie życia, walk — bez broni,
Wołali do mnie: »Bądź nasza!... Bądź z nami!

»W wnętrznościach twoich każda boleść brata
Człowieka, echem grzmiącem się odzywa...

I każda męka, ukryta dla świata,
Przemawia głosem twoim — tobą żywa!

»Bo z piersi twojej, gdzie zasnąć nie mogą
Skargi, pieśń bucha, co zwie się: Nędzarze...
— Idź, idź przed nami kamienistą drogą,
Sama, jak idą przed hufcami straże!

»Na bojowiskach potykaj się, drżąca,
O nasze trupy... Nad tym, co umiera,
Stawaj, konaniem jego bolejąca,
Żywa tym bojem, co życie pożera!

»A gdy nam oddasz wszystkie twoje siły,
Gdy krwi ostatnią kroplę pierś wytoczy,
Kiedy nad nasze klęski i mogiły
Wyśpiewasz wielki hymn życia proroczy, —

»Wśród nas i za nas, w burz ogromnych dobie,
Padnij, miłości nowej, wieszczko błoga!«...
— Tak woła do mnie tłum! — Więc rozmyśl sobie,
Bo ta jest moja aż do grobu droga.
. . . . . .

A może za to kochasz? Chcesz mej duszy?
— To pójdź! Pójdź w imię wszechboleści świata!
Chowam dla ciebie woń cudnego kwiata,
Co rozkwitł nocą w dzikich borów głuszy.

To pójdź, pójdź ze mną! — Odtąd naszym domem,
Gdzie jęczy Łazarz — będzie to poddasze,
Wśród gniazd zburzonych — będzie gniazdo nasze,
A życie wśród tych, co mrą głodem, sromem...

Barłóg nędzarzy, co weń biją słoty,
Weselnem łożem będzie nam, jedyny!

A bezimienne, rzucone sieroty,
To będą dzieci nasze... Nasze syny...

Dziewicze usta moje, o mój miły,
Najsłodsze takie pocałunki niosą...
Bo je łzy gorzkie tej ziemi poiły,
Jak nenufary obciążone rosą...

Bo one znają tajemnicze dreszcze
Pocałowania na umarłych czole...
Bo znają słowa natchnione i wieszcze,
Rzucane ziarnem siewnem w puste role!

Bo znają głuche przepaści milczenie,
I słodką ciszę nieznanej ofiary,
I ku otchłaniom i szczytom westchnienie,
I żółć, i piołun świętej życia czary!

. . . . . .

Pójdź, o pójdź ze mną!... Upadniemy może,
Zanim się wszystko spełni aż do końca...
I cóż stąd? Światła pochłonie nas morze,
I znów w promieniu zmartwychwstaniem słońca!

I miłość nasza rozbłyśnie tajemnie
Nad umajonym nową wiosną światem...
I polna lilia strzeli białym kwiatem
Przyszłości, którą marzym dziś daremnie.

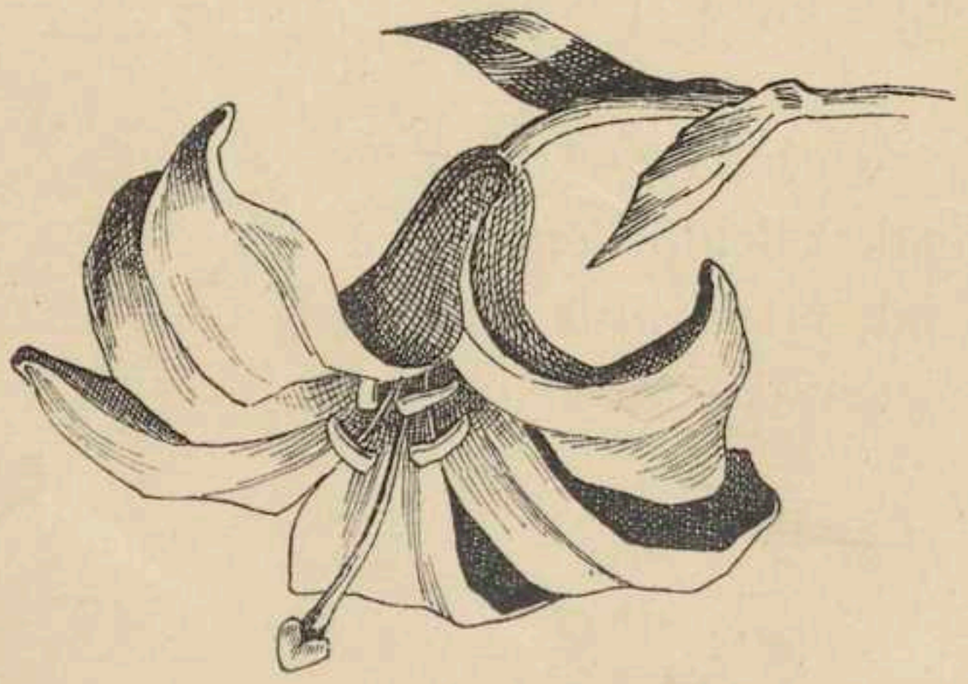

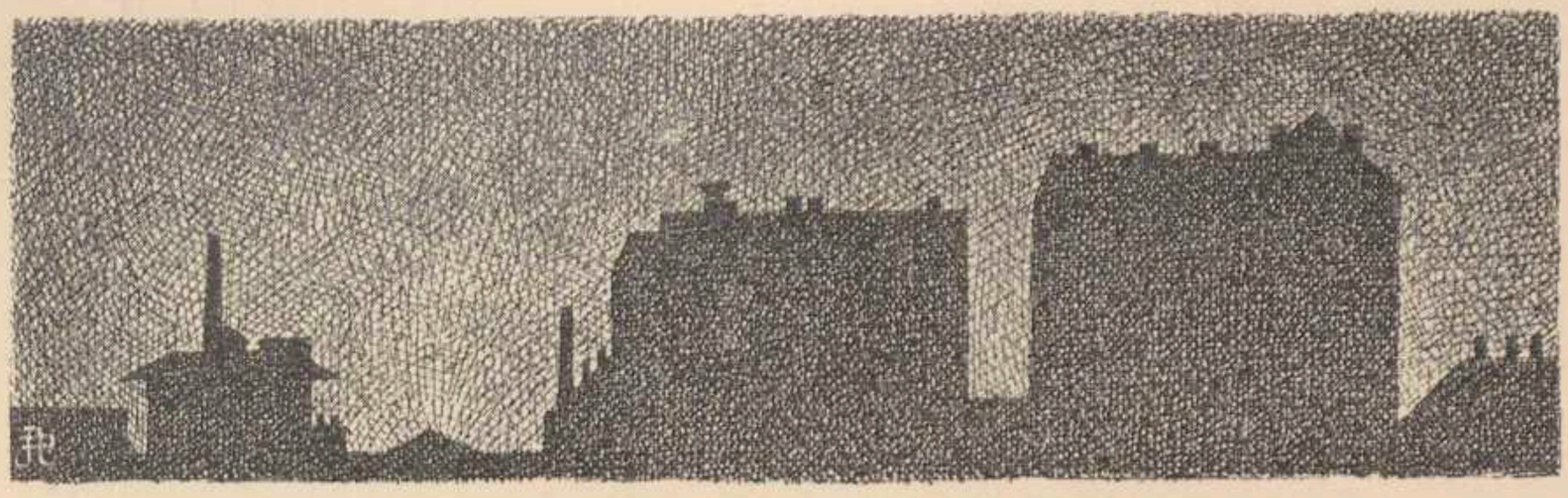

W PRZYTUŁKU NOCNYM.

W mgle zimnej, w ponurym cieniu,
Do piersi cisnąc zapadłej
Dzieciątka skostniałe ciałko,
W śmiertelnych trwóg zalęknieniu, —

Jak zwierzę, drżące przed biczem,
Pod nędzną skulona chustą,
U bram przytułku stanęła,
Z wychudłem z głodu obliczem.

Za jednej nocy wezgłowie
Jak pod pręgierzem stojąca
. .manym głosem powiada:
Skąd, kto jest, i jak się zowie.

O świeżej mówi żałobie,
I jak zaległo komorne,
I jak ją na bruk rzucc —
I wszystko mówi o sobie.

I nie wpierw, aż krwawe rany
Doli odkryła do naga,
Za ból, za wstyd tej spowiedzi,
Tapczan w przytułku ma dany.

. . . . . .

Głębokim snem zapomnienia
Śpi z dzieciąteczkiem u łona,
A nad nią, nad całą nędzą,
Co tu szukała schronienia,

Rozciąga skrzydła swe białe
Krótka godzina spokoju...
I milczą serca pęknięte,
I milczą ciała zbolałe.

I śni... a włosów jej grzywa,
Zwichrzona, spada na pościel,
Czarna jak kir ten śmiertelny,
Co ciało trupa okrywa...

I śni, że dziś i nazawsze
Jej własnem łóżko to ciepłe!
— O, słodki śnie! — Że to łóżko —
Jej własnem! Dziś i nazawsze!

I nagle jasne widzenie
Cichej ją izby ogrzewa...
— Dziecko się śmieje, żar płonie,
A ona szyje i śpiewa.

Ostatnia pieszczota słońca,
Różowi szyby okienka,
A w ciche gniazdo zalata
Ulicy wrzawa kipiąca.

. . . . . .

Wtem dzwon zajęczał surowy.
Różanych gaśnie snów zorza...
W szarym się mroku porywa
Nieszczęsna — z cudzego łoża.

I chwyta nędzne odzienie,
I znów, z dzieciątkiem na ręku,
Za bramą wsiąka w mgłę zimną,
W cień głodu i w opuszczenie.

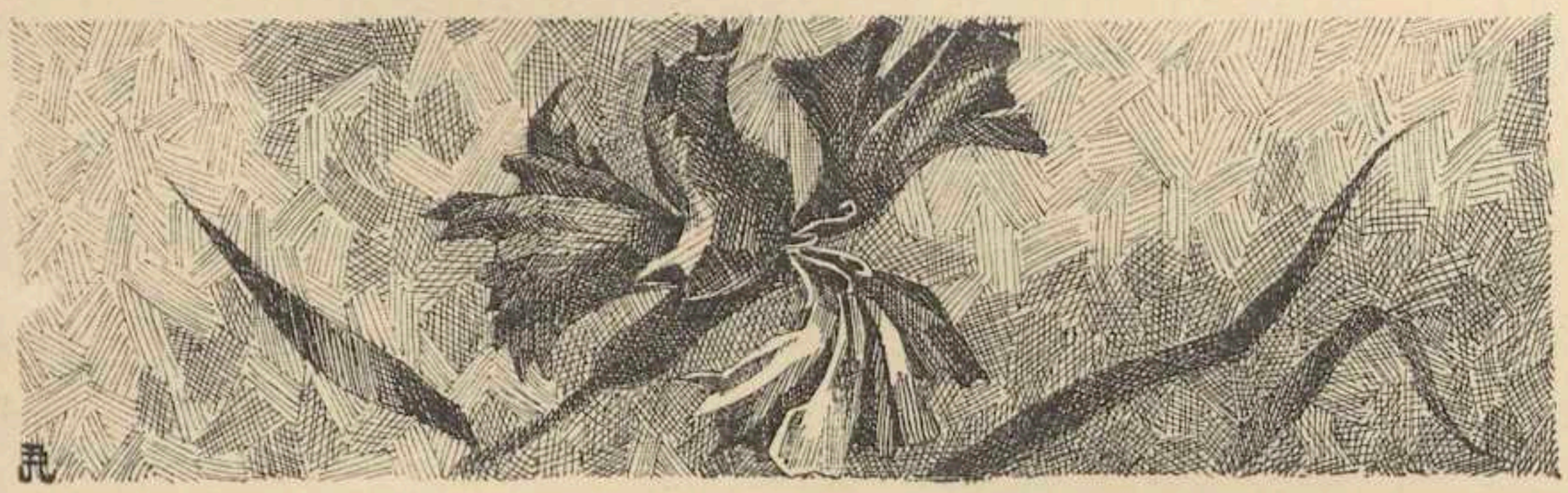

NA ULICY.

Ulica długa, pusta i otwarta
Pod nieśmiertelnych gwiazd surowym wzrokiem...
Dokoła cisza. Błyskają nad mrokiem
Światła latarni czerwone i krwawe,
Jak rozstawiona na widetach warta.

Powoli, lekko, i bez odpocznienia
Kobieca postać po bruku się snuje;
Idzie, w ulicę patrzy, nasłuchuje,
A cień jej, w świetle gdy na mury pada,
Ma coś ze żmii jadowitej cienia.

To białe ciało, pod czarną osłoną,
Martwą jest tylko, ślepą gliny bryłą
I po za głodu zwierzęcego siłą
Niema w niej nic już, nic! I żadna nędza
Nędzniejsza nie jest, nad tę — zatraconą!

Budzążż się kiedy sumienia jej głosy?
Jakiż ją dramat rzucił bez pomocy

Na bruki, chleba szukającą w nocy?
Ogromna litość drży nad nią i leci
Gdzieś, w te milczące, ogromne niebiosy.

Cisza. Dokoła tragedya tajemna
Nocy się mroczy, bez tchu, bez miesiąca,
Jakowąś trwogą i rozpaczą drżąca...
— A pod czerwonych latarni pręgierzem
Idzie, przechodzi, wraca — postać ciemna.

...»OSTATNI — BĘDĄ PIERWSZYMI«.

On to powiedział!

...Ku zachodniej stronie
W jaskrawych łunach, niebo Palestyny,
Jak w krwawem morzu się nurza...
A przeciw słońcu, co w falach krwi tonie,
Goreją wielkie chmury, jak ruiny
Wieżyc i grodu przedmurza.

W świętem milczeniu jasne stają zorze,
A szaty Boga, wiejące skroś chmury,
Pas ognia żywego pasze...
A nad pustynie, nad miasta, nad morze,
Nad poklęknięte w winnicach pagóry,
Nad pola, nad bujne pasze —

Głos jego rozbrzmiał, rozegrzmiał dokoła,
W szerokiej ciszy.

...»Kto żyje dziś w mroku,
Jutro ogląda świt boży,
A uciśniony — radośnie zawoła,

A dzień ślepemu uczyni się oku,
A niemy — usta otworzy.

»Kto nie ma zziębłych gdzie rozegrzać kości,
Kto łaknie, a nikt nie poda mu chleba,
Czyj język przyschnął z pragnienia,
Kto utęskniony nie zaznał miłości,
Kto próżen winy jest w obliczu nieba,
A cierpi kaźń pohańbienia, —

»Jutro rwać będzie fijołki i róże
W mirtowych gajach, na wieki szczęśliwy!
Ja go nakarmię, napoję...
I utulony ptak będzie, co w burze
Leciał za słońcem, i w cieniu oliwy
Upadnie, na gniazdo swoje.

»I wywyższeni zaś będą — nędzarze,
Wyklęci wezmą miejsca swe w świątyni,
Kiedy godzina wybije.
A lud mój ciemny w słońcu się ukaże,
A imię moje nad nim się uczyni,
A Łazarz — z grobu ożyje«.

. . . . . .

On to powiedział!
...A morza i ziemie,
I zadumane palmy, i wód tonie
Słuchały...
— Niewiasty z ludu,
W rąbkach, dziateczek swych dźwigając brzemię
Na rękach, albo w umęczonem łonie,
Słuchały słów tych, jak cudu.

A oto stało się, że w drżącej ziemi
Od słów tych nagle puściły ruń ziarna
Przyszłych dni owych zbawienia...
A On świat objął oczyma łzawemi,
Iż wiedział, jako noc nad nim jest czarna...
— A krzyż już czyhał nań z cienia.

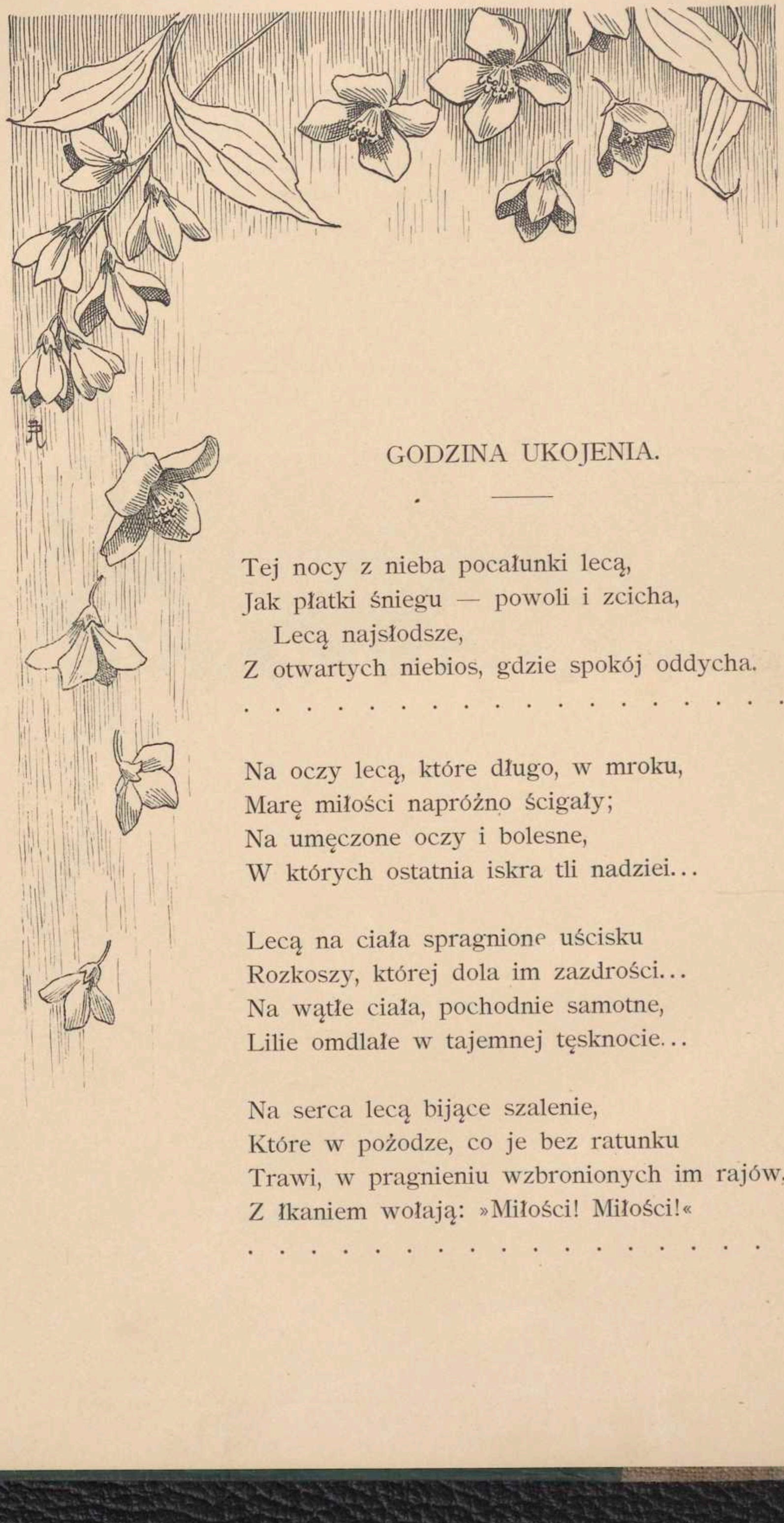

GODZINA UKOJENIA.

Tej nocy z nieba pocałunki lecą,
Jak płatki śniegu — powoli i zcicha,
Lecą najsłodsze,
Z otwartych niebios, gdzie spokój oddycha.
. . . . . .

Na oczy lecą, które długo, w mroku,
Marę miłości napróżno ścigały;
Na umęczone oczy i bolesne,
W których ostatnia iskra tli nadziei...

Lecą na ciała spragnione uścisku
Rozkoszy, której dola im zazdrości...
Na wątłe ciała, pochodnie samotne,
Lilie omdlałe w tajemnej tęsknocie...

Na serca lecą bijące szalenie,
Które w pożodze, co je bez ratunku
Trawi, w pragnieniu wzbronionych im rajów,
Z łkaniem wołają: »Miłości! Miłości!«
. . . . . .

Tej nocy z nieba pocałunki lecą.
Błogosławione, najsłodsze, tajemne,
Kojąc westchnienia,
I osuszają łzy wrzące — daremne!

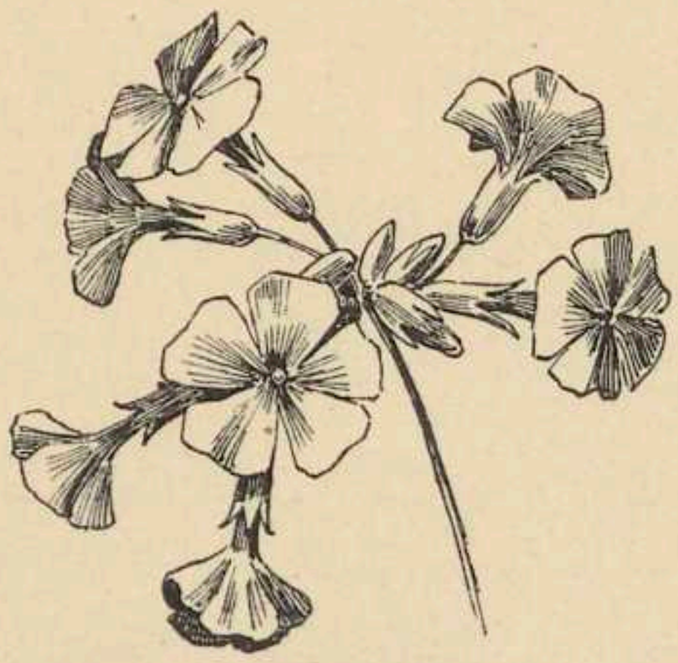

POCAŁUNEK UMARŁY.

Wśród młodej trawki, smutnej jednej wiosny,
Fijołek zakwitł przedwcześnie.
Wiatr zimny powiał, — i kwiatek żałosny,
Nim żył, już umarł boleśnie.

Na moich ustach, pocałunek wczora
Zakwitł dla ciebie — jak we śnie...
Tyś go nie dojrzał — i nim przyszła pora
Życia — już umarł przedwcześnie!

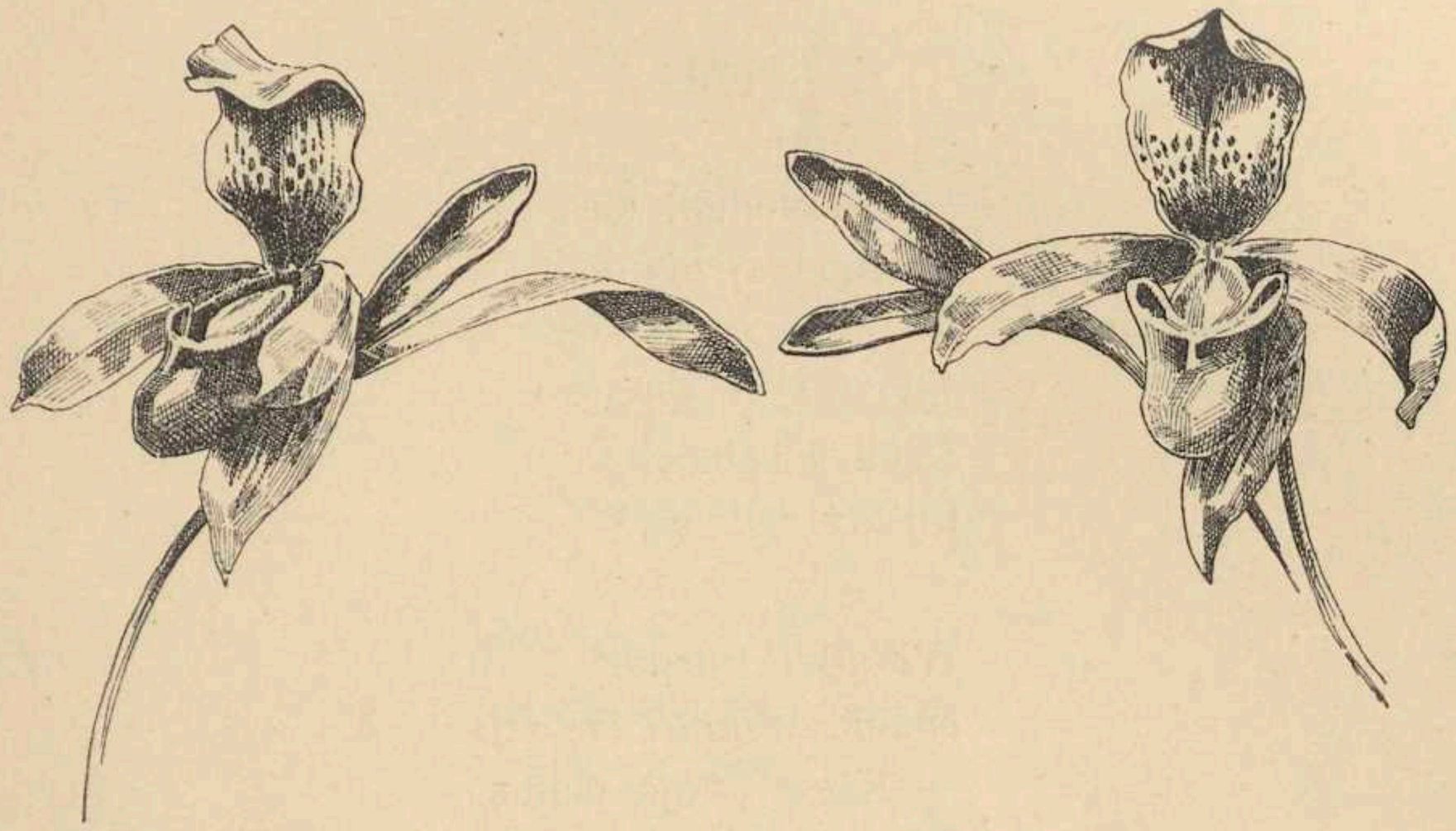

OSTATNI KSIĄŻĘ.

W śnieżnych osłonkach
Złotej kołyski
Chłopczyna leży...
A sny lekuchne
Muskają jego
Czółko — kwiat świeży.

Nikt mu nie śpiewa:
Matka na balu,
Ojciec gra w karty.
Niczyje serce
Przy nim, bijące,
Nie trzyma warty.

W powietrzu słychać
Mar niewidzialnych
Krążące puchy,
Szepty, westchnienia...
To nad kolebką
Latają duchy.

. . . . . .

...Z chłodnej pieszczoty
W modnej alkowie
Na świat zrodzony,
Jaki też, w górze,
Synu książęcy,
Los ci sądzony? —

Wrzątku, purpury
Niema w krwi twojej.
— Krew twoja blada...
Ostatni szczepie
Pysznego drzewa,
Co w próchno pada!

Czekają ciebie
Uczty, zabawy,
Szumiącej czary
Chwilowy płomień,
Co w żyłach nieci
Ulotne żary...

Orgii szum, wrzawa,
Chłodne pieszczoty
Spodlonej dłoni, —
Długie niesmaku
Chwile, wyścigi
Szalonych koni...

Nerwów i duszy
Subtelne szały,
Ironii miazmy...
Usta hetery,
Widma miłości,
I zmysłów spazmy.

Nie tobie ducha
Walki ogniste,
I myśli boje!
Wrzące natchnienia,
Wizye, nadzieje,
Sny dusz — nie twoje!

Nie twoja praca
Tworzącej ręki,
Trudu bratniego —
Słaby, samotny,
Na nic — zrodzony,
Żyw — dla niczego!

Ty dech ostatni
Pustej twej piersi
Oddasz, sterany,
W objęciach zimnych
I zapłaconych
Twej kurtyzany!

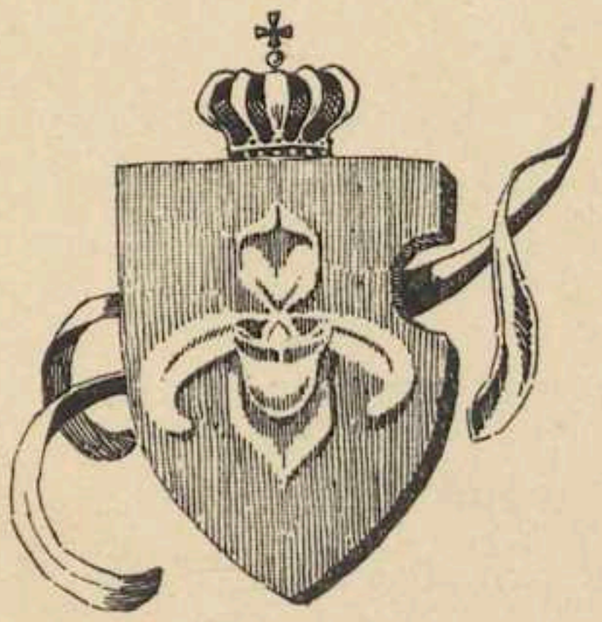

DZIEDZIC.

(Podług obrazu T. Pattiniego).

Noc — deszcz — zawieja.
— W pustej i zimnej
Izbie poddasza
Uboga lampka
Niepewnym błyskiem
Ciemność rozprasza.

Na gołej glinie
Trup sztywny leży,
Nie wie... nie słyszy...
Pod żgłem śmiertelnem
Spoczął nareszcie
I zasnął w ciszy.

To wyrobnika
Potężne ciało,
Co aż do końca
Trwał w ciężkiej pracy,
Spalony żarem
Płodnego słońca —

W rodzajnych polach,
W winnicach złotych,
W łąk sianokosach,
W żywicznych lasów
Gęstwie i szumie,
W trawach i w rosach.

W kącie izdebki
Kobieta siedzi,
Bólem zmartwiała.
A dziecię igra
Na gołej ziemi,
Tuż blizko ciała.

Nie wie co troska,
Co nędza nie wie,
Co prace znojne...
Igra niewinne,
Jasne, radosne,
Silne, spokojne.

A z mroków izby
Patrzą na niego
Mar dziwnych oczy...
I wieją szmery,
Westchnienia wieją
I szept proroczy.
. . . . . .

...»Z dzikich uścisków,
W nędznej komorze
Na świat zrodzony,
Jakiż los w górze,
O, synu ludu,
Jest ci sądzony? —

Motyka ciebie
Czeka błyszcząca,
I lemiesz pługa,
I skwar południa,
I wicher burzy,
I dżdżów szaruga...

Zjadliwa febra,
Co ponad bagnem
Ryżowisk lata,
Pot uznojenia,
Czarny kęs chleba,
I ciemna chata!

...Na co ty wzrośniesz
Tem słabem ciałem,
Żywionem nędzą?
W jakie cię winy
Ciemnoty poszept
I głód twój — wpędzą?«

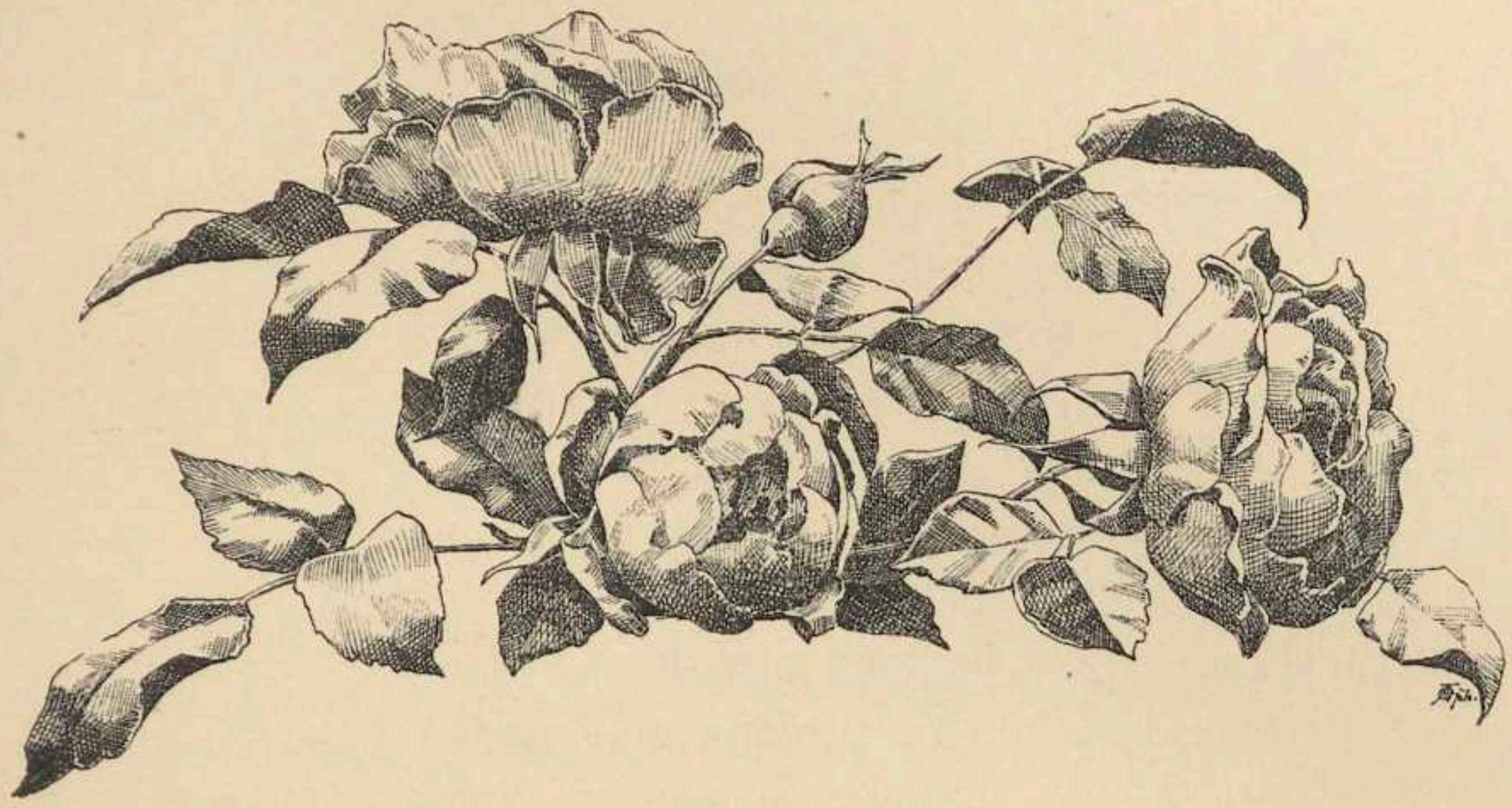

UŚMIECHY.

Bosko cię piękną ujrzał raz, i białą
Jak lilia polna. I wnet mu się zdało,
Że świętą jesteś i bożą...
U piersi miałaś kwiat maku ognisty,
Na ustach uśmiech spokojny i czysty,
I stałaś cała pod zorzą.

A on, marzyciel, zapłonął wnet duchem,
I skuł cię z sobą miłości łańcuchem, —
Mocno, gwałtownie, zazdrośnie...
I poszłaś za nim kochanką i żoną,
Jako te chmurki za wiatrem, co wioną,
Różane całe, o wiośnie.

Przybyło dziecię. O, rajska pociecha
Pieścić główeczkę, co ci się uśmiecha,
Własnego dziecka!... Jedyna

Radość, bez cienia za sobą, na ziemi...
Śpiewać piosenki, żyć dźwięki słodkiemi
Pierwszego szczebiotu — syna!

Domek twój cienią gęstwiny zielone,
A po dywanach, gdzie spojrzeć, rzucone
Pajace, piłki i konie...
Przez drzwi balkonu otwarte na słońce,
Wlatują tchnienia fijołków marzące,
I róży stulistnej wonie.

Dziecina biega... Jak światła, jej wszędzie
Pełno... Ty patrzysz, a serce twe przędzie
Błękitną przędzę nadziei...
A myśl twa w czystych lazurów ogromy
Leci, jak owe lekuchne atomy
W słonecznej pyłów zawiei...

Śmiej się! Bądź zawsze tak pewna, tak rada
Życiu!... Chłód jego i zawód i zdrada
Złamałyby cię, o, złoty
Kwiecie! Tak rzadko wschodzi szczęścia gwiazda!
Śmiej się!... Ja patrzę, i śnią mi się gniazda
Pełne skrzydlatej pieszczoty!

Śnią mi się gniazda, które wiosna plecie
Z mchu i miłości, w gęstwinie drzew, w kwiecie
Stojących, co drżą szczebiotem
Piskląt i szczęścia... I wody bieżące
Wielkich rzek cichych, i zorza, i słońce
O wielkiem południu złotem...

Śnią mi się równin błogich święte plony,
I pasz soczystych kobierzec zielony,
Co wzgórza w dali ocienia...

A dusza wdycha razem z jędrną wonią,
Którą te trawy i kłosy te ronią,
Najsłodszy czar zapomnienia!

BRATERSTWO.

Bracie żebraku! Ty, co do mnie rękę
Wyciągasz pod słotą nieba
I opowiadasz płaczliwie swą mękę,
Błagając kawałka chleba, —

Nędza ma z twoją nierówno zmierzona!
Mnie się część większa dostała...
Bo ja głód cierpię, co dusza zeń kona,
Ty cierpisz tylko — głód ciała.

Ty głośno wołasz, — ja jęk mój zapieram...
Ty jawnie płaczesz w ulicy,
A ja łzy moje tłumię i umieram
Z tajemnej serca tęsknicy!

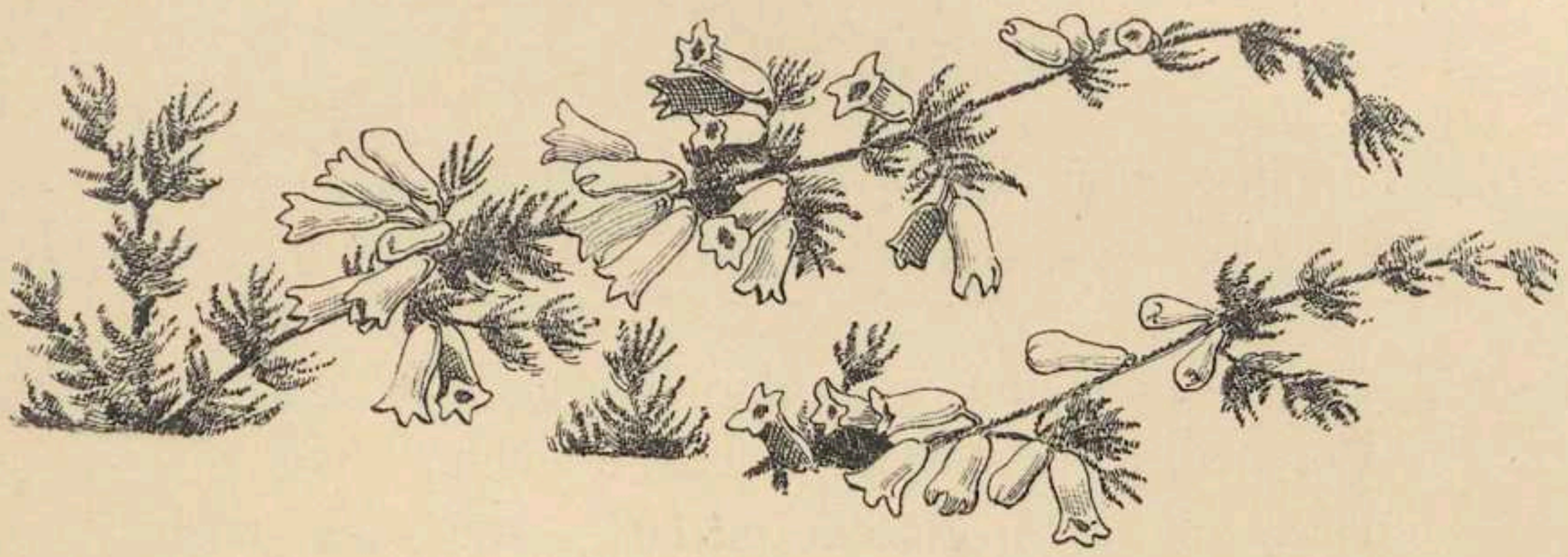

DOMECZKI BIAŁE...

Domeczki białe, błyszczące na słońcu,
Z oknem otwartem, obrosłe w maj świeży,
Jak słodko, chciwie ku wam oko bieży...
Domeczki białe, błyszczące na słońcu!

Mimo was idąc, mam słoneczną strzałę
W piersi, i tak wam uśmiecham się rada!
O gniazdach ptaszych spokój wasz powiada.
O, mówcie, mówcie do mnie, domki białe!...

— Czy w komnat waszych przewiewnej zaciszy,
W czarkach z kryształu, pełne aromatu,
Lekkie wiązanki tkwią gardenii kwiatu,
I róż przywiędłych, i lilii woń dyszy?

Czy leży w dziwnym koszyczku robota?
Czy w nim, wśród igieł i motków się mały
Liścik ukrywa tkliwy, poufały?...
Niebieska wstążka, bransoletka złota?...

Czy są graciki? Zalotne powieści?
I fantastyczne pastele na ścianach?...

Lalki, koniki, czy są na dywanach?
Szczebiot ptaszęcy, dziecinny, niewieści?

Czy jest babunia, w okularach, blada,
Co, siedząc w starym, głębokim fotelu,
Drżącym swym głosem, od lat — nie wiem wielu,
Zawsze tę samą historyę powiada

O smoku, z paszczy co ział żar i wodę...
A kupka dzieci słucha jej statecznie.
...Czy jest »mamusia«, zatroskana wiecznie,
I »tata« czarną swą gładzący brodę?

— Mówcie mi, mówcie! Bluszczowa zasłona
W uścisk was ciasny zazdrośnie oplata...
W czyste błękity z piosenką ulata
Skowronek, a ja — wyciągam ramiona

Za szczęściem, życiem, za dnia gwiazdą złotą,
I na dnie serca czuję tęsknot męki —
Do drogiej twarzy, do kochanej ręki,
Coby mej głowy dotknęła z pieszczotą...

Do fijołkowej woni, co tchnie mrąca,
Do ciszy, która tuli gniazda ptasze,
Do was, do tego wszystkiego, co wasze...
Domeczki białe, błyszczące od słońca!

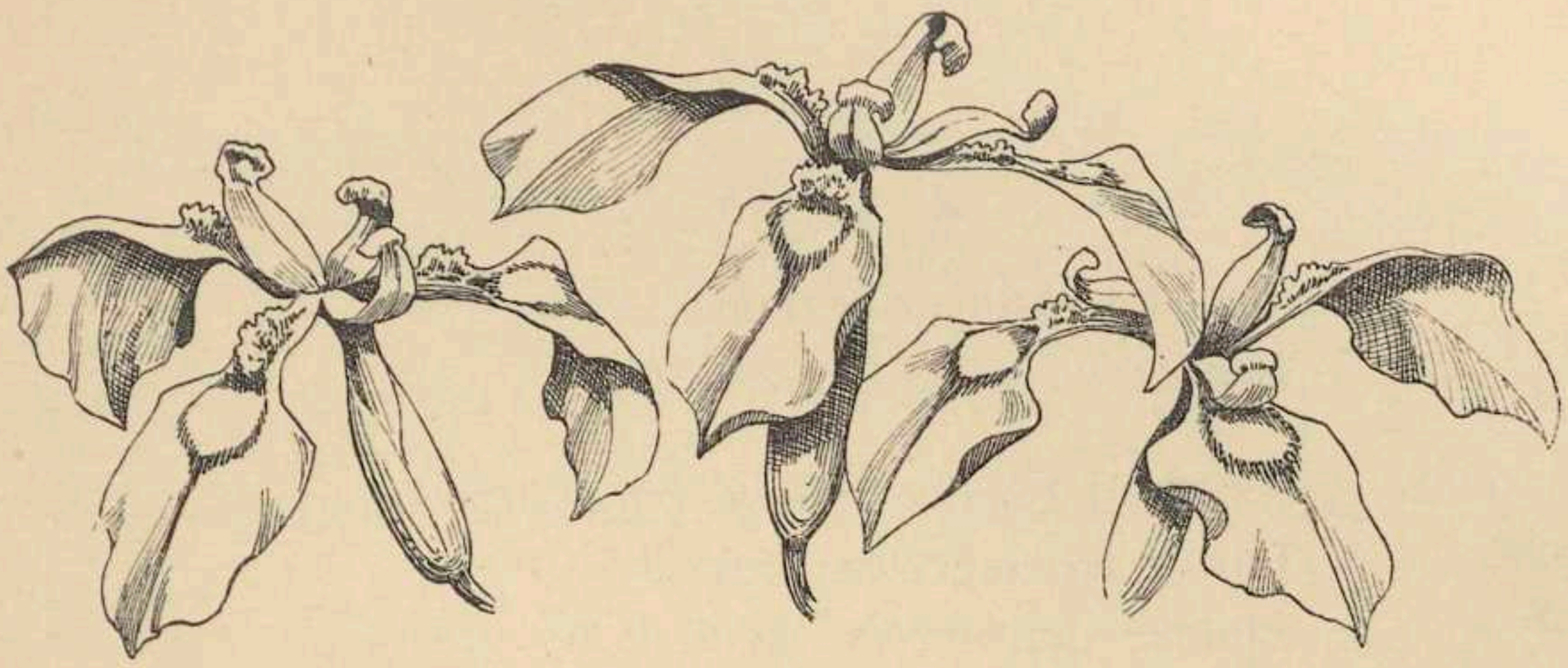

»PAX«.

Widziałam, we śnie, jakby orle skrzydła
Ogromne, w locie do słońca,
Wpośród błyskania i szumu
Jasnych sztandarów tysiąca.

Nigdy nad orne pola i nad łąki
Cudniejsza nie wzeszła zorza...
Żarem się od niej zajęły
Błękity nieba — i morza.

I wyszło z lasów i z pól ornych — drżenie
Rodzajnej, płodzącej siły...
I za tchem wiatru, jak żywe,
Liście się, trawy rzuciły...

A one jasne sztandary, wzniesione,
Jak złotej chwały trofeje,
W ogromnych szumach śpiewały
Ludów cierpienia i dzieje...

I wiały na nich krwawe pióropusze,
I wiał z nich łachman junaczy,

Jak sito skłuty ostrzami
Bagnetów, w boju rozpaczy...

Czarne i rdzawe plamy, pył, kurzawa,
Barwę ich pierwszą pokryły —
Płomień kartaczów, dział dymy,
I proch z poległych mogiły...

A wiele z onych proporców, wiejących
Pod jasną zorzą niebiosów,
W ogromnym szumie chrzęst miały
Ciężko walących się kłosów...

Spojrzę ja, — aż tu, jakby magnetycznym
Tchem owionięte miłości,
Wszystkie odziały się bielą
Cichej, słonecznej jasności...

I nagle wszystkie ku sobie schylone,
W uścisk się jakby złączyły...
Jakby z tryumfów, z klęsk, błysła
Nadziei jedność i siły...

I pod szerokiem błękitów sklepieniem,
Pod żywym ogniem tej zorzy,
Jeden — jak skrzydła anielskie, —
Sztandar rozwinął się boży!

A pod nim z krwawej ruiny, ze zgliszcza,
Z mroków, gdzie krzywda się chowa,
Z hańby stuleci, z klęsk wieków,
Ludzkość podniosła się — nowa!

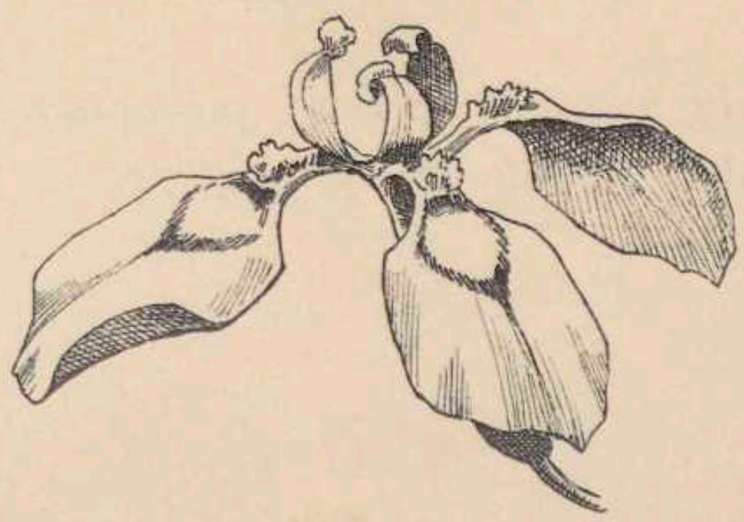

JEDNAK CIĘ ZDRADZĘ...

Jednak cię zdradzę! Będzie to w godzinie,
Gdy mrok nakryje i ziemię i morze...
Wtedy się demon o płomiennych skrzydłach
Nad moje pochyli łoże, —

A ja, drżąc cała, rozogniona, blada,
Z pościeli mojej wstanę pomieszana,
I pójdę, kędy upadnie cień wielki
Władcy mojego i pana.

On ustom moim szeptać będzie słowa
Tajnych przepaści i nieznanych szczytów,
A z mego łona i z mojego serca
W bezmiary mrocznych błękitów

Pieśni się wzniosą potężne, ogromne,
Za tchnienia jego ognistym powiewem...
Pieśni, co łkają śmiercią, i co życia
Buchają płomiennym śpiewem!

Pieśni, co, płacząc nad wszechbólem świata,
Nadzieję wieszczą wiosny, kwiecia, maju...
Pieśni, co biją o zamknięte wrota,
O złote wrota — do raju!

Co wszystkie znają złudzenia i winy,
I z wszystkich obłud zdzierają zasłonę...
Co uczynione są z otchłani głosów,
I z światła gwiazd uczynione! —

Nie bądź zazdrosny! Nie wyrywaj duszy
Mojej, z rajskiego tego upojenia,
W onej godzinie rozkosznego szału,
Z mocy Geniusza natchnienia!

Ujrzysz mnie znowu cichą, rozkochaną,
Powracającą w twe drogie objęcia,
Bladą, w zasłonie rozpuszczonych włosów
Szepcącą słodkie zaklęcia...

Czyste me czoło, którego dotknęły
Płomienne wargi wieszczego natchnienia,
Jak czoło dziecko, na twej piersi wsparte,
Z niej weźmie czar ukojenia!

NA GROBIE JÓZEFA GRANDI.

(W Val-Ganna).

Bez przepychu marmurów, bez krzyża,
Gdzie wiatr halny, gdzie szumnych wód zdroje
Tchem najczystszym, najświeższym swym chłodem
Przenikają aż w serce gdzieś twoje;

Gdzie przepaści, gdzie skały spiętrzone,
Milcząc, patrzą z zawrotnej wyżyny;
Gdzie traw górskich aksamit się ściele,
A skraj borów odcina się siny, —

Opuszczony, samotny w swej dumie,
Zapomniany pod złotych zórz bramą,
Tytan natchnień tu leży, w swej śmierci
Zbuntowany, — jak w życiu — tak samo!

Tu cię góry widziały i szczyty,
Gdyś się błąkał, a nagą twą głowę
Biły twardem, zuchwałem swem skrzydłem
Duchy gromów i duchy wichrowe!

Tu przez pierś twą krwi wrzącej ukropy
Z serca falą do mózgu ci biły,
Zapładniając kwiat boski natchnienia
Ziarnem czynu — i ziarnem lwiej siły!

Tu w zapasach z bezduszną cię gliną
Skalne orły widziały z oddali,
O, poeto i władco marmurów!
O, poeto kipiących metali!

A gdyś konał, te wichry ogromne,
Co z lodowisk dziewiczych grzmią dziko,
Przelatując zmroczone ostępy,
Z surm i trąb swych burzliwą muzyką, —

One pokłon — o, mistrzu, dla ciebie —
Skalnych szczytów, ostatni, przyniosły,
Gdy z poświstem leciały w dolinę
Do twej chaty ubogiej — jak posły!
. . . . . .

O, pozostań, gdzie jesteś, nazawsze
Od kłamliwych retorów daleki,
Wielkich w słowie, a w czynie — tak małych!
O, pozostań nazawsze, na wieki!

Wpośród wrzosów, wśród cząbrów zieleni
Grób twój stoi bez godła, bez miana...
Ale imię twe wielkie powtarza
W echach, cała dolina Valgana.

Idą ciche zachody i wschody,
Gwiezdne noce i świty błękitów,
I burz czarnych Walkyrye, pędzące
Na wichrowych rumakach tych szczytów...

I skał duchy zstępują o wiośnie
W mgłach miesięcznych, i śnieżyc letargi,
I wód huki, i mroki głębokie,
I rusałek piosenki i skargi, —

Wszystko, wszystko twa wchłania mogiła,
W promień światła i w kwiat to zamienia,
I rozświetla skalistą samotnię,
I rozmaja ten kraj zapomnienia!

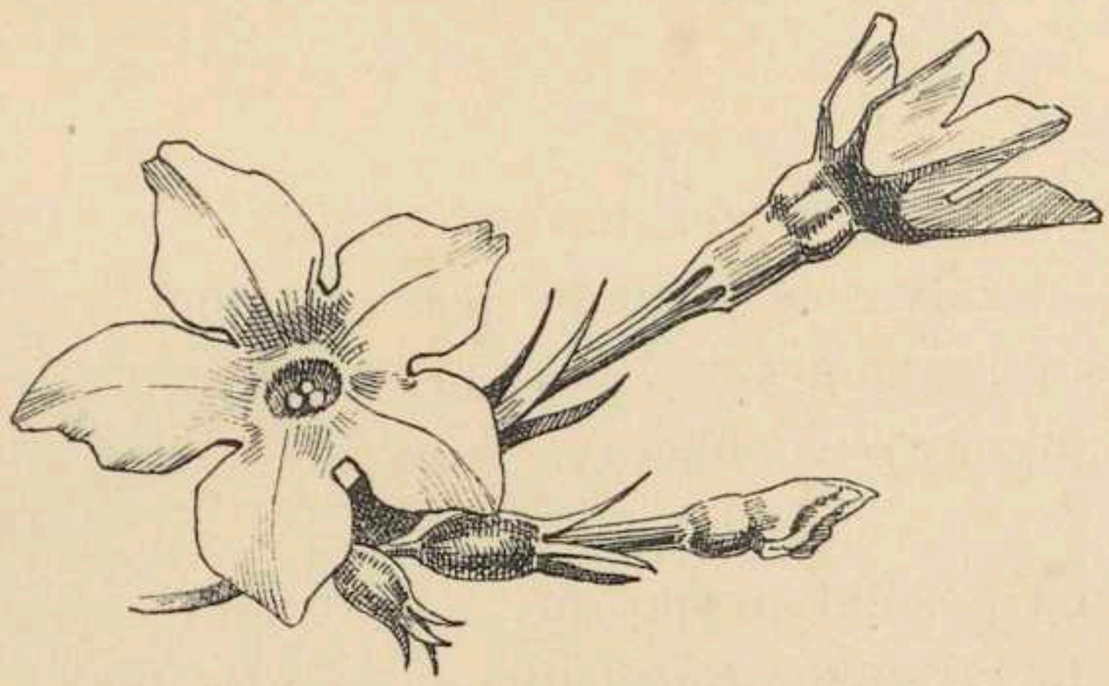

PORANEK ZIMOWY.

Pomnę... Był grudzień na świecie...
Martwo leżały role pobladłe pod śniegiem,
A czysta jutrznia szyła jasnym ściegiem
Ciche, przejrzyste niebiosy.

Wtem na pożółkłym okraju
Wschodu błysnęło słońce twarzą swoją złotą...
A śnieg, jak żywy, pod jego pieszczotą
Zadrżał i spłonął rumieńcem...

I na konarach skostniałych,
Na nizkich krzewach, trawach, niedomarzłych jeszcze,
Słodkiej pieszczoty przejęły go dreszcze —
W ten przenajczystszy poranek...

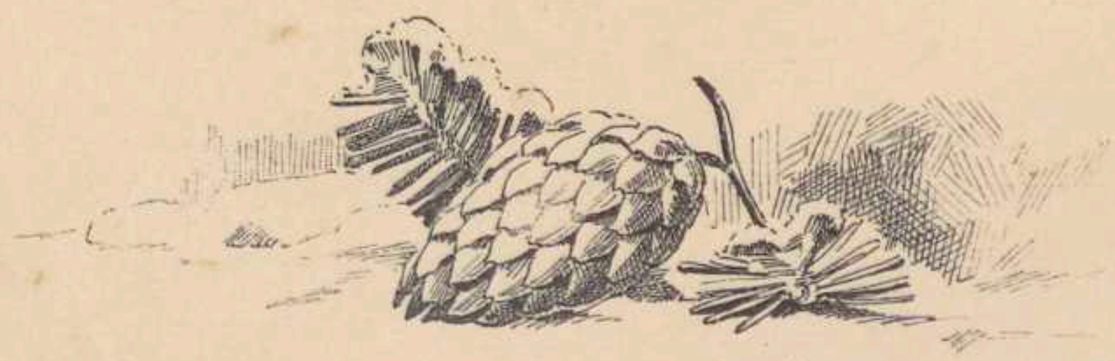

WDOWA.

Widziałam. Długie, bezsenne godziny
Oblokły twarz jej zagasłą,
Jakby w śmiertelny całun biało-siny...
Bosa, wychudła, tuliła u piersi
Płacz swej najmłodszej dzieciny.

Jej włosy, których pamiętam koronę
Czarną, — zbielały w noc jedną,
W bezładnych pasmach na twarz jej rzucone...
Patrzy, a przecież nie widzą nikogo
Oczy jej, błędne, szalone.

Nie widzą dzieci nawet... A w komorze
Sąsiadek słychać rozmowy:
— »Tuż, tuż u brzegu chwyciło go morze
W swój wir śmiertelny! Żadnego ratunku!
Co za śmierć straszna, o, Boże!

Piękny był, silny, wesoły i młody,
Jak z bronzu takie miał ciało...

Kopał winnice, uprawiał ogrody,
Pola... A wichry i słońce nań tchnęły
Moc świeżą czystej przyrody...

A teraz!... Pewno, nim wir go pochłonął,
Ze śmiercią walczył na pięście,
O każdy życia dech, i klątwy zionął,
I ryk szalonej, obłąkanej trwogi...
A potem — nic już... Utonął!«...

— Wdowa nie słucha. Niby ostre noże
Uparta myśl serce pruje...
— Chleb jej i dzieci porwało dziś morze...
Zginął żywiciel... zagasło ognisko...
Puste i zimne jest łoże...

I nędza... nędza... nędza!... Ruszaj w pole,
Słaba, bezsilna kobieto!
Czy w deszcz, czy w burzę, czy w skwaru mozole,
Ruszaj z motyką, z sierpem!... Sama teraz
Wygrzebuj z ziemi swą dolę!

Na ryżowisko, na bagna ziejące,
Gdzie ci nad głową odkrytą,
Jak ołów cięży rozżarzone słońce,
I gdzie pierś twoja, za nędzny grosz myta,
Miazmaty wziewa trujące...

Idź! Idź! I trwaj tak pod pożarem nieba,
Przez długie lata, wśród troski
O dach, którego głowom dzieci trzeba,
O szmat, na grzbiety sierot... o to jutro...
O nędzny kawałek chleba!...

. . . . . .

Zwolna zapada zmierzch pióry czarnemi,
A wzdychające niewiasty,
Dokoła ognia zasiadłszy na ziemi,
Za nieboszczyka odmawiać zaczęły
Różaniec głosy twardemi.

Lecz wdowa milczy. Jakby roztargniona
Dziecinę kładzie w kołyskę...
Niewiasty mruczą: — »Bądź błogosławiona«...
...»Ave!« A wdowa nagle na kolana
Upada sztywna — i kona.

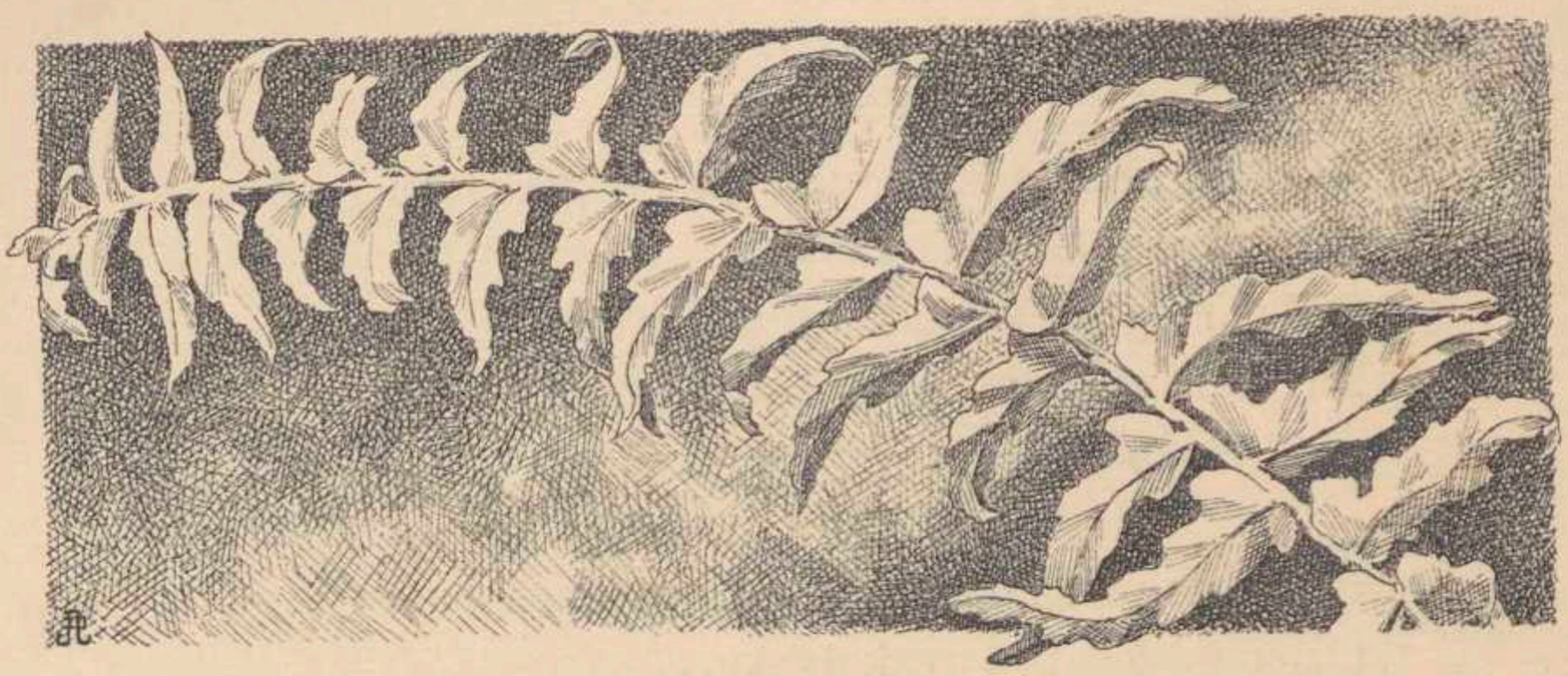

SEN.

Wiecznież ja będę gonić cię daremnie,
O, czarodziejski śnie mojego życia?
— Zabrałeś wszystko, coś mógł zabrać ze mnie,
Aż do tchu mego, aż do serca bicia!

Szały krwi młodej i wrzące pragnienia,
Bezsennych godzin modlitwy i boje,
I zmierzchy omdleń, i świty natchnienia,
I dnie zabrałeś mi, i noce moje!

W com uwierzyła jak w ducha ostoję,
W przepaść rozpaczy — co pchało me kroki,
Wzloty mej myśli i upadki moje,
I moje światła — wziąłeś mi, i mroki...

Chcesz, żebym w ciebie trwała zapatrzona,
Lecz sam odwracasz oczy pełne sideł...
Chcesz, bym ku tobie wznosiła ramiona,
Lecz sam nie zwijasz nigdy jasnych skrzydeł.

Tak przyciągając mnie, pierzchasz przede mną...
I może, kiedy — o, śnie mój marzony! —
Z zwycięskim krzykiem: — Jesteś moim! Ze mną! —
W uścisk cię wreszcie pochwycę szalony.

Ostygnie żądza, chłód wiarę oniemi,
Zagasną wizye, czar pryśnie twój błogi,
A ty, jak cacko złamane, na ziemi
Upadniesz pod moje nogi!

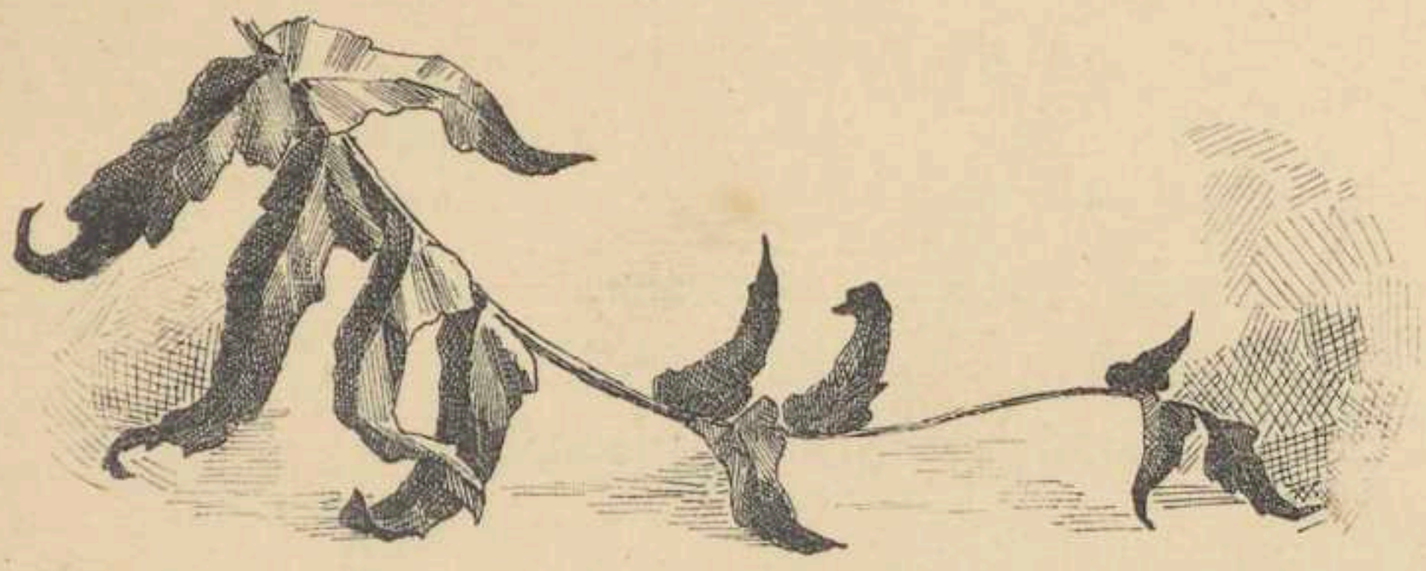

WIECZNA SIELANKA.

Gdy czerwcowego słońca żary złote
Całują kwiaty z namiętną rozkoszą,
Do głębi pod ich otwarte pieszczotę;

Gdy się w gorącem powietrzu unoszą
Rodzajne pyły, bijąc z fali kłosów,
Kiedy dżdże bujne po dolinach roszą, —

Wtedy pod czystym lazurem niebiosów
Oracz swój zagon błyszczącym rznie krojem
I głos swój łączy do ptaszęcych głosów...

I płynie jego pieśń z wielkim spokojem
W ćwierkaniu wróbli i zapachu siana,
Który wiatr z łęgów niesie tchnieniem swojem.

A w progu chaty, gdzie cień pada zrana,
Niewiasta jego, w dzieciątko wpatrzona,
Pierś mu podaje... pierś młoda, wezbrana...

I bije czysty zdrój z pełnego łona...
I dziecię pije z zdroju tego chciwie,
A jakaś radość, słodka, uciszona,

W tem jasnem słońcu, którem wszystko żywie,
I w onych trojgu — nagle mi się jawi...
— Pieśń, miłość, spokój, pług na własnej niwie,

I matka-ziemia, co im błogosławi!

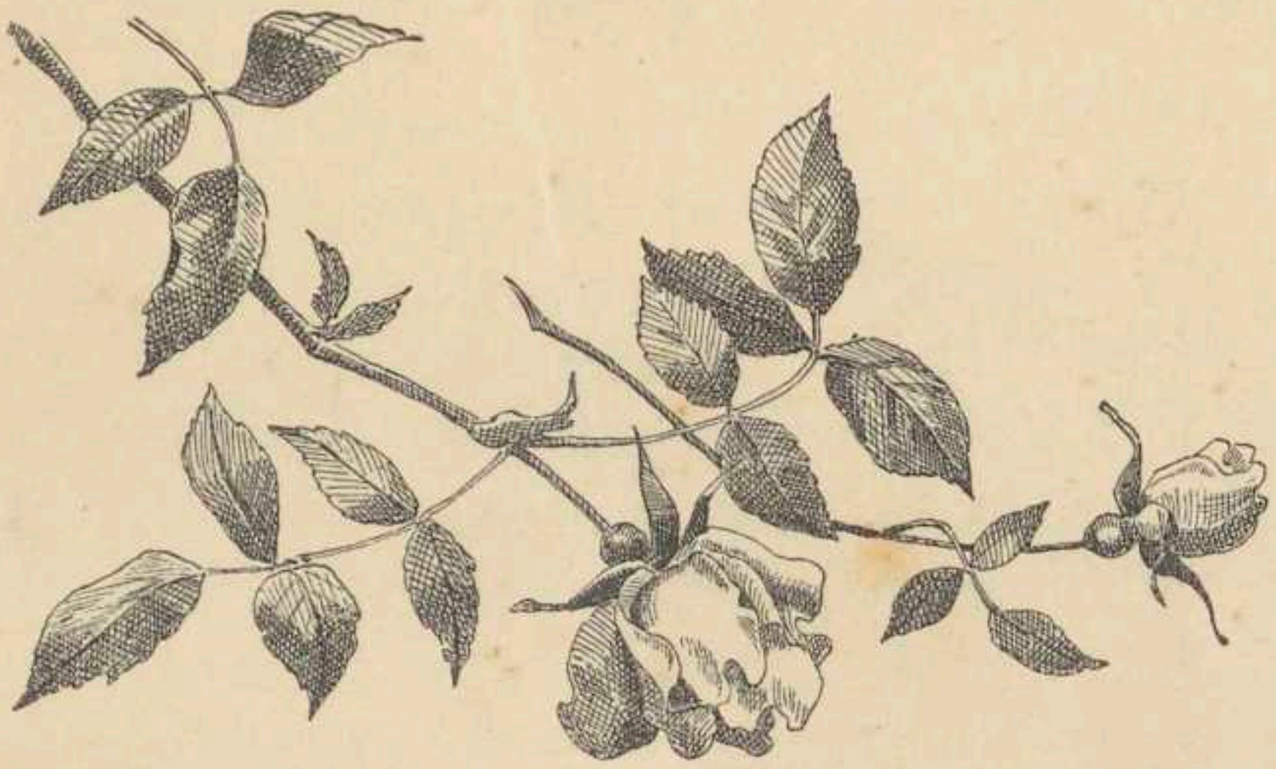

BEZ RYTMU.

Księżycowa sonata Beethovena.

Do Nice Turri.

Półzmierzchu dreszcz tajemniczy
W zamknięty salon przenika.
Łkają klawisze jak żywe
Pod białemi palcami twojemi, o, Nice!
Ty sama, w sukni twej białej,
Wizyą mi jesteś widma... Graj, o, Nice!
. . . . . .
— O, blada, blada, wiem, że umrzesz wkrótce,
Że, gdy cię kaszel pochwyci,
Od ust skrwawioną odejmujesz chustkę.
— Nie mówisz do mnie... Grasz tylko...
Nie widzę twarzy twojej, i nie widzę
Marzących oczu twych, w których pragnienie
Pieszczot tak tęskni, że w nich widać drżącą
Łzę — zawsze...
I tylko twoją suknię widzę białą,
I twoje długie jedwabiste włosy,
I słyszę duszę twą, duszę,
Twoją duszę, o, Nice, drżącą w dźwięku tonów.
. . . . . .

To Beethoven!
— Kiedy marzył, tworzył
Tę nieśmiertelną harmonię,
Nie żyłaś jeszcze, Nice, ja — nie żyłam:
A oto, z wiecznych jej zdrojów,
Świat cały pije
I w krew je swą zamienia, i w swe ciało...
A dziś, potężniej niźli jakiekolwiek słowo,
Ta wypowiada muzyka
Co ty, i co ja czuję... Graj, o, Nice!
. . . . . .
I mówią, mówią akordy głębokie,
O tajemnej ruinie twojej pięknej wiosny,
Którą żar trawi...
O twej młodości mówią, co umierać nie chce.
Mówią, żeś żoną,
Mówią, żeś matką,
Że dziecię twe zaledwie szczebiotać poczyna...
I że dla niego, dla niego
Czepiasz się życia!
. . . . . .
Mówią te nizkie akordy,
Że gdy, odchodząc, miłość zostawisz na ziemi,
Ja — bez kochania żyć będę;
Że lat dwadzieścia, lat trzydzieści może,
O, Nice, tułać będę się po świecie
Samotna.
— Więc, gdy cię miłość tu więzi, — żyj, Nice,
A ja, niężałowana, niech umrę za ciebie!
. . . . . .
Nie zwracasz schylonej głowy...
Nie widzę twarzy twojej, i nie widzę
Marzących oczu, w których tęskni żądza
Pieszczot, tak, że w nich łza drżeć się wydaje
Zawsze...

...Na ziemię padam, i kraj białej sukni
Całuję, ziemska — tobie, o, niebieska,
Tobie, co jutro masz umrzeć! .

. . . . . .

I mówią do mnie akordy głębokie:
— Ty, co zostajesz, co wzywasz miłości,
Nie czekaj jutra! Nie trać czasu! Kochaj!
Kochaj tych wszystkich, co cierpią!
Słaba, samotna,
Dla słabych i samotnych silną bądź, potężną!
I niechaj śmierć lodowata
Nieprędzej ciału twemu mogiłę otworzy,
Aż dusza twoja,
Na tysiąc drżących rozechwiana puchów,
Na tysiąc światła atomów,
Już ucałuje
Wszystkie dusze samotne. płaczące na ziemi!
Kochaj! Wszak miłość jest wieczną,
Gdyż nieskończoną jest boleść!

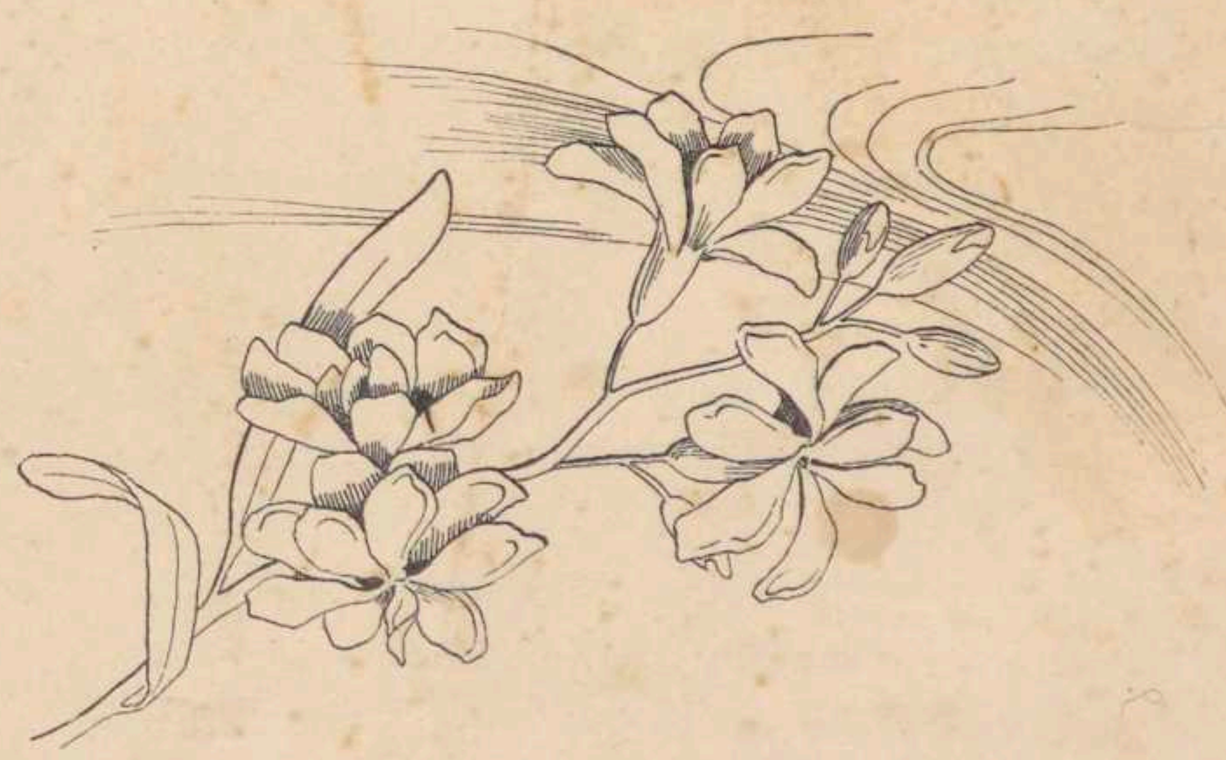

ZNIECHĘCENIE.

O, gdybym mogła uciszyć nazawsze
Ten głos, co z serca mego rwie się głębi,
I płacze, płacze, łzy roniąc najkrwawsze...

O, gdybym mogła głos ten, który gnębi
Moc życia we mnie, uciszyć na wieki...
Głos, który z serca wyrywa się głębi!

On woła: — Nigdy nie przejdziesz tej rzeki!
Alboż nie widzisz, że idziesz wśród nocy?
Bacz! Padniesz! Zgasł twój kaganek daleki...

Zmęczona jesteś, sama, bez pomocy...
Kto w ciebie wierzy?... Przegrałaś na wieki!
Alboż nie widzisz, że idziesz wśród nocy?

POSŁANIE.

Idź więc, o, księgo surowego lica,
Kroplo, ze światła wieczystego zdroju!
— Marzyłam, że cię wzniosę, zapaśnica,
Nad światem, jak sztandar boju.

Idź! Niesiesz z sobą strzępy mojej duszy!
Żyłam, tworzyłam... Dziś, gdyś już zrodzona,
Czuję śmiertelny chłód i powiew suszy...
A mózg i serce mi kona.

I oto koniec dramatu — nas obu:
Próżnia i cisza mogilna milczenia...
...O, księgo czarna, z głoskami z płomienia,
Ty jesteś pieczęcią — grobu!

SPIS RZECZY.

NIEDOLA.

	Str.		Str.
Niedola	3	Dzika	47
Bez imienia	5	Wyzwanie	50
Nie przeszkadzaj!	7	Litości!...	52
Idzie toń...	10	Nie!	54
Ulicznik	11	Pieśń wiosenna	56
Krótka opowieść	13	Nie mogę...	57
Autopsya	14	Widziadła	59
Śnieżyca	17	Nocna jazda	61
Mgły	19	Upał	63
Noc	21	Chcesz wiedzieć?	65
Po grób — i jeszcze...	23	Pójdź w pola...	67
Dzień dobry, nędzo!	25	Wśród leśnej poręby...	69
Pieśń pługa	28	Wodospad	71
Ręka w młocarni	31	Mistyczna	72
Prządka	33	Czyś ty pracował?...	74
Pocałunek pogański	35	Spes	76
Sam na sam	37	Zwiędła róża	77
Piosnka matczyna	38	»Quasimodo«	79
W huraganie	41	Głos zmierzchu	81
Zabierz mnie...	42	Piętno na czole	84
Światło	43	Largo	86
Widzę was znowu...	45		

☆

60 r
513012/1371

BURZE.

	Str.		Str.
Do ciebie, matko...	91	»Ego sum«	144
Przymusowa przeprowadzka	93	Śpiew nocny	146
List	95	Chłopię	147
Ziemia	97	Przebudzenie w górach	151
Poświęcenia.		Stare księgi	153
I. Nauczycielka	100	Nowa miłość	155
II. Matka	102	W przytułku nocnym	158
III. Zaręczona	104	Na ulicy	161
Starożytna świątynia	106	...»Ostatni — będą pierwszymi«	163
»Córa powietrza«	109	Godzina ukojenia	166
Instynkt macierzyństwa	112	Pocałunek umarły	168
Syn	113	Ostatni książę	169
Przybycie	115	Dziedzic	172
W miejskim szpitalu	118	Uśmiechy	175
O, drobna rączko...	121	Braterstwo	178
Pójdziesz i ty	122	Domeczki białe...	179
Po roku	125	»Pax«	181
Nieśmiertelny	127	Jednak cię zdradzę...	183
Przebudzenie	130	Na grobie Józefa Grandi	185
Na trumnę	132	Poranek zimowy	188
Narodzenie	134	Wdowa	189
Bratek	135	Sen	192
Godzina	136	Wieczna sielanka	194
Jest chory...	138	Bez rytmu	196
W śnie cię widziałam...	140	Zniechęcenie	199
Nie wracaj	142	Posłanie	200

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Antyku. Dk
1-na, 19 11 71
– 60 5

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
803870